Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 24 (1420) ROK XXVIII 15 CZERWCA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Jak ożywić innowacyjność gospodarki
- Dom przy Parkowej
- Emerituri te salutant
- Obecność nieobowiązkowa
- Moda

VIII Łódzkie Spotkania Baletowe

10

Foto: Grzegorz Gałasiński

Marzenia o nieśmiertelności

MAREK MAMOS

Od początku istnienia człowiek obawiał się śmierci. Boją się śmierci wszystkie zwierzęta, a kto wie, może nawet i rośliny choć ich „strach" jest zupełnie inny od naszego.

Angielski filozof Bacon twierdził, że ludzie obawiają się śmierci dla tej samej przyczyny, dla której dzieci boją się ciemności. Z natury lękamy się wszystkiego czego nie znamy. Stąd też, od zarania dziejów ludzkich wytworzony został cały zespół mitów, wierzeń, praktyk magicznych, mających ograniczyć zły wpływ śmierci na człowieka.

Bardzo obawiano się trupiego jadu, czyli tak zwanego trutu. Kiedy śmierć zjawiała się w domu wynoszono z niego wszystko oprócz stołków, na których stała trumna Zepsuciu mogła ulec przede wszystkim żywność, którą natychmiast przenoszono w bezpieczne miejsce. W momencie zgonu należało zatrzymać zegar, by swym chodzeniem nie niepokoił zmarłego. Zasłaniano lustro, bo obawiano się, że można zobaczyć diabła. Lustro także, odbijając postać zmarłego, mogło zatrzymać go w domu, albo ktoś z żywych przeglądający się w lustrze mógł być zabrany przez zmarłego.

Obowiązkowo zasłaniano oczy zmarłemu, gdyż ten mógłby wypatrzeć kogoś żywego i spowodować rychłą śmierć. Mając otwarte oczy nieboszczyk mógłby też łatwo znaleźć żyjących i niepokoić ich pod postacią ducha.

Miednicę, w której myto zmarłego — zakopywano. W ostateczności mogła służyć do żywienia inwentarza, ale w żadnym przypadku nie mogli korzystać z niej ludzie, bo obawiali się krost. Nie używano grzebienia, którym czesano zmarłego, bo mogły wypadać włosy.

Nie wolno było brać miary z nieboszczyka, w celu zrobienia trumny, bo to zawsze szkodziło żyjącemu. Jeśli stolarzowi został po zrobieniu trumny kawałek drewna, to był to niechybny znak, że w najbliższym czasie będzie robił drugą. Często kładziono do trumny i chowano w grobie przedmioty „na czyjąś zgubę". Chodziło przede wszystkim o odstraszenie złodziei.

5

Pierwsze — nie upraszczać!

Rozmowa z profesorem ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM — dyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych przy UŁ, członkiem Komitetu Centralnego PZPR.

— W wystąpieniu na XIX Plenum KC PZPR — *jak podała „Trybuna Ludu"* — powiedziałeś:

„Podejmujemy kompleksową reformę gospodarczą, stanowiącą zasadniczy przełom w sposobie myślenia w odniesieniu do funkcjonowania gospodarki, do stosunków produkcji. W odniesieniu do społecznego składnika sił wytwórczych rozpowszechnione jest nadal XIX-wieczne i wczesno XX-wieczne podejście. Wyraża się ono w tendencjach do przenoszenia do nowych warunków starych struktur społecznych. To nasze zacofanie jest znaczne, można nawet mówić o występowaniu swoistej luki strukturalnej. Wyrazem takich tendencji jest m.in. tradycyjne ujmowanie istoty i roli z tych grup społecznych, które składają się na pojęcie inteligencji".

Czy to znaczy, że jesteś przeciwny używaniu pojęcia inteligencja? Czy dlatego, że jest to pojęcie zbyt szerokie i przez to mało prezyjne, czy też dlatego, że jest ono anachroniczne?

— Potrzebny jest tu szerszy komentarz. Przede wszystkim trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że proces modernizacji funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa jest obiektywny. Jest określony obiektywnymi prawami rozwoju społecznego. Ten rozwój — co jest oczywiste — następuje poprzez przezwyciężanie sprzeczności.

— Chodzi o sprzeczność między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji. Niektórzy skłonni są uważać, że taka sprzeczność występuje tylko w formacji kapitalistycznej i rodzi rewolucję. Już po rewolucji znika na zawsze.

— Otóż, nie. Jest to ciągła sprzeczność między systemem urządzania gospodarki od strony jej funkcjonowania a techniką, technologią oraz ludźmi z ich wszelkimi umiejętnościami, wiedzą i doświadczeniem. Między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji istnieje współzależność. Stosunki muszą się dopasować do poziomu sił wytwórczych, które szybciej się różnicują.

— Jeśli tej współzależności nie dostrzega się, to muszą rodzić się konflikty społeczne.

— Oczywiście. Współzależność tę znamy, dostrzegamy i staramy się wykorzystać ją dla dalszego rozwoju gospodarki i społeczeństwa. Bo czym innym jest reforma gospodarcza, jak nie uznaniem tego prawa rozwoju społecznego. Reforma gospodarcza jest koniecznością wynikającą z obiektywnie funkcjonującego prawa. Musimy zmienić system funkcjonowania gospodarki, gdyż stary hamował jej rozwój, hamował postęp.

— Gdyby zechcieli to zrozumieć przeciwnicy reformy gospodarczej!

— Wszyscy musimy to zrozumieć. I nie tylko to. Wiemy przecież, że istnieje luka technologiczna. Stanowi ona również hamulec naszego gospodarczego i społecznego rozwoju. Nie możemy tolerować jej obecnego poziomu. Ale też nie jesteśmy w stanie całkowicie jej zlikwidować. Musimy więc dążyć do stałego zmniejszania dystansu, jaki dzieli nas od najbardziej rozwiniętych krajów świata. A co to oznacza? Oznacza to, że mamy świadomość, iż materialny składnik sił wytwórczych — technika, technologia — jest nierozwinięty i przez to stanowi także hamulec postępu.

— Rozumiem, że zakładasz, iż mamy świadomość tych dwu konieczności: modernizowania systemu funkcjonowania gospodarki, co wyraża się w przeprowadzonej nie bez oporów i zahamowań reformie gospodarczej oraz rozumieniu potrzeby podejmowania wszelkich możliwych działań zmierzających do likwidacji luki technologicznej, czyli naszego zapóźnienia technologicznego. Nie byłbym takim optymistą. Już sam fakt, że rodzą się opory przeciw reformie gospodarczej dowodzi, że nie wszyscy rozumieją jej konieczność. Nie wszyscy też rozumieją konieczność swego udziału w pomniejszaniu tego, co nazywamy luką technologiczną. Są ludzie, którzy sądzą, że to się samo stanie, albo ktoś nam sprezentuje najnowsze osiągnięcia techniki i technologii z czystej miłości do nas.

— No, właśnie. Obok czynników, o których mówiłem, a więc obok konieczności modernizowania sposobu gospodarowania i podnoszenia poziomu techniki i technologii występuje trzeci czynnik, osobowy składnik sił wytwórczych — ludzie. Chodzi tu o struktury społeczne, w ramach których ludzie spożytkowują swoje umiejętności, doświadczenia, nabywają nowych, uczą się organizować sobie i innym pracę, a także posługiwać się techniką i technologiami. I ten czynnik trzeci, społeczne struktury wytwórcze, muszą odgrywać i odgrywają zasadniczą rolę. Umiejętność posługiwania się tymi strukturami opanowaliśmy w stopniu niezadowalającym. Nie potrafimy zapewnić właściwego rozwoju tych struktur i wykorzystać ich. Stąd właśnie wzięło się moje stwierdzenie, że tkwimy w strukturach z XIX wieku, albo początku wieku XX.

— Co rozumiesz pod pojęciem „my"?

— Pod tym pojęciem rozumiem systemy kierownicze, które kształtują politykę gospodarczą i społeczną.

— Niedorozwój struktur społecznych jest czynnikiem hamującym postęp społeczny. A przecież właśnie ten czynnik jest najbardziej rewolucyjny, on przede wszystkim decyduje o postępie we wszystkich dziedzinach życia.

— Występuje tu pewien paradoks. W historii Polski Ludowej — i nie tylko — ludzie zdecydowali o takim a nie innym kierunku rozwoju w minionym czterdziestoleciu. Ludzie ten rozwój inicjowali, kierowali nim, korygowali go, próbowali reformować. I to jest fakt, któremu trudno zaprzeczyć.

— Na czym więc tu polega paradoks?

— Właśnie na tym, że ten czynnik był niedoceniany, że za często ujawnia się żywiołowo, w sposób gwałtowny domaga się swoich praw. Otóż, gdyby ten czynnik był należycie doceniany, gdybyśmy umieli kierować jego rozwojem, to wówczas nie musiałoby dochodzić do gwałtownych domagań się jego praw i naturalnego, niezbędnego udziału w rozwoju społecznym. Przykładem tego może być także podejście do inteligencji.

— Czy dlatego, że jest to pojęcie nieprecyzyjne?

— Nie tylko. Jest ono oczywiście nieprecyzyjne, bo obejmuje sobą wszystkich od intelektualistów do urzędników gminnych. Po drugie — samo pojęcie inteligencji jest przestarzałe, XIX-wieczne i już nie pasuje do nowoczesnego społeczeństwa. Po trzecie — operujemy zbitką, „agregatem", co uniemożliwia precyzowanie i konkretyzowanie zadań dla konkretnych grup społeczno-zawodowych, ich wartościowania i ocenę. Współczesne społeczeństwa odchodzą od takiego „agregatu" pojęciowego, zastępując go innymi pojęciami związanymi z mniejszymi grupami: intelektualiści, pisarze, inżynierowie, nauczyciele, lekarze i tak dalej.

— Jest to zawodowe charakteryzowanie grup. Można nawet powiedzieć — środowiskowe. Ale przecież nam nie wolno odrzucić podziałów klasowych.

— Zgoda. Marksistom nie wolno zapominać o klasowych kryteriach. Ale tak zwana inteligencja nie wyróżnia się klasowo na przykład od klasy robotniczej. Czynnikiem wyróżniającym są funkcje zawodowe, ale i one nie mogą być traktowane w sposób wyizolowany z życia społecznego i politycznego. Musi nas interesować rola społeczna i polityczna tych grup, które łączy wspólny zawód. Musimy też widzieć łączniki, jakie występują między tymi grupami. Nie wolno ich traktować w oderwaniu, ale też nie można traktować ich w jednakowy, zunifikowany sposób, bo wtedy traci się specyfikę oddziaływania, możliwość precyzyjnego określania zadań i ich oceny.

— Jeszcze kilka lat temu w ogóle nie było takiego problemu. Wówczas granice pomiędzy grupami społecznymi i klasowymi były wyraźniejsze. Teraz poczęły się zacierać. Nie przypadkiem w dyskusjach przed XIX Plenum KC PZPR zastanawiano się nad tym, kto jest jeszcze robotnikiem, a kto już stał się inteligentem. Różnice takie zacierają się nie tylko przy wykonywaniu pracy, kiedy robotnik posługuje się wysokiej jakości i skomplikowanymi maszynami i urządzeniami, ale też w poziomie i sposobie myślenia, życia, w obyczajach. Jest to oczywiście proces, ale w jakim on zmierza kierunku? Czy może doprowadzić do tego, że inteligencja — tak jak ją dziś jeszcze rozumiemy — rozpłynie się w podstawowych klasach: robotniczej i chłopskiej, z których przecież w dużej mierze się wywodzi? Czy też nastąpi intelektualny awans tych klas? Ale, jak byśmy na to nie patrzyli, to żywot inteligencji w naszym, tradycyjnym rozumieniu kończy się.

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. **2.** dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych, właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". **3.** Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1723. P-2.

Przegląd prasy

Łagodnie, acz nie wiem, czy bezboleśnie, zszedł z tego świata do historii (prasy i polityki wczesnych lat osiemdziesiątych) tygodnik „Tu i Teraz". Było to pismo dość niezwykłe — zrodzone „z woli i myśli" jednego człowieka, owładniętego bez reszty przez lewicowo-liberalną mitologię polskiego czasopiśmiennictwa (i publicystyki) oraz przez ideę państwowotwórczą, która w ostrej fazie stanu wojennego cała skupiła się w haśle „zróbmy coś — nie dajmy się zwariować". Kazimierz Koźniewski przez trzy arcytrudne lata robił to wspaniale — jego tygodnik należał do moich ulubionych lektur obowiązkowych. Do jego treści odwoływałem się najczęściej — obok „Polityki" — w uprawianym od kilku lat systematycznie przeglądactwie prasy, słowo daję, że będzie mi go brakowało zapewne przez dłuższy czas...

Ale, ponieważ natura źle znosi próżnię, zamiast „Tu i Teraz"

ZACZĘŁA UKAZYWAĆ SIĘ „KULTURA"

— tytuł jakby znany, a nawet przechodzony, ale mniejsza z tym. Ważne jest, czy pod tym — świadomym chyba — kamuflażem ideowym pojawi się tzw. nowa jakość. Gdyby dosłownie traktować exposé członków rady redakcyjnej i ścisłego kierownictwa („Co to za pismo?" — na pierwszej stronie pierwszego numeru — 85.06.05.), należałoby założyć — że tak. Ale u nas kredytu nie udziela się...

Przeto zamiast wyrazów nadziei, że będzie tak, jak się szanownym kolegom zdaje, kilka zobowiązujących cytatów:

Jerzy Adamski: *(...) Pismo lewicowe. To znaczy zaangażowane w walkę światopoglądową: przeciw tradycjonalizmowi i konserwatyzmowi, przeciw zacofaniu i zaściankowości, przeciw klerykalizmowi i drobnomieszczańskiemu egoizmowi".*

Maciej Chrzanowski: *„Często słyszy się o potrzebie wydawania pism możliwie spójnych, jednorodnych pod względem lansowanych wartości i stosowanych preferencji. Chciałbym, by „Kultura" była takim właśnie tygodnikiem. By jej publicystyka, krytyka artystyczna, prezentacje sztuki i literatury wzajemnie się dopełniały, stanowiły rodzaj całości. By drukowane u nas reportaże pokazywały rzeczywistość, która zrodziła taką, a nie inną sztukę.*

Wymaga to selekcji zjawisk współczesnej kultury. Powinniśmy informować o wielu jej przejawach, ale promować i lansować te zjawiska, które są nam najbliższe: wyrastają z myśli lewicy społecznej, pomagają zrozumieć otaczający świat (....)".

Andrzej Wasilewski: *„Opiniotwórstwo w dziedzinie nauki i kultury przeżarte jest dziś w Polsce plagą oportunizmu. Jest rodzaj oportunizmu wobec aparatu zarządzającego, któremu coraz to powraca chętka do organizowania sobie lakierowanych obrazków zawiadywanego przez siebie odcinka życia. (...) Mam nadzieję, że gdziekolwiek oportunizm taki się pojawi, pismo wykaże dostateczną siłę ducha, aby się jego lakierniczym zapędom przeciwstawić".*

Roman Bratny: *„(...) Pismo, jakiego się spodziewam, to takie, w którym dopuszcza się myśl krytyczną szeroko, ale też uparcie boryka się na co dzień z polską dumą z własnej historycznej głupoty, z pozerstwem całych środowisk i ludzi strojących męczeńskie miny przy robieniu świetnych interesów.*

Chciałbym oto asystować przy narodzinach pisma, które mogłoby prowadzić stale „dialogi powaśnionych braci", w którym mogłoby się publicznie pospierać, demonstrując publicznie owe „podzielone racje" i szukając wspólnie racji nadrzędnej.

Czy takie pismo jest do „zrobienia"? Zobaczymy".

Nie lubię krakać, ani rozwiewać złudzeń — są takie sympatyczne, nawet można się do nich przywiązać. Nietrudno wszakże zauważyć, że opcje i pragnienia członków kierownictwa „Kultury" są trudne do pogodzenia. No bo jak to — jednorodność wartości lansowanych i dialog powaśnionych braci? Program „Kultury" jest

JAK PRZEŁADOWANY AUTOBUS

— od zapachów gęsto, ręce trzymasz w kieszeni sąsiada, a kłótnia wisi w powietrzu. Jedyna nadzieja w tym, że po drodze zawsze ktoś wysiada, a nowych pasażerów nie ma. Jak się już zrobi zupełnie luźno, to nawet może to być całkiem dobry tygodnik...

W każdym razie bliższe przyjrzenie się zawartości pierwszego numeru „Kultury" nie dostarcza szczególnych powodów do optymistycznego potraktowania kierowniczych zapowiedzi. Może tylko do wywodu zaprezentowanego przez Edmunda Żurka (*„Mam nadzieję, że „Kultura" — poprzez reportaż i pamiętniki stworzy dokument naszych niełatwych czasów (...), świadectwo walki i pracy, walki ze złem, z oportunizmem, walki w obronie słabszych, krzywdzonych i oczekujących pomocy w imię ładu społecznego i sprawiedliwości").* w sposób nieoczekiwanie paradoksalny pasuje minoderyjny i pretensjonalny reportaż Tadeusza Kucharskiego o skrzywdzonym przez złych dziennikarzy dyrektorze Józefie G. z Ł. (podaję dane szyfrem, bo z człowiekiem o bardzo podobnych parametrach miałem do czynienia przed sądami PRL — już to w sprawie o oszczerstwo, już to o naruszenie, jakże bezcennych, dóbr osobistych).

Dajmy jednak spokój „Kulturze" — niech się rozwija, dopóki zechce...

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek pisałem o szczególnych właściwościach krakowskiego dziennikarza Andrzeja Urbańczyka (aktualnie zastępcy redaktora naczelnego miesięcznika „Zdanie"). Przeto śpieszę naprawić to niedopatrzenie.

Urbańczyk — obok niewątpliwego talentu publicysty politycznego — posiada szczególne umiejętności mediumiczne, ale medium świadomego, organizującego swe kreacje z pasją dostępną tylko prawdziwym zawodowcom. (Między pasją a zawodowstwem nie ma żadnej sprzeczności, choć communis opinio sądzi, że jest...) Mam tu przede wszystkim na myśli samo „Zdanie" — w niczym nie ujmując jego szefowi prof. Marianowi Stępniowi — a w „Zdaniu" cykl

„TRZECH NA JEDNEGO"

— jeden z najciekawszych dokumentów naszych czasów. Tak ciekawy, że powinien chyba ukazać się w książkowej postaci trwalszej niż numery miesięcznika na kiepskim papierze.

Ostatnią rozmowę, zanim jeszcze najnowsze „Zdanie" ukazało się w kioskach, przedrukowała „Polityka" (we fragmentach — nr 23 — 85.06.08.), zapewne ze względu na osobę rozmówcy, wicepremiera Mieczysława F. Rakowskiego. No i temat — stale bulwersujący ludzi z „Polityki", wdrożonych do liczenia diabłów na czubku szpilki — dzielenie obywateli na ekstremy i centrum oraz tzw. ruchy kadrowe między rozmaitymi formacjami ideologicznymi.

„Pokolenie Staszewskiego, moje czy Fikusa — mówi Rakowski — *opowiedziało się, w konkretnych warunkach historycznych, po stronie obozu rewolucyjnego, najogólniej mówiąc. Ten obóz zapisał na swoim koncie wielkie osiągnięcia, ale ma też na nim nie mniejsze błędy, wypaczenia, zbrodnie nawet. Otóż, w moim przekonaniu ktoś, kto traci wiarę w ten obóz i nie widzi możliwości pozostania w nim dłużej, a nie jest już młodzieńcem, powinien położyć uszy po sobie i... milczeć. Takiej męskiej reakcji można chyba oczekiwać od człowieka dojrzałego, w pełni świadomego i odpowiedzialnego za to, co robił i robi".*

Można oczekiwać, ale raczej nie można się doczekać... To tak, jak gdyby odpowiedź na pytanie „skąd biorą się dzieci?" rozpocząć od wychwalania zalet środków antykoncepcyjnych. Zresztą wicepremier Rakowski po trosze przyznaje się do swego nadmiernego idealizmu w kwestiach tzw. czynnika ludzkiego w polityce.

Natomiast o moralności w polityce uczenie wypowiada się Kazimierz Dziewanowski w jezuickim miesięczniku „Przegląd Powszechny" (nr 4/85): *„...podstawą i fundamentem skutecznej działalności politycznej jest siła, (...) polityk powinien zawsze dążyć do uzyskania silnej pozycji i (...) nie może on — gdy zajdzie tego potrzeba — cofać się przed użyciem przemocy. Taka jest prawda, choć brzmi to odpychająco. Trzeba jednak zauważyć, że mogą istnieć*

RÓŻNE RODZAJE SIŁY

W stosunkach społecznych siła moralna, upór, konsekwencja, odmowa uznania porażki, zręczność w wykorzystaniu każdej nadarzającej się okazji poprawy swego położenia, umiejętność ograniczenia poniesionych strat i szkód i obrócenia porażki w powodzenie, sprawność w pozyskiwaniu sojuszników i dzieleniu wrogów — wszystko to ma również duże, czasem decydujące znaczenie. Wielką wagę miewa też cierpliwość, umiejętne wykorzystanie czynnika czasu, talent w wyborze właściwego momentu działania".

Ten podręczny katalog zachowań dla adeptów Societatis Jesu to istny Machiavelli skrzyżowany z pobrzmiewającymi dość silnie w całym wywodzie zasadami filozofii Kalego. A tak — Kalego, bo Dziewanowski zastrzega: *„To, co napisałem, nie znaczy, że stosunki w społeczeństwie winny zależeć wyłącznie od siły. Moje uwagi dotyczą raczej polityki w jej wymiarze międzynarodowym. Różnica polega na tym, że polityki wewnątrz kraju nie wolno nigdy i w żadnym wypadku rozgrywać tak jak między wrogami".*

Jednym słowem — stosowanie siły wobec sąsiadów jest rzeczą chwalebną, a przynajmniej etycznie usprawiedliwioną. Ale gdy wobec Dziewanowskiego wewnątrz kraju stosuje się przymus, to jest to wojna domowa i degrengolada państwa. Jak na nowo kreowanego jezuitę — starczy...

A poza tym jest śmiesznie. Wybory Najpiękniejszej Polki szczęśliwie dobiegły końca. W stołecznej prasie donoszą, że gdyby nie dwie — trzy naprawdę ładne dziewczyny na widowni, i góra jedna na scenie (akurat nie ta, co dostała te kluczyki od „Golfa"...), to bezapelacyjnymi konkurentami do tytułu byliby antreprener Mieczysław Gajda i szołmen A. Rosiewicz, a i Broniarek z Drozdą nie byliby bez szans.

Sprawozdawca „Polityki" (nr 23 — 85.06.08) swoją relację zakończył takim życzeniem: *„Dużo wiatru i wielu zadziwień życzymy ci królowo".*

PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

I... strzeż się jelenia!".

Ta ostatnia przestroga ma dwa wymiary jak gdyby — metaforyczny i dosłowny. Z jednej strony bowiem Miss Polonia, jako produkt kultury masowej, jest niczym innym, jak zwielokrotnionym landrynkowym kiczem. Z drugiej zaś — grubawych „jeleni" z jeszcze grubszymi portfelami już jej w życiu nie zabraknie. A historia uczy, że i tak w końcu ją kupią...

Natomiast memu szanownemu koledze — redaktorowi Henrykowi Sroczyńskiemu z „Głosu Robotniczego" — z prawdziwą przykrością muszę zalecić dokonanie innego zakupu — encyklopedii jakiejś, międzynarodowego „who's who" albo podręcznika historii politycznej świata w naszym stuleciu...

Nie można bowiem zbytnio wierzyć pamięci — płata ci ona psikusy różne i skojarzenia przywołuje. Oto kolega Sroczyński napisał był o ostatniej kolonii portugalskiej — Makau w Chinach: *„Ostatecznie ta „prowincja zamorska" (taki status nadał jej gen. Franco w 1951 roku)...".*

Stop! dalej cytować nie trzeba... Jaki Franco, co za

FRANCO?

Szefem państwa portugalskiego był wówczas — oraz długo przedtem i długo potem — wielce niesympatyczny dyktator Antonio de Oliveira Salazar. Natomiast Francisco Franco Bahamonde rządził wtedy w sąsiedniej Hiszpanii. Niby to drobiazg — pies z nimi oboma tańcował, faszystami wstrętnymi... Ale jakoś doprawdy przykro mi to przypominać tak wytrawnemu znawcy stosunków międzynarodowych, geografii, obyczajów, trunków i pięknych kobiet po obu stronach równika...

TOMASZ SAS

Minął tydzień

WYBORY

na Węgrzech odbyły się w minioną sobotę. Według zmienionej ordynacji obywatele WRL wybrali posłów do Zgromadzenia Narodowego, radnych oraz zastępców posłów i radnych (!?). W kilkudziesięciu okręgach żaden z kandydatów nie uzyskał wymaganej większości. Nowa węgierska ordynacja wyborcza wprowadziła szereg ciekawych, mocno zdemokratyzowanych instytucji — m.in. możliwość wysuwania kandydatów przez wyborców bezpośrednio na zebraniach, listę państwową, zasadę kandydowania co najmniej dwóch ludzi do jednego mandatu, (ale w wielu okręgach było nawet czterech kandydatów), czy instytucję wspomnianych już zastępców. Te nowe reguły wyborcze spowodowały znaczny przyrost ożywienia życia politycznego węgierskich obywateli przed wyborami i nadspodziewanie wysoką frekwencję podczas głosowania

W POZNANIU

rozpoczęły się Międzynarodowe Targi Poznańskie. Fachowcy twierdzą, że ilość ofert wystawowo-handlowych zagranicznych kupców przekroczyła wszelkie oczekiwania. Nic w tym dziwnego — to efekt uboczny naszych kłopotów. Musimy importować mimo wszystko — w tym roku za 4,5 miliarda dolarów i... płacimy za wszystko niemal gotówką. Gdyby tak jeszcze udało się wyeksportować za kwotę przynajmniej zbliżoną...

RZECZNIK PRASOWY RZĄDU

minister Jerzy Urban podczas cotygodniowej konferencji prasowej dla korespondentów zagranicznych i krajowych wspomniał o nowej porcji absurdalnych doniesień z Polski i spekulacji na nasze tematy w zachodnich środkach masowego przekazu. M.in. Bernard Marqueritte z paryskiego „Le Figaro" doniósł, że podróż bohaterów „Isaury" po Polsce miała ratować „juntę generałów" i odwracać uwagę polskiego społeczeństwa od pogarszających się warunków życia. Jerzy Urban zacytował też dotyczący Polski fragment z amerykańskiego podręcznika dla nauczycieli, obrazujący stan tamtejszej wiedzy o naszych sprawach; oto jedno zdanie: *„Polscy chłopi i ich sąsiedzi — chłopi w Rosji — uprawiają len, używany do wyrobu lnianej odzieży".*

SĄD NAJWYŻSZY USA

uchylił ustawę legislatury stanu Alabama, przewidującą wprowadzenie w szkołach publicznych „minuty na medytacje religijne". W ten sposób potwierdzono zasadę całkowitego rozdziału kościołów od państwa — nb. wbrew osobistemu zaangażowaniu Reagana w sprawę modlitw w szkołach.

PRZED SĄDEM REJONOWYM W JĘDRZEJOWIE

rozpoczął się proces dwóch księży — wikariuszy parafii rzymskokatolickiej we Włoszczowej — Marka Łabudy i Andrzeja Wilczyńskiego, oskarżonych o zorganizowanie nielegalnego strajku okupacyjnego w tamtejszym Zespole Szkół Zawodowych. Ksiądz Andrzej Wilczyński ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości.

Natomiast prokuratura rejonowa w Kętrzynie wszczęła śledztwo w sprawie pobicia 19-letniego ucznia miejscowego technikum przez wikarego parafii w Srokowie Edwarda Golińskiego — za to, że uczeń ów nie pozdrowił księdza po katolicku...

UROCZYSTOŚCI BOŻEGO CIAŁA

odbyły się we wszystkich parafiach kościoła katolickiego. W Warszawie mszę w katedrze św. Jana celebrował prymas Polski, kardynał Józef Glemp. W Opolu uczestniczył kardynał Johannes Willebrands, przewodniczący watykańskiego sekretariatu do spraw jedności chrześcijan, a w Płocku przebywał abp Luigi Poggi, szef kurialnego zespołu ds. stałych kontaktów roboczych z rządem PRL.

65 LAT UKOŃCZYŁ TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

znany łódzki poeta i prozaik, działacz kultury, redaktor kwartalnika „Osnowa" i długoletni współpracownik naszego pisma. Przyłączamy się do serdecznych gratulacji — ad multos annos, panie Tadeuszu!

ANGIELSCY PIŁKARZE

nie będą grać na stadionach Europy — taką decyzję na czas nieograniczony podjęła UEFA, a światowa federacja FIFA ją już zatwierdziła. Ważą się losy międzynarodowych startów reprezentacji krajowej, także w finałach Mundialu w Meksyku. Decyzja ta — z uszczerbkiem dla futbolu, ale z korzyścią dla bezpieczeństwa tysięcy kibiców, jest jedną z najdotkliwszych konsekwencji morderczych „występów" brytyjskich „killerów" przed finałowym meczem o Puchar Europy na brukselskim stadionie Heysel.

ZBIGNIEW BONIEK

definitywnie opuszcza „Juventus". Ale cudów nie ma— do „Widzewa" na razie nie wraca. Najprawdopodobniej pozostanie we Włoszech — niewykluczone, że w stołecznej „Romie".

PO TRZECH TYGODNIACH

„maratońskiej" wręcz eksploatacji widzów zakończyły się VIII Łódzkie Spotkania Baletowe. Z artystycznego i towarzyskiego punktu widzenia wszystko było w normie — jedno niewątpliwe wydarzenie artystyczne, czyli Balet XX Wieku Maurice'a Bejarta — dla równowagi jeden oczywisty skandal, czyli słusznie wygwizdany „potworek" Conrada Drzewieckiego „Ostatnia niedziela". A w środku — co najmniej dwa doskonałe zespoły: leningradzki i Ballet Rambert. Ciąg dalszy za dwa lata...

VICESEKATOR

Pierwsze — nie upraszczać!

ze str. 1

— Inteligencja — jest to zbitka pojęciowa, która — niezależnie od tego, co o niej myślimy i mówimy — będzie jeszcze długo funkcjonowała. Ale to pojęcie ma też pejoratywne znaczenie. I już choćby dlatego lepiej mówić o intelektualnych funkcjach wykonywanego zawodu. Współczesna klasa robotnicza na przykład takimi funkcjami się odznacza i proces ten będzie się dalej pogłębiał. Taka jest logika rozwoju.

Wymusił to postęp techniczny, a także cele społecznego rozwoju, jakie sobie stawiamy. Jeśli więc mówimy o tym, że zacierają się granice między warstwami i klasami, to nie tylko dlatego, że przeżyło się pojęcie inteligencji, że nowoczesne społeczeństwa inaczej sytuują w swoich strukturach grupy zawodowe wykonujące funkcje intelektualne, ale również dlatego, że współczesny robotnik różni się zasadniczo od robotnika z przełomu XIX i XX wieku. Nastąpił obiektywny proces intelektualizacji klasy robotniczej. Jest to konsekwencja współczesnej cywilizacji. W socjalizmie możemy ten proces intelektualizacji klasy robotniczej potęgować, przyspieszać. Procesy te podnoszą rolę klasy robotniczej także w jej rewolucyjnym znaczeniu.

— No, i czy teraz znajdziemy się obaj pod obstrzałem krytyki, że lansujemy teorię „rozrywania" klasy robotniczej? Czy rzeczywiście dostrzeganie obiektywnie dokonujących się procesów stanowi taką groźbę, czy też o wiele groźniejsze jest niedostrzeganie takiego procesu i tkwienie w schematach?

— U nas, niestety, panuje często statyczny, tradycyjny sposób traktowania klasy robotniczej. Proces intelektualizacji klasy robotniczej będzie się dalej dokonywał. Taka jest obiektywna tendencja wynikająca z rozwoju współczesnej cywilizacji. Proces ten wynika także z realizacji zadań rozwojowych, jakie przed sobą stawiamy.

Przecież, my, komuniści mamy obowiązek zbudowania społeczeństwa bezklasowego i państwa ogólnonarodowego. PZPR jest partią robotniczą, ale partią komunistów i w dalekosiężnym programie takie cele zakłada. Jest to perspektywa, do której dążymy. I przez to robotnicy wcale nie tracą swej roli kierowniczej, przeciwnie, rosnąca wartość intelektualna klasy robotniczej będzie sprzyjała pełniejszemu, lepszemu, sprawniejszemu realizowaniu funkcji kierowniczych. Nie wolno zatem tego procesu nie widzieć.

— Z tego też powodu nie należy rozważać o roli i znaczeniu inteligencji, odrywać od procesów, jakie dokonują się w innych grupach i klasach. Trzeba to widzieć łącznie, a nie oddzielnie.

— Z tego punktu widzenia brakowało tak na XVI, jak i na XIX Plenum KC PZPR nurtu w dyskusji, który pokazywałby intelektualne funkcje klasy robotniczej. Nie można rozważać procesów społecznych, jakie się u nas dokonują, nie mówiąc właśnie o intelektualnych funkcjach współczesnych robotników. Nie można na przykład mówić o funkcjach inteligencji, nie mówiąc jednocześnie o tym, że współcześni robotnicy stają się coraz bardziej intelektualni. I to nie tylko dlatego, że obsługują coraz bardziej skomplikowane maszyny, ale również dlatego, że potrafią dokonywać wnikliwych politycznych ocen wydarzeń zachodzących w kraju i na świecie.

— Procesy społeczne, jakie się dokonują są skomplikowane i złożone. A często widzi się je przez stare schematy, które już nie odpowiadają rzeczywistości. Na przykład, co dziś znaczy pojęcie „inteligencja lewicowa", „lewica intelekutalna"? Nie oznacza to przecież tylko przynależności do partii politycznej. Raczej wyznawanie określonych poglądów. Wywodzi się ono z tradycji walki o wyzwolenie społeczne. Wówczas obejmowało ludzi, którzy byli związani z PPS, KPP czy ruchem ludowym, choć wcale nie musieli brać udziału w pracach partii politycznych. Byli sympatykami, zwolennikami takich przeobrażeń, które doprowadziłyby do postępu społecznego. Widzieli konieczność włączenia do życia politycznego i społecznego szerokich mas ludowych. A co dziś znaczą te pojęcia?

— Wśród komunistów mogą być i występują różne poglądy co do sposobów budowania socjalizmu, tempa przemian, ich radykalności, sposobów ujmowania struktur społecznych, struktur własnościowych, roli sojuszów społecznych i politycznych i tak dalej. Jest to naturalne. Natomiast jestem przeciwny używaniu terminologii, która powstała i spełniała swoją rolę w innych warunkach i przenoszenia jej w inne warunki.

— Jakie poglądy zasługują na miano „lewicowych", a jakie nie? Jakie tu mają obowiązywać kryteria oceny?

— Jeśli uznamy, że coś jest lewicowe, to musimy również uznać, że coś jest prawicowe. Można powiedzieć, że lewicowe jest to, co stoi na gruncie czystości doktryny. Ale tu rodzi się pewne niebezpieczeństwo, że przez czystość doktryny rozumieć będziemy trzymanie się dogmatów, a nie ma to nic wspólnego z dialektycznym stosowaniem marksizmu i dialektycznym widzeniem świata. W moim przekonaniu posługiwanie się takimi pojęciami mąci obraz, tworzy sztuczne podziały, a nam powinno zależeć na szukaniu i budowaniu jedności ideowej i politycznej.

— Skoro jednak pojęcie lewicowość istnieje, jest używane, to czy nie należałoby poszukać pełniejszej jego definicji. A zatem, czy nie należałoby przyjąć, że lewicowość — to inaczej zgodność z prawami rozwoju społecznego, umiejętność widzenia tych praw i stosowania ich w praktyce. Tylko że takie rozumienie lewicowości grozić może przykrymi konsekwencjami, gdyż wymaga krytycznego stosunku do rzeczywistości. Zresztą w ogóle obowiązkiem intelektualisty jest mieć krytyczny stosunek do rzeczywistości, sięgać dalej niż inni i ostrzegać przed niebezpieczeństwami, które widzi, a które dla innych mogą być niewidoczne. Tylko że to jest przykry i niebezpieczny obowiązek, bo kto u nas kocha krytykę?

— Jeśli będziemy pławili się w samozadowoleniu i prawili sobie same komplementy, to do niczego nie dojdziemy. Uważam, że krytykę trzeba szanować, poważać i uważnie się w nią wsłuchiwać. Tylko poprzez krytykę można dostrzec własne błędy i groźbę konfliktów. Można dostrzec sprzeczności, o których wcześniej mówiłem i można znaleźć właściwe sposoby ich rozwiązywania.

— Krytyka może być oczywiście różna. Dotyczyć spraw bardzo ważnych i mniej ważnych. Naruszania praw rozwoju społecznego albo stylu życia. Zwykliśmy ostatnio mówić pozytywnie o różnych grupach społecznych. Nawet sami robotnicy często zżymają się na „schlebianie klasie robotniczej". Jest to po prostu schematyczne widzenie tej klasy. Skoro ona jest przodująca, to każdy robotnik musi być przodujący, a to nieprawda, bo robotnicy, jak chłopi i jak inteligenci bywają różni. Trzeba więc i o tym mówić i pisać. Na przykład, czy nie niepokoi cię zjawisko drobnomieszczanienia tak robotników, jak chłopów, jak i inteligentów. Robotnicy mieli swoje piękne tradycje, zwyczaje, które dziś giną niekiedy w zastraszająco szybki sposób. A ich miejsce zajmują wzory drobnomieszczańskie. Mnie na przykład bardzo to niepokoi.

— Sprawa jest dość skomplikowana. Występują tu dwa różne zjawiska. Musimy zatem spróbować znaleźć między nimi coś, co je łączy. Przede wszystkim, co to jest drobnomieszczańskość?

— Definicja jest prosta. Drobnomieszczaństwo — to warstwa pośrednia między burżuazją a proletariatem. Drobni wytwórcy bywają posiadaczami środków produkcji, ale też wyzyskiwani przez kapitalizm. W socjalizmie mają wszelkie możliwości związania się z gospodarką socjalistyczną. Ale mnie chodzi bardziej o styl życia i myślenia nazywany umownie — drobnomieszczaństwem, a wyrażający się formułą podporządkowującą wszystko temu, aby „mieć".

— Jest to wszakże pojęcie pejoratywne. Nikt się nie będzie chwalił tym, że ulega wpływom drobnomieszczaństwa. Ale z drugiej strony dokonuje się proces rozwoju cywilizacji, wzrostu aspiracji także na płaszczyźnie „mieć". Teraz należy zapytać, czy dążenie do tego, aby mieć wygodne mieszkanie, samochód, lodówkę, kolorowy telewizor, magnetowid, działkę, żaglówkę i tak dalej, czy to jest tylko wyraz drobnomieszczańskiego stylu życia, czy też naturalne dążenia człowieka do tego, aby żył wygodnie i dostatnio? Przecież to wszystko produkuje się na świecie, częściowo i u nas, produkuje się u naszych sąsiadów, czemuż więc z tego powodu, że ludzie chcą to mieć mamy im czynić wyrzuty i oceniać negatywnie?

— Nie w tym rzecz, aby te naturalne dążenia oceniać negatywnie. Rzecz w tym, jakie one miejsce zajmują w hierarchii wartości i celów.

— Zgoda. Jeśli istotnie chęć posiadania spycha na plan dalszy w skali wartości jednostki czy grupy dążenia do rozwoju intelektualnego, duchowego, to jest to zjawisko, którego nie można ocenić pozytywnie. Przede wszystkim dlatego, że tworzą się inne systemy wartości, zubożające jednostkę i całe grupy społeczne. Ludzie stają się bogaci materialnie, ale ubodzy duchem.

Ale tu występuje też pewna komplikacja, której nie wolno nie dostrzegać. Otóż, gdyby dóbr materialnych było na rynku pod dostatkiem, gdyby dostęp do nich był łatwy, to ludzie, zaspokajając swoje naturalne potrzeby, dążenia i aspiracje, nie musieliby tyle czasu poświęcać na to, aby zdobyć te dobra materialne. Mogliby ten czas i inicjatywy wykorzystać dla swego rozwoju intelektualnego

— Czy nie próbujesz jakoś w ten sposób usprawiedliwiać tego procesu, który w sumie — biorąc rzecz obiektywnie — nie jest pozytywny?

— Nic podobnego. Daleki jestem od usprawiedliwiania. Ale nie wolno nam zapominać, że jesteśmy winni tego, że tak się właśnie dzieje. Gdybyśmy bowiem urządzili naszą gospodarkę tak, że nie powstałyby znane trudności na rynku, to nie wpychalibyśmy ludzi w sytuacje moralnie nawet wątpliwe, kiedy zdobycie jakiejś rzeczy wymaga określonych zabiegów nie będących w zgodzie nie tylko z kodeksem, ale i moralnością. Gdyby więc taki rynek funkcjonował, to być może udałoby się dokonać niezbędnych przesunięć w skali wartości z „mieć" na „być". A poza tym nie możemy potępiać w czambuł chęci posiadania, gdyż chęci te są ważnym motorem postępu.

— Ale niebezpieczeństwo drobnomieszczanienia różnych grup i warstw społecznych polega nie tylko na tym, że ludzie chcą mieć za wszelką cenę, że to ich główny cel życia. Ono polega również i na tym, że ludzie wzorce swego życia kształtują na wzór zachodni i to państw najwyżej rozwiniętych, co jest w naszych warunkach mało realne, zważając przy tym na określoną sytuację gospodarczą. Musi to zatem prowadzić do kolizji z prawem bądź moralnością, no a poza tym jest to próba przeniesienia wzorców z innego wymiaru społecznego, wyrosłego z innej ideologii, rządzącego się odrębnymi wartościami i prawami. Musi się to skończyć fiaskiem i wyrządzić wiele szkody.

— To prawda. Jest to zjawisko niebezpieczne. I — co gorsza — dotyczy ono w jakiejś części wszystkich warstw i klas. Jeśli więc mówiłem o różnych uwarunkowaniach tego procesu, to głównie dlatego, aby pokazać jego złożoność, skomplikowanie, a przez to trudności w przeciwdziałaniach. W sferze ideologii zjawisko to rodzi poważne groźby uproszczonego ujmowania świata. W sferze praktyki grozi ono nieliczeniem się z realiami w zakresie bieżącego i perspektywicznego zaspokajania potrzeb.

— Ale wzorce kapitalistycznych krajów najbardziej rozwiniętych mogą niejednego zauroczyć.

— To prawda. Pamiętamy tylko, że są one produktem określonego rodzaju rozwoju społecznego. Zresztą wzorce te są krytykowane również w krajach kapitalistycznych. Krytykują je intelektualiści, robotnicy, politycy różnych ugrupowań. Widzą oni w nich zagrożenie dla prawidłowego rozwoju duchowego jednostki. Chęć posiadania za wszelką cenę może prowadzić do niebezpiecznych następstw. Człowiek powinien posiadać to wszystko, co ułatwia życie, ale po to, aby móc się lepiej i pełniej rozwijać intelektualnie, pełniej uczestniczyć w życiu społecznym, kulturalnym itp.

— Powiedzieliśmy już, że reforma gospodarcza — której konieczność wynika ze sprzeczności między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji — jest niezbędna i powinna doprowadzić do większej zgodności między tymi czynnikami rozwoju społecznego. Dla właściwego realizowania reformy gospodarczej, dla unowocześniania sposobu gospodarowania są potrzebne inicjatywy, pełne wykorzystanie potencjału intelektualnego i twórczego wszystkich pracujących. Można było się spodziewać, że XIX Plenum KC PZPR zdecydowanie się opowie za koniecznością przywrócenia podstawowej zasady socjalizmu: „od każdego według możliwości, każdemu według pracy". Natomiast w uchwale mówi się, że „należy polepszyć materialne i prawno-organizacyjne warunki pracy środowisk inteligenckich". Mówi się też, że trzeba „modyfikować system płac, wynagrodzeń i podatków, wzbogacać bodźce moralne — tak by preferowały postawy twórcze, nowatorskie, wyróżniały jakościowe wyniki pracy". O tym, że trzeba wiadomo od dawna. Dla praktyki niewielka to wytyczna.

— Mówiłem już o uchybieniach wobec prawa zgodności między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji. Z tych uchybień wynikają naruszenia innego prawa, a mianowicie wynagradzania ludzi według ilości i jakości pracy. Dysproporcje nie powstały ani dziś, ani wczoraj. Wiele lat temu zostały naruszone proporcje w skali wartości według jakich ocenia się ilość i jakość pracy. Stan taki trwa nadal. Wskutek tego praca prosta w wypaczonym systemie wartości została znacznie wyżej wysunięta niż praca złożona.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— I nie ma siły, aby to zmienić?

— Tu nie siły potrzebne, a system wartościowania. Nie posiadamy dotychczas systemu, który by racjonalnie oceniał proporcje wkładu pracy konkretnych pracowników do dochodu narodowego. Żeby było to dobrze zrozumiane, potrzebny jest taki system, który określałby, że tokarz zarabia 1, a konstruktor 2 lub 3, czyli zarobek tokarza do zarobku konstruktora ma się jak 1:2 lub 1:3. Podobnie zarobek sprzątaczki i inżyniera i tak dalej. Bez ustalenia takich generalnych proporcji nie można uporządkować systemu płac. Płace — jak wiemy — powinny rosnąć, ale powinny rosnąć zgodnie z ich strukturą, czyli właśnie wedle takich proporcji, jak to wspomniałem: jeśli zmienia się płace tokarza i konstruktora, to stosunek między nimi nadal powinien wynosić 1:2 albo 1:3.

— Dobrze. Ale przecież wszyscy o tym wiedzą. I zgodni są co do tego, że trzeba to zmienić. I co? Wszyscy zdają sobie również sprawę z tego, że utrzymanie takiego systemu płac stępia bodźce postępu. Ludziom nie opłaca się uczyć, nie opłaca się zajmować stanowisk odpowiedzialnych, awansować, wykazywać inicjatywę. I co dalej?

— Do dokonania koniecznej zmiany w systemie wynagrodzeń potrzebne są dwa czynniki. Pierwszy — to ów system wartości — o którym wspomniałem — a który pozwalałby na wstępną ocenę ilości i jakości pracy. Systemy takie w świecie istnieją. Nie ma potrzeby ponownego „odkrywania Ameryki" i wyważania drzwi już otwartych. Można znaleźć je u naszych sąsiadów i odpowiednio zaadaptować. Tylko że nie to jest największą trudnością. Największą trudnością jest to, że nie jesteśmy w stanie szybko sfinansować takiej reformy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że możemy ją przeprowadzić tylko i jedynie dokładając do już istniejących płac w taki sposób, aby powstały konieczne proporcje. Nie można jednym zabrać a drugim dać. Takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia. Wywołałoby to protesty. Nie dosyponujemy dzisiaj takimi środkami, aby można było wszystkim tak podnosić płace, by zarobek wynikał z włożonego wysiłku i jego jakości, czyli by płaca była oceną ilości i jakości pracy. Wymaga to pewnego czasu.

— Zatem trzeba zapytać, czy Uchwała XIX Plenum KC PZPR mogła powiedzieć w tej sprawie coś więcej niż to zostało powiedziane?

— Moim zdaniem — nie. Uważam, że i tak powiedziane zostało dużo, ale byłoby błędem i — co tu mówić — nieuczciwością, gdyby KC określiło czas, w jakim taka reforma płac będzie dokonana. Nie jesteśmy tego w stanie zrobić. Ale mamy świadomość konieczności dokonania tego względnie szybko. Co więcej, mamy świadomość, że w niektórych działach gospodarki dysproporcje między płacami zostały już tak napięte, że są powodem regresu.

— Niektóre fabryki dokonują własnych reform w płacach.

— Jest już przeszło 1 500 takich przedsiębiorstw, które opracowały własne systemy płac. Tylko rodzi się tu pewne niebezpieczeństwo, że bez opracowania generalnej skali wartości, wedle której można byłoby oceniać ilość i jakość pracy, takie zakładowe systemy płac mogą utrwalać i umacniać istniejące dysproporcje. Uważam, że nie mając jeszcze ogólnej koncepcji systemu płac w skali kraju nie można rozwiązać tego problemu poprzez rozwiązania cząstkowe, bo nie wiadomo, jak one będą miały się do koncepcji całościowej.

— Nasza sytuacja — jak wynika z naszej rozmowy, a przecież ona tylko ujawnia istniejące procesy i zagrożenia — jest wysoce skomplikowana i trudna. Mamy do rozwiązania wiele problemów i nie wiemy dokładnie, nie jesteśmy w stanie tego określić, kiedy będziemy mogli je rozwiązać. A jest przecież rok 1985 i do XXI wieku pozostało tylko 15 lat. To bardzo mało. XXI wiek przywykliśmy uważać za wyznacznik szczytowego rozwoju naszej cywilizacji w najbliższym czasie. Czy nie obawiasz się, że wejdziemy w ten wiek XXI jako kraj zacofany?

— Przeżywamy obecnie rewolucję naukowo-techniczną i jest pewne, że na przełomie wieków, z początkiem XXI wieku ujawnią się w pełni jej rezultaty. Jest to dla wszystkich wielkie wyzwanie technologiczne. Jak się najlepiej do tego skoku jakościowego naszej cywilizacji przygotować, to wielkie i skomplikowane pytanie. XXI wiek zapowiada bowiem nie tylko rezultaty rewolucji naukowo-technicznej, ale związane z nią nowe jakości w sferze społecznej, politycznej i ideologicznej. Kraj nasz znajduje się w sytuacji niebywale skomplikowanej. Nie będzie to wielką przesadą, jeśli powiem, że w skali światowej jest to jedna z bardziej skomplikowanych sytuacji. Nie znaczy to oczywiście, że na świecie nie ma państw, które nie mają wielkich kłopotów, ale stopień skomplikowania ich jest w naszym przypadku wyjątkowo wielki.

— Cóż zatem mamy robić?

— Rozważając przygotowania do wejścia w XXI wiek mamy przede wszystkim świadomość luki technologicznej i strukturalnej w naszej gospodarce. To co robimy dziś będzie decydowało o przyszłości. Stąd prace nad przyszłym planem 5-letnim i perspektywicznym są związane z wielką odpowiedzialnością.

Pytasz, co zatem robić?

Otóż mogę tylko zarysować problemy, nazwać je, bo dokładne ich omówienie zajęłoby wiele czasu i miejsca. Jest to temat na osobną rozmowę. A zatem:

Po pierwsze — niezbędne jest skupienie wysiłku całego społeczeństwa wokół programu naszego dalszego rozwoju. Jest to sprawa podstawowa, a problem polega na tym, że licząc się z realiami — trudno jest zarysować taki program, który byłby w stanie porwać wszystkich. A mimo to, musimy znaleźć takie narodowe cele rozwojowe, które zdołają skupić wszystkich wokół ich realizacji.

— Jest to warunek dalszego bycia narodu.

— Po drugie — musimy dokonać takich przeobrażeń w gospodarce, aby mogła ona zaspokajać coraz lepiej bieżące potrzeby i jednocześnie przygotować się technologicznie do spełniania zadań, jakie wynikają z rewolucji naukowo-technicznej. Trzeba zatem dokonać poważnych zmian w jej strukturze, z czegoś zrezygnować, aby coś innego rozwijać.

Po trzecie — dochód ma dwie części: inwestycje i konsumpcje. Trzeba zyskać aprobatę społeczeństwa dla takiego podziału dochodu narodowego, aby można było realizować niezbędne inwestycje. Do tego potrzebne są również dewizy. Musimy lepiej korzystać z możliwości, jakie daje nam RWPG, rozwijać współpracę z Trzecim Światem oraz wchodzić w kooperację z przedsiębiorstwami kapitalistycznymi.

— W jakim jesteśmy miejscu, jeśli chodzi o przygotowania do znalezienia swego miejsca w rewolucji naukowo-technicznej, czyli inaczej w XXI wieku?

— Te przygotowania nie mogą być oderwane od współczesności, od jej realiów. Rozpoczyna się dyskusja nad założeniami pięciolecia 1986—1990 oraz nad zarysem planu do roku 2000, a więc na całe piętnastolecie. Ta dyskusja jest ogromnie ważna, powinna ona mieć charakter ogólnonarodowy. W tej dyskusji potrzeba pokazać cele, środki, możliwości, zagrożenia rozwojowe. Powinna ona doprowadzić do wybrania optymalnego wariantu rozwoju. Optymalnego i społecznego zaakceptowania go.

— W tej sprawie wypowie się też zapewne X Zjazd PZPR.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jak ożywić innowacyjność gospodarki?

W okresach trudności gospodarczych w repertuarze naszych dyskusji pojawia się żelazny temat zawarty w pytaniu: jak ożywić innowacje w przemyśle? Problemowi temu poświęca się wiele uwagi w publikacjach naukowych, komentarzach prasowych i podczas centralnych narad. Wszyscy zainteresowani wykazują duże zatroskanie ociężałością innowacyjną gospodarki, opracowywane są ambitne programy poprawy sytuacji, powoływane są odpowiednie urzędy, komisje, a po pewnym czasie okazuje się, że efekty tych wielorakich działań w postaci konkretnych innowacji są mizerne i pozostaje nam jedynie pociecha, że mamy zdolne i wykształcone rzesze pracowników badawczych i inżynierów, a także rozbudowane zaplecze badawczo-rozwojowe.

Obecną fazę dyskusji i działań dotyczących ożywienia innowacji w gospodarce charakteryzują dwa fakty: primo — przekonanie władzy centralnej o konieczności zdynamizowania procesów innowacyjnych; towarzyszą temu centralne decyzje organizacyjne i finansowe, secundo — usiłowania zmierzające do pobudzenia tendencji proinnowacyjnych w przedsiębiorstwach w oparciu o mechanizmy i instrumentarium reformy.

Pierwsze lata funkcjonowania reformy dowiodły, że jej mechanizmy nie wyzwoliły dostatecznej nawet presji innowacyjnej na przedsiębiorstwa. Rozstrzygnięcie problemu: w jakim stopniu owa słabość innowacyjna jest związana organicznie z rozwiązaniami (ułomnościami) reformy, a w jakim wynika wprost z ograniczeń materialno-finansowych, narzuconych przez sytuację kryzysową, wymagałoby dłuższego wywodu. Ograniczymy się przeto do konstatacji, że perturbacje ekonomiczne wycisnęły swoje piętno na aktywności innowacyjnej, która zresztą i w okresie przedkryzysowym nie była silną stroną gospodarki polskiej. Drastyczne zmniejszenie wydatków na badania naukowe i prace rozwojowe, zaniechanie importu licencji, ograniczenie importu literatury naukowej, odczynników, aparatury etc., spowodowało regres w działalności innowacyjnej. Pogłębiła się luka technologiczna między Polską a wysoko rozwiniętymi krajami, zwłaszcza na polu mikroelektroniki, komputeryzacji, biotechnologii i inżynierii materiałowej. W kontekście trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się polska technika, rodzi się pytanie o możliwości rekonwalescencji tej dziedziny, o szanse przywrócenia jej roli siły napędowej rozwoju społeczno-gospodarczego. Nie należy oczekiwać, iż w krótkim czasie nastąpi zwiększenie ofensywności naszej gospodarki w dziedzinie innowacji. Nie oznacza to jednak, iż należy poddać się inercyjnemu oddziaływaniu nastroju niemożności, który niczego nie gwarantuje prócz dalszego regresu.

Kluczową rolę w ożywieniu procesów innowacyjnych odgrywa polityka inwestycyjna. Innowacje o przełomowym znaczeniu dla poziomu techniki wytwarzania przenikają przecież do gospodarki poprzez inwestycje. W związku z tym conditio sine qua non pobudzania innowacji jest zharmonizowanie działalności inwestycyjnej z preferowanymi kierunkami postępu naukowo-technicznego. Punktem wyjścia prowadzącym do osiągnięcia tej harmonii powinna być skonkretyzowana, jasna koncepcja przemian strukturalnych gospodarki będąca podstawą programu inwestycyjnego. Bez klarownego obrazu planowanych przemian strukturalnych gospodarki nie można w sposób efektywny kształtować polityki innowacyjnej realizowanej poprzez inwestycje. Współczesne uwarunkowania ekonomiczne narzucają konieczność dokonania głębokich zmian w strukturze gospodarczej kraju. Wymaga to zdecydowanego określenia listy gałęzi rozwojowych, jak również gałęzi schyłkowych, których rozwój będzie stopniowo ograniczany z powodu ich niekonkurencyjności w stosunku do wymagań rynku światowego i braku szans rozwoju w polskich warunkach. W tym kontekście negatywnie należy ocenić brak w naszej obecnej polityce gospodarczej spójnej i klarownej koncepcji przemian strukturalnych gospodarki narodowej.

Przykładem naszej słabości w dziedzinie przeobrażeń strukturalnych jest sposób podejścia do problemu elektronizacji przemysłu. Właściwie wszystkie centralne instytucje są głęboko przekonane, że dotychczasowego stanu elektronicznej pustki nie można dłużej tolerować i należy przyspieszyć elektronizację gospodarki, gdyż inaczej narastać będzie nadal opóźnienie technologiczne kraju. Rozwój tej dziedziny wymaga jednak znacznego zastrzyku środków na wzmocnienie potencjału badawczego i produkcyjnego elektroniki. Warto podjąć ten wysiłek, gdyż elektronizacja powoduje, jak wykazują bogate doświadczenia zagraniczne, skokowy wręcz wzrost wydajności pracy i gwarantuje szybki zwrot nakładów poniesionych na ten cel. Tymczasem polityka elektronizacji gospodarki pozostaje nadal głównie w sferze haseł i uroczystych deklaracji. Analiza działalności inwestycyjnej w 1984 r. upoważnia do wniosku, że dotychczasowa archaiczna struktura gospodarcza oparta o przemysły wydobywcze i ciężkie ulega petryfikacji. Oznacza to brak szans dla szybkiej realizacji inwestycji w przemyśle elektronicznym (efekt „krótkiej kołdry").

Negatywne doświadczenia okresu 1982—1983 w dziedzinie procesów innowacyjnych skłoniły władzę centralną do zwrócenia baczniejszej uwagi na problem innowacji. Świadczy o tym odrębne potraktowanie rozwiązań służących stymulowaniu innowacji w dokumencie określającym kierunki modyfikacji mechanizmów reformy od 1984 r., a także nowelizacja ustawy o wynalazczości. Nie oznacza to, że owe zmodyfikowane regulacje przyczynią się do rychłej reanimacji aktywności innowacyjnej przedsiębiorstw. Prawdę mówiąc modyfikacje te kryją w sobie zarówno rozwiązania proinnowacyjne, rokujące nadzieję na ożywienie innowacyjności gospodarki, jak i rozwiązania połowiczne, a nawet nieskuteczne. Z wachlarza modyfikacji realizowanych od 1984 r. pragniemy wybrać te, które w naszym przekonaniu, mają ważkie znaczenie dla ożywienia innowacyjności gospodarki.

Istotnym novum systemu reformy w 1984 r. są konkretne propozycje dotyczące centralnego sterowania działalnością innowacyjną. Należy przypomnieć, że w poprzednich regulacjach (1982—83) zagadnienie to było ledwie „zamarkowane" przy okazji ogólnej prezentacji narzędzi sterowania sferą przedsięwzięć badawczo-rozwojowych i wdrożeniowych. W aktualnych dokumentach zawarta jest zrealizowana już propozycja powołania do życia centralnego organu odpowiedzialnego za politykę techniczną państwa. W 1984 r. utworzono Komitet Nauki i Postępu Technicznego oraz Urząd Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń, których zadania polegają na kreowaniu, koordynowaniu i egzekwowaniu jednolitej polityki naukowo-technicznej w kraju, a także na zwiększaniu efektywności wdrażania osiągnięć nauki i techniki w praktyce gospodarczej.

Byłoby naiwnością sądzić, że utworzenie wysokiego urzędu administracji państwowej dla kształtowania i realizowania polityki innowacyjnej spowoduje automatycznie przełom techniczny czy eksplozję innowacji na miarę potrzeb gospodarki polskiej. Doceniając nieodzowność istnienia takiego organu należy wszelako pamiętać, że zwiększenia zainteresowania przedsiębiorstw innowacjami trzeba poszukiwać w kojarzeniu centralnego sterowania z mechanizmami wymuszającymi efektywne gospodarowanie czynnikami wytwórczymi w przedsiębiorstwach. Najsilniejszy merytorycznie i najsprawniejszy organizacyjnie centralny organ odpowiedzialny za działalność innowacyjną będzie mało efektywny, a nawet bezsilny bez oddolnego mechanizmu innowacyjnego rodzącego się w przedsiębiorstwach.

Korzystnym z punktu widzenia działalności innowacyjnej rozwiązaniem jest zastąpienie progresywnej formuły podatku dochodowego opartego na kosztach przerobu podatkiem liniowym (proporcjonalnym). W związku z tym można oczekiwać, że przedsiębiorstwa zwiększając swe zyski przez obniżenie kosztów wytwarzania i nie narażając się na niwelację owych zysków przez progresję podatkową będą sięgać po innowacje. Jest to teza słuszna pod warunkiem, że przedsiębiorstwa będą osiągać wzrost masy zysku nie przy pomocy manipulacji cenowych, manewrów asortymentowych i innych tego typu sposobów, lecz drogą poprawy efektywności produkcji.

Ważne znaczenie dla ożywienia działalności innowacyjnej przedsiębiorstw mają rozwiązania motywacyjne, wśród których należy wyróżnić przede wszystkim:

— ustawę o zasadach tworzenia zakładowych systemów wynagrodzeń,

— znowelizowaną ustawę o wynalazczości,

— ulgi w obciążeniach na PFAZ i w podatku dochodowym z tytułu innowacji.

W ramach określonych ustawą o zasadach tworzenia zakładowych systemów wynagrodzeń przedsiębiorstwa dysponują swobodą w ustalaniu tabel płac oraz kryteriów udziału pracowników i zespołów w zysku. Istnieje więc możliwość stworzenia silnych zachęt do stosowania innowacji w przedsiębiorstwie. Wymaga to jednakże spełnienia trzech istotnych warunków:

— wydłużenia tzw. perspektywy planistycznej przedsiębiorstwa; bezustanne zmiany reguł gry, ciągłe korekty parametrów skracają tę perspektywę;

— przezwyciężenia silnych nadal w przedsiębiorstwach tendencji egalitarnych w polityce płacowej;

— zlikwidowania możliwości uzyskiwania przez przedsiębiorstwa ulg i preferencji niezasłużonych (pasożytniczych), uzyskanych często w drodze nacisku, perswazji, szantażu itp.

Znowelizowana ustawa o wynalazczości dostosowuje regulacje w tej dziedzinie do zasad reformy gospodarczej. Najważniejszą cechą tej nowelizacji jest zastąpienie postanowień nakazowych przez regulację opartą na metodzie cywilno-prawnej i umownym kształtowaniu stosunków między jednostkami gospodarki uspołecznionej w zakresie projektów wynalazczych. Wzmocniono także pozycję twórcy pracowniczego wynalazku i wzoru użytkowego, co wyraża się w rozszerzeniu jego zakresu uprawnień. Między innymi twórca ma prawo wystąpienia do Urzędu Patentowego o wydanie świadectwa autorskiego, które uprawni go do uzyskania wynagrodzenia. Rozszerzono krąg osób, które są materialnie zainteresowane innowacjami i znacznie zwiększono wynagrodzenia za pracownicze projekty wynalazcze. Znowelizowana ustawa działa od 1 lipca 1984 r. I jeszcze za wcześnie na miarodajną ocenę jej stymulacji roli w dziedzinie innowacji.

Zwiększeniu motywacji przedsiębiorstw do stosowania innowacji służą także:

— ulgi w podatku dochodowym z tytułu podjęcia prac wdrożeniowych i uruchomienia produkcji: nowych generacji urządzeń energetycznych o istotnie zmniejszonej energochłonności (potwierdzonej atestem państwowym), wyrobów o znacznie wyższej jakości, niezawodności lub niższych kosztach eksploatacji;

— wyłączenie z obciążeń na PFAZ środków wydatkowanych przez przedsiębiorstwa na zakup innowacji od pracowników własnych oraz funduszów efektów wdrożeniowych;

— preferowanie kredytowe przyznawane przedsiębiorstwom w związku z uruchomieniem nowej produkcji, gdy cykl przygotowań technicznych jest długi.

Przedstawione wyżej propozycje, jakkolwiek kierunkowo słuszne, nie tworzą w pełni spójnego systemu motywacji do podejmowania aktywności innowacyjnej. Zastrzeżenia budzi przede wszystkim połowiczność wyłączenia wynagrodzeń innowacyjnych z rachunku obciążeń na PFAZ. Należałoby wyłączyć całość wynagrodzeń związanych z przygotowaniem i wdrożeniem nowych rozwiązań, a nie tylko środki wydatkowane przez przedsiębiorstwo na zakup innowacji od pracowników własnych oraz kwoty wynikające z odpisów na fundusz efektów wdrożeniowych.

Drugie zastrzeżenie odnosi się do kredytowania przedsięwzięć innowacyjnych. Brak jest w pakiecie rozwiązań dotyczących stymulowania innowacji propozycji uruchomienia specyficznych kredytów innowacyjnych (venture capital) przyznawanych jednostkom gospodarczym (zorganizowanym w formie spółki) gotowym ponieść ryzyko innowacyjne.

W celu skuteczniejszej realizacji zasad „twardego" finansowania i tworzenia warunków przymusu ekonomicznego dla poprawy efektywności gospodarowania i rozwoju produkcji przewiduje się zmniejszenie zakresu dotowania produkcji. W szczególności dotacjom przedmiotowym zostanie nadany wyraźny charakter instrumentu polityki cen. Stawki dotacji ustalane będą w jednolitej wysokości dla wszystkich producentów wyrobu lub usługi objętej dotacją przedmiotową niezależnie od indywidualnego poziomu kosztów produkcji. Dotacje podmiotowe będą stosowane w stosunku do przedsiębiorstw dochodzących do planowej zdolności produkcyjnej, w ramach i na zasadach określonych w ustawie o poprawie gospodarki przedsiębiorstwa i jego upadłości oraz na sfinansowaniu zleconych przedsiębiorstwu zadań.

Rozwiązania te nie gwarantują bynajmniej umocnienia zasady „twardych" ograniczeń pieniężno-budżetowych i uruchomienia proinnowacyjnych sił w działalności przedsiębiorstw. Przyczyny tego stanu rzeczy są następujące:

— paternalistyczna polityka państwowa wobec nieefektywnych przedsiębiorstw (zwłaszcza przedsiębiorstw dużych). W praktyce gospodarczej nie egzekwuje się zasady upadłości „chorych" przedsiębiorstw;

— panowanie kosztownej formuły cen ze wszystkimi jej negatywnymi implikacjami dla procesów innowacyjnych;

— występowanie szerokiej gamy ulg i preferencji o charakterze przetargowym, co znakomicie osłabia skłonność przedsiębiorstw do podejmowania innowacji i czyni system podatnym na manipulacje (z systemu nakazowo-rozdzielczego przekształcił się w system przetargowo-uznaniowy).

Prezentowane tu nowe regulacje w zakresie reformy zawierają liczne luki i niespójności mające istotne implikacje dla innowacyjności gospodarki. W naszym przekonaniu na podkreślenie zasługuje przede wszystkim:

— brak regulacji w zakresie stworzenia warunków dla swobody „wejścia" przedsiębiorstw na nowe obszary działalności produkcyjnej, a także regulacji dotyczących międzybranżowego i międzyzakładowego przepływu kapitału;

— brak postępów w dziedzinie samofinansowania dewizowego przedsiębiorstw, co poważnie ogranicza możliwości działania przedsiębiorstw w sferze innowacji;

— zahamowania w proinnowacyjnej selekcji kadr kierowniczych przedsiębiorstw;

— opieszałość w zakresie dostosowania systemu funkcjonowania jednostek badawczo-rozwojowych do zasad reformy.

Ożywienie skłonności innowacyjnej gospodarki polskiej jest sprawą złożoną, wymagającą jednoczesnej gry na różnych „fortepianach". Dlatego też uproszczeniem jest wyrażane przez niektórych ekonomistów przekonanie, że można podnieść innowacyjność gospodarki poprzestając na działaniach w zakresie usprawnienia systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw. Prawda zaś jest taka, że najsilniej działającą podnietą innowacyjną jest presja otoczenia wywierana na przedsiębiorstwa przez nasycony rynek, który rodzi przesłanki konkurencji. Brak takiego rynku trudno jest skompensować najlepszymi nawet narzędziami ekonomicznymi. Z tego względu dążenie do osiągnięcia równowagi rynkowej jest zarazem działaniem na rzecz podniesienia innowacyjności gospodarki. Realia naszej gospodarki sprawiają, że poprawa innowacyjności nie będzie zadaniem łatwym. Najlepszą gwarancją sukcesu w zakresie innowacyjności jest konsekwentne i rzetelne upowszechnianie reformy oraz zapewnienie spójności głównych linii centralnej polityki gospodarczej z funkcjonowaniem nowych mechanizmów ekonomicznych. Reforma wymaga wsparcia ze strony centralnej polityki gospodarczej zwłaszcza w dziedzinie procesów inwestycyjnych, równoważenia rynku, likwidowania zbędnych struktur monopolistycznych i zwiększenia nakładów na rozwój nauki i techniki. Bez spełnienia tych warunków poprawa innowacyjności gospodarki pozostanie jedynie pustym hasłem i tematem ciągłych utyskiwań.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Wybory zdrowego rozsądku

Kandydaci

Kilkakrotnie już wyrażałem przekonanie, że cała polityczna wartość i społeczna doniosłość wyborów do Sejmu skupi się wokół wyłaniania kandydatów na posłów. Nie tylko z tego powodu, który wydaje się najoczywistszy — że taki będziemy mieli najwyższy organ władzy w państwie, jakich ludzi spośród nas doń wybierzemy. Drugi powód jest nie mniej ważny — sam przebieg i efekt końcowy dobierania kandydatów (w postaci gotowych list wyborczych) przesądzi — jak mniemam — o społecznej wiarygodności i szczerości intencji sił politycznych, sprawujących władzę w sposób realny. (Mam tu na myśli przede wszystkim partie polityczne i organizacje uczestniczące w koalicyjnym systemie władzy). Sam w tę szczerość nie wątpię ani przez chwilę, dlatego właśnie przywiązuję do doboru kandydatów tak wielkie znaczenie.

Ordynacja wyborcza ma już charakter obowiązującego prawa, przeto najistotniejsze proceduralne i merytoryczne pryncypia całego systemu wyłaniania kandydatur są już ustalone. Nie jest moim zamiarem dyskutowanie z tymi zasadami, zresztą byłby to zamiar spóźniony; wszakże nie chcę ukrywać, że do niektórych z nich odnoszę się co najmniej powściągliwie...

Są trzy nowe instytucje prawne, które mają kluczowe znaczenie dla procesu wyłaniania kandydatów — lista państwowa, prawo do zgłaszania kandydatur dla wszystkich organizacji społecznych o zasięgu ogólnokrajowym oraz szczególna sytuacja prawna konwentów wyborczych.

O pierwszej z nich — czyli liście krajowej — pisać teraz nie chcę, gdyż jest to osobny i obszerny temat. Muszę jednak stwierdzić, że szeroko reklamowane zalety tego rozwiązania jakoś mnie nie zachwycają, natomiast jego skrywane wady dostrzegam nader wyraziście. Dość powiedzieć, że wybory na kandydatów z tej listy mieć będą charakter raczej plebiscytarny — jako rodzaj sprawdzianu popularności stołecznych polityków, działaczy i tzw. osobistości życia publicznego. Dla całego elektoratu (ok. 26 milionów obywateli), jak i dla bytu przyszłego parlamentu taki plebiscyt jest bez znaczenia, przeto wolałbym, aby politycy o swą popularność walczyli (i potem ją mierzyli) przy innych okazjach. A jest ich w naszym życiu współczesnym niemało...

Zresztą kwestia ta dotyczyć będzie co najwyżej pięćdziesięciu posłów, gdyż gospodarz tej listy, Rada Krajowa PRON, zapowiada, że nie obsadzi wszystkich mandatów z dozwolonej prawem liczby (15 proc., czyli 69).

O wiele bardziej istotne dla składu, jakości i kondycji Sejmu będą wybory w okręgach, a zatem i proces wyłaniania kandydatów tamże. Wszystkie organizacje społeczne o ogólnopolskim zasięgu mają prawo wysuwania własnych kandydatów na kandydatów (a nie kandydatów bezpośrednio!). Organizacji takich, działających na zasadach prawa o stowarzyszeniach, jest ponad 450 (dokładnie podobno 472!...). Przeto każdy zarząd wojewódzki każdej z nich ma podmiotowe prawo zgłoszenia swojego kandydata (a właściwie wielu, gdyż żaden przepis nie ogranicza ich ilości).

Znajomość praktyki naszego życia publicznego skłania mnie do przekonania, że nie wszystkie organizacje z tego prawa skorzystają — z różnych powodów. Byłoby chwalebne, aby najważniejszym z tych powodów była odpowiednia doza autokrytycyzmu. W rozsądek niektórych organizacji nie wątpię, ale z drugiej strony spodziewam się nagłych erupcji politycznej aktywności, o wyraźnie wyborczym zabarwieniu wśród wielu innych, mało dotąd znanych i wąskowyspecjalizowanych organizacji, a zwłaszcza wśród ich ambitnych przywódców.

Nie sądzę wszakże, aby zjawisko takie było czymś nagannym. W końcu jedną z zalet uczciwie praktykowanej demokracji jest bezlitosna weryfikacja postaw, ambicji i możliwości obywateli, w konfrontacji z wymogami realnej polityki.

W warunkach stworzonych przez ordynację wyborczą, konfrontacja ta przebiegać będzie najpierw w konwentach wyborczych. Z tego względu przypisuję im kluczową rolę w całym systemie — niełatwe zwłaszcza będzie koordynowanie interesów partii politycznych z dążeniami organizacji społecznych — właśnie w połączeniu z proceduralnym (i merytorycznym) wymogiem eliminacji nadmiaru kandydatów i obowiązkiem uwzględniania wyników społecznej prezentacji i konsultacji kandydatów.

W toku tej selekcji nie wolno popełnić żadnego błędu! Nie tylko nie może przemknąć się nikt, kogo kwalifikacje mogłyby być potem podważone, ale — chociaż ustawa premiuje pierwszego na liście (istotne w świetle przewidywanych zachowań i opcji wyborczych większości elektoratu), obaj kandydaci muszą być sobie równi, a „ten drugi" w żadnym wypadku nie może być figurantem. Wszystko w imię wiarygodności zasady w y b i e r a n i a, mimo silnej pokusy ułatwienia sobie całej tej skomplikowanej roboty politycznej.

Do ogólnie tu tylko z konieczności zarysowanych kwestii postaram się powrócić w najbliższym czasie — także do tych spraw, o których tu nie wspomniałem.

TOMASZ SAS

ze str. 1

W miejscowości Buczek w województwie sieradzkim, w czasie prac archeologicznych odsłonięto ciekawe cmentarzysko szkieletowe z wieku XI. W jednym z grobów, położonym nieco dalej od pozostałych, archeologowie natrafili na przepalony kołek, którym niewątpliwie przebita była pierś zmarłego. W ten sposób niemal do dzisiaj, a w każdym bądź razie do niedawna rozprawiano się z upiorem, wilkołakiem, w ogóle z człowiekiem podejrzanym o możliwość szkodzenia po śmierci innym.

Bardzo rozpowszechniony był kult zmarłych, który jednak nie objawiał się dbałością o groby, tak jak dzisiaj, ale dbałością o dusze, tych którzy odeszli W czasie pieczenia chleba kobiety starały się wrzucać do pieca podpłomyki. Wierzono, że ile się takich podpłomyków wrzuci, tyle dusz czyśćcowych zostanie wybawionych. Po upieczeniu chleba wkładano do pieca drewienka, aby dusze, które przyjdą się ogrzać, nie poparzyły sobie nóżek.

Przez cały okres od Bożego Narodzenia do Trzech Króli należało unikać hałasów, które powodowały niezadowolenie zmarłych, gromadzących się w obejściu.

W nocy przed Dniem Wszystkich Świętych można było zobaczyć dusze na mszy, odprawianej przez zmarłego księdza. Podglądanie było jednak bardzo niebezpieczne. Pewnego razu, kobieta pragnąca zobaczyć swoją zmarłą córkę, ujrzała jak dźwiga ona wiadra pełne wody i wyrzeka, że tak się męczy, bo musi nosić łzy matki. To było ostrzeżenie przed opłakiwaniem zmarłych.

Z myślą o zmarłych urządzano stypę. Wierzono, że to jest jak gdyby ofiara dla niego. Po uczcie nie sprzątano ze stołu. Czasami, chcąc sprawdzić czy zmarły jest zadowolony z poczęstunku, sypano na ziemię żółty piasek i na drugi dzień szukano jakichś śladów. Jeżeli były, niekoniecznie ludzkie, mogły być także zwierzęce, to znaczyło, że jest zadowolony. Jeżeli zaś nie było, czym prędzej dawano na mszę w kościele, aby przebłagać zmarłego.

Dla Seneki śmierć była prawem ogólnym i nieuchronnym, jednakowym dla wszystkich ludzi, a więc sprawiedliwym. *„Któż tedy może się użalać, że jest w położeniu w jakim znajdują się wszyscy. Równość zaś to najpierwsza odmiana sprawiedliwości. Przychodzimy na świat bez ułaskawienia. Żadne błagania nie odmienią losów natury. I ty pójdziesz tam gdzie poszli wszyscy. Nic w tym nowego. Przyszedłeś na świat zgodnie z takim prawem Wielkie tłumy umarły przed tobą i umrą po tobie. Nie ma drogi bez kresu".*

Homer zaś powtarzał: *„O przyjacielu, umrzesz i ty, ale czemu się żalisz, wszak umarł Protokles, o wiele lepszy od ciebie".*

Takie stanowisko wobec śmierci zajmowali i inni mędrcy starożytności. Większość jednak ludzi tamtych czasów myślała inaczej. Starano się chronić życie. Jeżeli już nie to na ziemi, to przynajmniej życie tamto. Naiwna wiara w możliwość życia po śmierci najbardziej rozpowszechniła się w starożytnym Egipcie.

Aby dostać się na Pola Elizejskie, Egipcjanin musiał przejść bardzo długą i najeżoną niebezpieczeństwami drogę. Musiał ominąć złośliwe demony, przerażające bóstwa, plujące ogniem węże, potwora zwanego „Pożeraczką". Musiał pokonać wiele innych przeszkód, aby w końcu dostać się do wielkiej „Sali Obu Prawd" w domu Ozyrysa, aby stanąć przed sądem.

Sąd odbywał się w obecności trybunału składającego się z Ozyrysa — przewodniczącego i 42 bóstw sędziów, Anubisa obsługującego wagę i Thota zapisującego skrzętnie wynik. Zmarły jeszcze przed wejściem na salę wygłaszał inwokację do prześwietnego trybunału boskiego *„Bądź pozdrowiony Boże Wielki, Panie Obu Prawd, Mój Panie, przywiedziono mnie, abym poznał twą doskonałość. Ja znam Ciebie. Znam Twoje imię. Znam imiona 42 bogów, którzy są z Tobą w „Sali Obu Prawd", którzy żyją jako strażnicy grzeszników, którzy piją ich krew, w tym dniu określania charakterów".*

Następnie zmarły spowiada się, ale nie wyznaje, czego byśmy się spodziewali, swoich grzechów, tylko wszystkiemu zaprzecza.

„Usunąłem dla Ciebie grzechy moje.
Nie zgrzeszyłem przeciwko ludziom,
Nie zagrabiłem rzeczy biednym,
Nie zrobiłem tego, czego nie lubią bogowie,
Nie zbuntowałem sługi przeciwko panu jego,
Nie trułem,
Nie zabijałem,
Nie rozkazywałem mordercy,
Nie wyrządziłem krzywdy nikomu
Nie spółkowałem z mężczyzną,
Nie uprawiałem samogwałtu w miejscach
świętych należących do boga mego miasta".

Później rozpoczynało się śledztwo, którego wynik zawsze wypadał pomyślnie dla sądzonej duszy, a trybunał bogów stwierdzał: *„Wejdź więc. Wstąp na próg drzwi Sali Obu Prawd, ponieważ znasz nas".*

W wierzeniach Egipcjan szczególnie charakterystyczna jest kwestia mumifikacji zwłok. To wiązało się z przekonaniem, że zachowanie ciała zapewnia w jakiś sposób życie po śmierci. Egipcjanie uważali, że człowiek składa się z dziewięciu elementów. Były to i ciało, i imię, i różnego rodzaju dusze. Która z nich pełniła jakie funkcje trudno jest dziś dokładnie określić. Zachowanie ciała było miejscem pobytu jednej z dusz.

Uważano, że po śmierci człowiek bytuje w sposób podobny jak za życia. W związku z tym potrzebne mu są te same sprzęty, te same narzędzia, potrzebny mu jest pokarm, potrzebna mu jest, zwłaszcza ludziom bogatym, służba. Stąd mamy w grobowcach malowidła przedstawiające życie codzienne. Do grobów bogaczy wkładano różnorodne sprzęty, ozdoby, a także figurki sług zwane uszepti, sług, którzy mieli pracować za zmarłego.

Pogląd, że przedmioty codziennego użytku mogą przydać się zmarłemu w życiu przyszłym był powszechny.

W okresie umacniania się chrześcijaństwa w Polsce, za panowania Bolesława Chrobrego, Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana, nadal po śmierci starano się ubezpieczyć podwójnie, na wszelki wypadek. W wielu grobach z tego okresu można znaleźć noże, topory, włócznie, osełki itp.

Na całym świecie, również wśród ludów pozaeuropejskich, zmarłemu dawano pieniądze. Jest to znany z mitologii antycznej obol Charona, który miał ułatwić przeprawę przez Styks oddzielający świat żywych od świata zmarłych.

W zależności od okresu i miejsca kładziono monety na usta, przykrywano powieki, innym razem monetę wkładano do garści zmarłego, ale to są już drugorzędne elementy tego samego zwyczaju. Niekiedy zamiast monet stosowano środki zastępcze. Dawano paciorek srebrny, albo paciorek z kryształu, albo coś równie cennego, ułatwiającego poruszanie się w zaświatach, swego rodzaju płacidło.

„Za wielu, wielu górami, na ostatnich krańcach zachodu, gdzie ziemia się już kończy, gdzie nigdy nie dociera najsłabszy promień słońca jest wejście do podziemia, czyli do piekieł. Można się tam dostać jeszcze w innych miejscach przez rozmaite rozpadliny i jamy z daleka cuchnące siarką, ale od niepamiętnych czasów wszystkie dusze wędrują do Hadesu, przez ową bramę na zachodzie".

W okresie homeryckim Grecy wierzyli, że po śmierci ludzie żyją dalej, ale żyją w jakiejś beznadziejnej krainie cieni, bez specjalnej świadomości i tylko na krótko, dzięki krawawym ofiarom składanym przez ludzi żyjących mogą odzyskać świadomość, przypomnieć sobie życie na ziemi.

„Królestwo cieniów to nieobeszła równina, chłodna i martwa, po której szamocą się ostre wiatry, pędzą tam i sam mdłe dusze. Chodzą po niej umarli, a każdy z nich ma wyznaczone sobie miejsce. Osobno skarżą się duszyczki niemowląt, osobno błądzą nieszczęśliwi, którzy padli ofiarą niesprawiedliwych sądów. Bardziej odludne okolice zamieszkują samobójcy, a po ścieżkach zapomnianych włóczą się ci co umarli z miłości nieodwzajemnionej. Gdzieś słychać nieuchwytny szczęk broni. To wojownicy zabici na polu walki ćwiczą się dalej w rzemiośle żołnierskim. Tam znów cień człowieka, który był rolnikiem. Cieniem bicza pogania cienie wołów".

Prorok Mahomet, twórca Islamu, był wizjonerem. Głosił znaki Boga w chwilach natchnienia, więc Koran pełen jest poezji, a jednocześnie grozy i tajemnic kiedy mowa o życiu ostatecznym. W Koranie piekło nazywane jest najczęściej ogniem lub gehenną. Dzieli się na siedem kręgów. Na ostatnim piętrze znajduje się drzewo, którego kwiaty są głowami demonów. Jest tu również kocioł wrzącej wody i studnia bez dna. Opisy raju są bardziej materialne, a nawet zmysłowe. Tak na przykład słynne hurysy, dziewice o dużych, czarnych oczach, które są do dyspozycji wybranych i ciągle pozostają dziewicami. Do hurys dodaje się wygodne łoża i wszelkie przyjemności stołu, strumyki płynące

Marzenia o nieśmiertelności

miekiem, miodem i winem, o jakich marzyli wygłodniali Beduini. Tego szczęścia dostąpią tylko wybrani. Staną oni w dniu Sądu Ostatecznego po prawicy Boga.

...To ci, którzy będą przybliżeni
w ogrodach szczęśliwości.
...na łożach wyszywanych,
wyciągnięci na nich twarzą w twarz.
Pośród nich krążą młodzieńcy nieśmiertelni,
z czaszami, imbrykami i kielichami,
— z płynącego źródła,
od których nie cierpią na ból głowy,
a oni się nie upijają,
i z owocami jakie sobie wybiorą,
i z mięsem ptaków jakiego zapragną.
A będą tam hurysy o wielkich oczach,
podobne do perły ukrytej,
w nagrodę za to co uczynili.
Nie usłyszą tam oni pustej gadaniny,
ani też podniecenia do grzechu,
a tylko słowa: Pokój — Pokój.

Równie mocno jak o życie na tamtym świecie, ludzie od wieków walczyli o życie doczesne. W tradycji Słowian leczeniem zajmowały się przede wszystkim „babki", starsze kobiety znające właściwości lecznicze ziół, a także potrafiące zamawiać chorobę, odczyniać uroki i wykonywać inne zabiegi magiczne mające moc leczenia. Traktujące chorobę jako coś, co do człowieka przyszło, zostało zadane, coś co weszło do środka, starano się wypędzić ją za pomocą środków mechanicznych, na przykład otrzęsienie, zakopanie, zagwożdżenie. Wierzono, że chorobę można sprzedać, skrępować, a nawet zatańczyć na śmierć.

Przypuszczano, że choroba, tak jak człowiek lubi przyjemności, starano się więc dać pacjentowi napój albo pokarm o bardzo nieprzyjemnym smaku i woni, tak aby choroba uciekła przed nimi.

Wierzono, że ogień ma siłę niszczącą choroby, stąd częste okadzanie pomieszczenia, w którym przebywali pacjenci, woda zaś zmywająca brud może także zmyć chorobę.

Jedynym pozytywnym skutkiem takich praktyk, było wywołanie u pacjenta wiary w nadprzyrodzoną moc czarownika, zamawiacza, babki, co czasami prowadziło do rzeczywistego wyleczenia. Archeolodzy znajdują jednak dowody na przeprowadzenie bardzo skomplikowanych zabiegów chirurgicznych, będących świadectwem, że nie pozostawiano chorych tylko na łasce czarów.

W ogromnych grobowcach zwanych kujawskimi, osiągających do 100 metrów długości, natrafiono na pochówek, który szczęśliwie zachował się do naszych czasów w stanie umożliwiającym przeprowadzenie badań czaszki. Okazuje się, że zmarłym był mężczyzna, około 50-letni, na którym przeprowadzono kilkakrotnie zabiegi trepanacji. Dziś taki zabieg nie jest żadną sensacją, aczkolwiek nadal jest bardzo niebezpieczny, ale odkryty grobowiec pochodził sprzed 5 tysięcy lat. Jednym słowem, w epoce kamienia, na ziemiach polskich przeprowadzano udane zabiegi trepanacyjne.

Czym dysponowali ówcześni chirurdzy? Narzędziami kamiennymi i krzemiennymi oraz ziołami, przy pomocy których odurzali pacjenta. W Muzeum Archeologiczno-Etnograficznym w Łodzi znajduje się najlepiej w Polsce zachowana czaszka ze śladami zaawansowanych zabiegów chirurgicznych. Są w niej cztery otwory. Wiadomo, że nie powstały przypadkowo. Gdyby człowiek zmarł w wyniku urazu, bądź nieudanego zabiegu, wówczas ich brzegi byłyby ostre. Jeśli zaś zabieg był przeżyciowy, tak jak w tym przypadku, krawędzie otworu zarastają, stają się obłe. Na podstawie pozostałych, zachowanych elementów kości szkieletu można wywnioskować, kierując się zasadami medycyny sądowej, iż ten osobnik chorował na zaawansowaną gruźlicę, która prawdopodobnie wywołała guzy mózgu. Guzy operowano i dopiero po czwartym zabiegu, ten znękany życiem człowiek zmarł.

Ze wszystkich ludzi najbardziej pożałowania godni są ci, którym radość życia zakłóca oczekiwanie na śmierć, którzy niejako wychodząc jej naprzeciw, starają się widzieć jej cień w wielu zwyczajnych zjawiskach. W niektórych rejonach uważa się do dziś, że koń i pies mogą widzieć ducha, mogą widzieć zbliżającą się śmierć i dlatego zachowanie tych zwierząt traktowane jest jako wróżebne. Jeżeli pies wył opuszczając pysk do dołu, to był nieomylny znak, że ktoś z domowników umrze. Złą wróżbą są głosy ptaków, szczególnie ptaków nocnych, takich jak sowa, puszczyk. Obawy budzi także skrzeczenie sroki.

Śmierć przedstawiana jest w postaci szkieletu z kosą, ale też czasami śmierć pojawia się pod postacią ptaka. Biała kura, jeśli wejdzie do domu i usiądzie blisko konającego, to właśnie śmierć, przychodząca po swoją kolejną ofiarę.

Dla większości z nas realnymi zwiastunami nadchodzącego kresu są choroby i starość. Starość jednakże ma wiele twarzy. Dla kobiety tracącej urodę starość to pojawiające się zmarszczki, plamy, brodawki. Dla osoby aktywnej starością będzie utrata siły fizycznej, dla naukowca — pogarszanie się sprawności intelektualnej. Nie można więc jednoznacznie powiedzieć czym jest starość. W sensie biologicznym jest to jednak proces nieunikniony.

U części ludzi najpierw starzeje się mózg. Tracą oni możliwości dobrego pamiętania, kojarzenia, a jednocześnie mogą być zupełnie sprawni fizycznie. U innych znów sprawność intelektualna jest zachowana do bardzo późnego wieku, lecz wcześniej posłuszeństwa odmawiają mięśnie. Można powiedzieć, że narząd nie używany z biegiem lat wcześniej zaczyna szwankować.

Coraz rzadziej, niestety, umiera się po prostu ze starości. Kiedy serce człowieka, jego naczynia, mózg stopniowo tracą swoje zdolności do pracy, nie wywołując przy tym jakichś specjalnych dolegliwości — taki człowiek najczęściej czuje się w miarę dobrze, bywa sprawny i okres niedomagania przed śmiercią zwykle jest bardzo krótki, najwyżej dwutygodniowy. Dzisiaj ludzi starych nękają różne choroby wywołane warunkami w jakich żyjemy.

Niektórzy twierdzą, że proces starzenia się i umierania zakodowany jest w naszych genach. Czy współczesna inżynieria genetyczna może w jakiś sposób na to wpływać?

Na pewno wszyscy wiedzą, że insulina produkowana jest w probówce, dzięki osiągnięciom genetyki, że dokonuje się różnych manipulacji z genami, to są fakty znane. Niestety, bardzo mało ośrodków w Polsce może przeprowadzać takie doświadczenia. Natomiast warto uświadomić sobie fakt, że w Stanach Zjednoczonych każdy większy browar i każda fabryka spożywcza zajmuje się genetyką molekularną, bo każdy chce mieć produkt najwyższej jakości. I tam genetyka wyszła już z laboratoriów i przeszła do fabryk.

To wcale nie oznacza, że z genami można już robić wszystko. Wprost przeciwnie, ta dziedzina ciągle i być może na szczęście jest niedostępna ingerencji ludzkiej, bo kierując się niehumanitarnymi względami można doprowadzić do znacznych nadużyć. Można by na przykład sterować procesami urodzin, tak aby w danej populacji rodziło się więcej chłopców niż dziewcząt. Z militarnego punktu widzenia jakiegoś państwa byłoby to może korzystne na krótką metę, ale nie taki powinien być kierunek genetyki. Presja moralna, presja etyczna jest bardzo silna. Na szczęście z genami ludzkimi doświadczeń jeszcze się nie prowadzi.

Być może jest tak, że starzenie się zależy od procesu naprawy DNA. Jak wiemy z DNA odczytywana jest cały czas w naszym organizmie informacja. Żeby ten odczyt i informacja przekazywana dalej nie była błędna, istnieje cały system zabezpieczający proces odczytywania. On musi być bezbłędny. W miarę upływu lat mechanizmy ochronne są prawdopodobnie coraz bardziej zawodne, dochodzi do błędów. Jeżeli ta teoria zwycięży wśród teorii o starzeniu się, to można będzie mówić, że istnieje silny związek pomiędzy genetyką a starzeniem się. Można jednak z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że nie istnieje żaden gen, chromosom czy region chromosomalny, który byłby odpowiedzialny za młodość lub starość człowieka. Takie podejrzenia są powrotem do koncepcji eliksiru młodości.

Zamiast myśleć o przyszłości genetyki, większy postęp można osiągnąć mając dobre wyżywienie, godziwy wypoczynek. Nie wolno przeceniać genetyki. Nie jest to panaceum na wszystko. Na razie trzeba wyeliminować te truizmy, o których wiemy, że na pewno szkodzą.

Nadzieją dla kilkudziesięciu Amerykanów jest ciekły azot. Jak podają od czasu do czasu gazety, śmiertelnie chorzy Amerykanie — dodajmy — bardzo bogaci, postanowili poddać się zabiegowi hipotermii, czyli zamrożeniu własnego ciała w temperaturze ciekłego azotu, po to by w czasach kiedy medycyna pozna już skuteczne metody leczenia ich choroby, przystąpić do skutecznej kuracji. Czy mają szansę? Oczywiście przy dzisiejszym stanie wiedzy — nie. Chociaż zabieg hipotermii stosowany jest z powodzeniem od wielu lat w kardiochirurgii. Tu jednak temperatura ciała nie osiąga mniej niż 10 st. C.

Chodzi o to, aby przy operacjach na otwartym sercu zmniejszyć zapotrzebowanie organizmu na tlen. Prawo Archeniusa mówi, że obniżenie temperatury o 10 st. powoduje dwukrotne zmniejszenie szybkości reakcji chemicznych czy biochemicznych, a tym samym zmniejsza się zapotrzebowanie organizmów żywych na tlen.

Kiedy zaczęto operować na otwartym sercu, wtedy zagadnienie to urosło do rangi problemu. Chcąc bowiem otworzyć jamę serca trzeba zatrzymać krążenie, za pomocą którego organizm zaopatrywany jest w tlen. Zastosowano hipotermię, jeżeli bowiem w temperaturze 37 st. C. zapotrzebowanie najbardziej wrażliwej tkanki mózgu wynosi 100 proc., to po obniżeniu temperatury ciała do granicy zera biologicznego czyli 28 st. C., zapotrzebowanie na tlen zmniejsza się o połowę. W tej temperaturze można zatrzymać krążenie krwi na 10 minut. Uśpionego pierwotnie pacjenta zanurzono do wanny z lodem, następnie po przeniesieniu na stół operacyjny zamykano na 10 minut krążenie.

Po obniżeniu temperatury ciała poniżej zera biologicznego zatrzymuje się serce. Chcąc jeszcze obniżyć temperaturę na czas dłuższy niż 10 minut, trzeba zastosować skonstruowany po raz pierwszy w latach pięćdziesiątych aparat do krążenia pozaustrojowego, zastępujący pracę serca i czynność płuc. W aparacie tym krew pacjenta oziębiana jest do 10 st. C. W czasie operacji chory jest w stanie śmierci klinicznej. Ten czas może trwać nawet godzinę. Aparat stoi, serce nie bije, krew nie krąży, pacjent nie oddycha.

Ale czy Amerykanie przebywający w ciekłym azocie mają szansę? Na to pytanie dziś nikt nie jest w stanie odpowiedzieć.

Przenieśmy się na zakończenie w przyszłość, o jakieś kilkaset, może kilka tysięcy lat.

„Na liście podstawowych praw człowieka, prawo do śmierci zajmuje pierwsze miejsce. Walka o to prawo trwała przez tysiąclecia. Życie nie jest obowiązkiem, okrutnym więzieniem, jak chcieli zwolennicy katorgi nieskończonej. Toteż w sytuacji, gdy każdy mógłby istnieć wiecznie, ostatni rekord długości życia wynosi zaledwie 1175 lat i został ustanowiony w czasach, kiedy ludzie obdarzeni byli znacznie większą odpornością. Cierpliwość przeciętnego mieszkańca ziemi wyczerpuje się już zwykle po 300 latach. A po dalszych 100 prosi on o zezwolenie na wejście do oddziału straceń".

• • •

Przy pisaniu tego artykułu wykorzystałem fragmenty rozmów przeprowadzonych z etnografem mgr Ireną Lechową, archeologiem doc. dr. Andrzejem Mikołajczykiem, historykiem dr. Piotrem Krubczyńskim, geriatrą dr Zofią Czechowicz, genetykiem dr. Bogdanem Kałużewskim, kardiochirurgami doc. dr. Januszem Zasłonką i dr. Bogdanem Stefaniakiem. Korzystałem także z pomocy książek: Stefana Kaczmarka — „Rozważania o życiu ludzkim", Henryka Swienko — „Magia w życiu człowieka", Jadwigi Lipińskiej i Marka Marciniaka — „Mitologia starożytnego Egiptu", Jana Parandowskiego — „Mitologia", Józefa Bielawskiego „Islam" oraz Andrzeja Sneg-Wiśniewskiego „Nagi cel".

MAREK MAMOS

Obecność nieobowiązkowa

Ślicznie dziękuje za zaproszenie na okolicznościowe spotkanie, gdzie będzie mowa o drodze i miejscu pokolenia, które przejmuje ster: czy jesteśmy inni, czy tacy sami jak nasi poprzednicy, co zawdzięczamy szkole, a co przejęliśmy od ojców, itd., itd. Przykro mi, ale boję się, że nie podołam tak odpowiedzialnemu zadaniu i nie spełnię pokładanych oczekiwań. Ponieważ na zaproszeniu nie znalazłem żadnych adnotacji, rozumiem iż obecność moja nie jest obowiązkowa. Dlatego zamiast odprasowywać wizytowy garnitur, poczyniłem notatki, które niech będą traktowane jako nieśmiały mój i bardzo subiektywny głos. Przepraszam.

Kiedy byliśmy w ostatniej klasie podstawówki, wychowawca ujawniał swój psychologiczny talent. Przechadzał się między rzędami ławek i głosił co komu pisane na przyszłość. Najchętniej wskazywał palcem tych, którzy będą pić i palić. Bardzo się wtedy mylił. Dobrze przepowiedział Heńkowi. Niedługo potem dostał od niego po twarzy. Heniek zaczął tak jak było mu pisane skończyć.

Dziewczyny zostawił w spokoju. Może dlatego, że miał złe przeczucia. W pokoju nauczycielskim pierwszym tematem dnia były skrobanki ośmioklasistek. Wychowawca porozsadzał dziewczyny, żeby położyć tamę złu. Te gorsze siedziały w pierwszych ławkach.

Kiedyś wybuchła awantura, bo w tramwaju nie ukłoniliśmy się dyrektorce. Staliśmy w kątach, a potem zawołał nas rudy palacz z kotłowni. Pokazywał co należy robić z bezdomnymi kotami. Podnosił je za ogony i ciskał na rozżarzone palenisko. Brał od nas po dwa złote za seans.

Najzdolniejsi mieli szczególne przywileje. Wywoływali ich z lekcji, żeby przekopywać szkolny ogródek, albo pod komendą grubej kucharki ciągnąć wózek z prowiantem. Wcześnie pojmowali, że warto być pilnym w nauce. Na grządkach dojrzewały dorodne pomidory, ogórki, marchew i truskawki. Ogródek był starannie zamykany. Nocami pilnował go bury wilczur. Po wakacjach najzdolniejszym znowu rozdawano szpadle.

Do średniej poszło dziewięcioro. Inni wybrali zawodówki tylko dlatego, że byli za młodzi do roboty. Niektórzy zostali w domach i kombinowali dlaczego każdy dzień jest tak cholernie długi. Czekali na dorosłe życie. Oni zawsze bardzo chcieli być tacy jak ich starzy. Innego sposobu na życie nie znali. Kiedy my na gimnazjalnym boisku graliśmy w piłkę, oni potrafili już liczyć forsę, pić pod palec i flekować gości na niedzielnej potańcówce. Płodzili dzieci, a dopiero potem pomysł na życie we dwoje. Wieczorami zakładali świeże koszule i szli na piwo do „Łysego". Ich kobiety sterczały w ogonku do rzeźnika. Kiedy my robiliśmy zdjęcia do dowodów, Danka chodziła już z drugim brzuchem i strasznie wielką torbą na kartofle. Na niedziele mieli kurtki z czarnej dermy i przenośne radia z długimi dyndającymi antenami. Paradowali tak środkiem miasta i wtedy już przestawali odpowiadać na nasze „cześć". Wiekiem są zbyt młodzi żeby myśleć o śmierci, ale za parę lat będą spotykać się na niedzielnych mszach, będą chodzić na mecze swojej kochanej i tak samo nienawidzonej drużyny, będą siadać na swoich stałych miejscach pod zegarem.

Więc do średniej poszło dziewięcioro. W nagrodę bogatsi starzy kupowali swym zdolnym pociechom prawdziwe magnetofony. Biedniejsi nie mieli pojęcia o co chodzi, ale czuli, że muszą trzymać fason. Brali pożyczki. Matka Jolki najęła się do sprzątania szpitala. Prosto z pracy w fabryce biegła tam, żeby na pół etatu zarobić na lepsze ciuchy i szkolną wycieczkę dla córki. Taka była cena przynależności do elity. Bo teraz byliśmy elitą dzielnicy. W tej dzielnicy każdy kto nie wstaje o piątej rano musi być nielichym spryciarzem. Ma za to dodatkowy plus i krzyżyk na drogę, bo wiadomo, że wcześniej czy później ucieknie stąd i będzie robił wszystko, by nigdy nie wrócić. O takich szybko się zapomina. Co innego jak jesteś najlepszy w rzucaniu nożem albo w pokera...

To był nasz pierwszy sukces. Od tej chwili nauczyciele kazali tytułować się profesorami. Czasem trudno było zmusić się do takiej uprzejmości. Byliśmy awangardą, a oni kazali nam nosić jednakowe mundurki. Zbuntowaliśmy się. Dla niektórych była to ostatnia próba buntu. Potem milczeli kiedy zapisywano ich do harcerstwa. Na akademiach wartowali w pogniecionych bluzach, bo wyciągali je z teczek dopiero w szkolnej toalecie. Szybko uczyli się co trzeba, a co warto. Drugi raz zbuntowaliśmy się jako dorośli obywatele. Było nas czterech. Dwóch wolało nie mieć kłopotów na maturze. Przeprosili za kaprys głoszenia własnego zdania. System funkcjonował bezbłędnie.

Kiedyś przyłapali nas na paleniu papierosów. Wezwali rodziców. Mieliśmy pogadankę o zgubnym wpływie palenia tytoniu na młody organizm. Miesiąc później jechaliśmy odwiedzić Jarka. Był na odwykówce. Od dwóch lat nie rozstawał się ze strzykawką.

Studniówka była jak się patrzy: po polsku i pełną gębą. Tak życzyli sobie nasi opiekunowie. Stoły uginały się od delicji. Nauczyciele biesiadowali w przeciwległym rogu sali. Toast wznosiliśmy mineralną, bo na szampana nie dano zgody. Oni przechylali butelki z napisem „oranżada". Płyn był przezroczysty jak woda. Pierwszy odpadł fizyk, trzeba było holować go na zaplecze. Od tego momentu nikt nikomu nie patrzył na ręce. Zaradne matki upychały jakieś zawiniątka do toreb wiszących w szatni. Najbardziej pękate torby niosły polonistki i matematycy. Zbliżała się matura.

Zanim ogłoszono wyniki, pozwolono nam zadecydować. Wszak byliśmy już prawie dojrzałymi obywatelami. Sprawa była honorowa: porcelanowy serwis czy komplet kryształów dla wychowawcy klasy. Większością głosów zwyciężył serwis.

Na pożegnanie szkoły miała być wielka feta, ale dyrekcja bała się, że zarzygamy korytarze. Dyrektor pięknie mówił o przyszłości narodu, o przekazywaniu steru w nasze ręce. A przyszłość narodu miała bilety na rockowy koncert i obliczała ile starzy dadzą za pokazanie zaświadczenia o dojrzałości.

Na studia zdawało siedmioro. Troje z przymusu, bo w rubryce „pochodzenie społeczne" mieli wpis „inteligenckie". Nie mogli być czarnymi owcami rodziny. Marek miał zostać inżynierem. Ten zawód bardzo podobał się jego rodzicom, więc zamiast samochodu, kupili korepetycje dla jedynaka. Był obkuty na blachę, oblał pisemne i załatwili mu pracę w biurze. Zwolnienia z armii załatwić nie umieli. Co niedziela odwiedzali go w jednostce, albo wynajmowali taksówkę, żeby miał wygodną podróż do domu. Kiedy osiągnął stosowny wiek, mama zapoznała go z przyszłą żoną. Od ślubu jedynaka są najlepszymi przyjaciółkami.

Ojciec Jacka był wziętym lekarzem — szczególnie u młodych kobiet. Jacek pierwszy z nas zrobił prawo jazdy, a na osiemnaste urodziny dostał fiacika. Miał za to kontynuować rodzinne tradycje, ale wolał dziewczyny i dobre knajpy. Tata naprawiał błędy młodości ukochanego syna. Błędy młodości miały niekiedy po siedemnaście lat. Z medycyny nic nie wyszło, tak jak i z kariery prawniczej. Za to butik prosperuje znakomicie. Są tam wspaniałe zagraniczne ciuchy i srebrne wisiorki. Oczywiście interes rozwija się w innym mieście, bo tata dba o reputację.

Więc na studia zdawało siedmioro, a pięciorgu powiodło się. Z tym „powiodło się" jest niezupełnie tak. A może tylko mamy kompleksy dorosłych ludzi bez własnych mieszkań, bez lodówek i kolorowych telewizorów. Kiedy my biegaliśmy na wykłady, nasi koledzy dorobili się tych rzeczy, albo są na najlepszej ku temu drodze. Wykalkulowali, że po studiach zarobią dwa razy mniej niż po maturze. Nie omylili się. Bogdan i Andrzej — nasi inżynierowie już przyznali im rację. Rozglądają się za jakąś prywatną inicjatywą: może być smażenie hamburgerów albo kwiaciarnia. Powtarzają, że jestem chyba ostatnim, który ciągle niczego nie rozumie. Zresztą dla nich zawsze byłem wariatem, który nie chce mieć kolorowego telewizora, swarzędzkiego segmentu i psa rasy basset. Rzeczywiście, chyba ciągle niczego nie rozumiem. Pewnie dlatego nawet ze wspólnego milczenia nic nam nie wychodzi.

Adama też nie traktują poważnie: nie ma kolorowego telewizora. Adam nie był zbyt zdolny, za to los pokarał go upartym charakterem. Wszystko przychodziło mu trzy razy trudniej niż innym. Po maturze ojciec kazał mu iść do roboty, do fabryki, a on w tajemnicy zdał egzaminy na politechnikę. Musiał wynosić się z domu, bo nie było w nim miejsca dla darmozjada. Całe wakacje tyrał na budowach, a potem liczył ile forsy musi starczyć na miesiąc życia w akademiku. Czasem spotykamy się i wtedy na gadaniu schodzi nam do rana.

Coraz trudniej znaleźć miejsce do spotkań. Rafał, u którego można było zawsze i o każdej porze, podobno zgubił zapasowe klucze. A jeszcze rok temu nie dbał o nic, nosił obdarte portki i wiecznie puste kieszenie. Z tej pustki miał narodzić się potomek. Wtedy po raz pierwszy ujrzeliśmy naszego kolegę w garniturze. Później założył nowy zamek do drzwi i śliczne tapety w przedpokoju. Ostatnio pytał, gdzie można kupić Milupę.

Paweł zawsze twierdził, że chce pomagać ludziom. Najpierw był ministrantem, potem piął się po szczebelkach organizacyjnej kariery. Ale trafił na złe czasy. Po sierpniu, ci którym bardzo chciał pomóc, wygarnęli co naprawdę o nim sądzą. Pojechał na wycieczkę do Wiednia, tam został. Widziano go jak chodził po mieście ubrany w reklamowy plakat z fotografią apetycznego hot doga.

Dziewczyn w klasie było niewiele. Może to i dobrze, bo one po średniej szkole przeważnie zostają pielęgniarkami albo nauczycielkami — wszystko jedno. No chyba że dobrze wyjdą za mąż. Tak jak Elżbieta. Ta nie zaprzepaściła okazji: poznała dzianego faceta i natychmiast trafiła go na dzidziusia. Zawsze lubiła eleganckie ciuchy.

Chłopcy szli siłą rozpędu: do wojska, potem do najlepiej płatnej roboty. Czterech pracuje w kopalni. Wstają przed piątą, wracają o zmroku. Drzemią przed telewizorami, a ich kobiety szykują smakowite wieczerze. Wzięli kredyty, będą je spłacać przez piętnaście lat. Chętnie mówią o czterdziestu kawałkach wypłaty. Chyba są szczęśliwi.

Z podstawówki wyszło trzydzieścioro, studia ukończyło troje. Najzdolniejsza była Anka. Zawsze miała notatki, przeczytaną lekturę i odnotowaną obecność. Razem z dyplomem odebrała skierowanie do pracy. Uczy teraz w swojej starej szkole. Uczy dzieci, żeby kłaniały się dyrektorce, a rudy palacz pokazuje im, co należy robić z bezdomnymi kotami.

ROMAN KUBIAK

To się nam podoba

Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

TADEUSZ GICGIER

Dom przy Parkowej

Piotrków Trybunalski ma nie tylko swoje stare miasto i zabytkowy Rynek, ma również swój stary park, którego wiekowe drzewa mogłyby wiele opowiedzieć o życiu kilku pokoleń mieszkańców grodu.

Ulica ciągnie się wzdłuż parku i jest jakby jego naturalnym przedłużeniem; małe, parterowe domki kryją się w zieleni drzew i krzewów. W jednym z domów z oszkloną werandą mieszka od lat pani Aleksandra Matusiakowa, o której często mówiono mi w czasie bytności w Piotrkowie Trybunalskim: to ciekawy i mądry człowiek, zasłużona nauczycielka, przybrana matka Seweryny Szmaglewskiej.

Naciskam dzwonek u furtki, czekam. Po chwili wychodzi niewysoka, drobna, starsza pani, witając mnie uśmiechem. Zapowiedziałem się telefonicznie. Prowadzi mnie do swego pokoju. Pokój urządzony jest skromnie, na starą modłę, kanapa, dębowy stół i takież krzesła, zastawione ciasno półki z książkami. Na jednej ze ścian staroświecki zegar, którego tykanie odmierza wolno czas.

— *A więc chce pan dowiedzieć się czegoś o mnie i o Sewerynie. Dobrze, opowiem coś niecoś.*

Tym, co najbardziej utrwaliło mi się w pamięci, jest droga do szkoły. Ta droga do szkoły prowadziła Alejami Trzeciego Maja. Szłam po drewnianych chodnikach, wracałam często już przy świetle latarni gazowych. Tą drogą chodziłam przez ponad pięćdziesiąt lat. Bo przyjechałam tutaj w 1919 r. i od tej pory wędrowałam tamtędy do szkoły i do mojej młodzieży.

— A jak pani tam trafiła? Przez przypadek, czy może w innych okolicznościach?

— *Skierował mnie do tej właśnie szkoły dr Rowid z Krakowa. Po studiach uniwersyteckich znalazłam się w tzw. Rowidianum, był to jednoroczny kurs nauczycielski. I kiedy dyrektor Magiera przyjechał z Piotrkowa Trybunalskiego po jakąś nauczycielkę, dr Rowid polecił mu właśnie mnie. Pojechałam więc z nim do Piotrkowa i już tutaj zostałam.*

Uczennicami naszego seminarium były dzieci robotnicze i chłopskie. To była szkoła egzystująca niejako na uboczu, na marginesie życia mieszkańców Piotrkowa. Bowiem w centrum uwagi znajdowały się dwie pensje, do których uczęszczały dzieci zamożne, wywodzące się z bogatych rodzin mieszczańskich, kupieckich i z rodzin byłych ziemian. Byłam wtedy bardzo młoda, ale pamiętam pierwsze spotkanie w tej szkole z pewnym wysokim, korpulentnym mężczyzną. Nazywał się Adam Próchnik. Na tzw. rejonowych sesjach dla nauczycieli wykładał historię. Brał czynny udział w zajęciach miłośników języka polskiego, które prowadził dyrektor Magiera.

Od Adama Próchnika wiele się nauczyłam, i to nie tylko z zakresu naszego rodzimego języka. Nauczyłam się przede wszystkim zdecydowanej postawy. Próchnik uczył młodych nauczycieli, jak bronić swoich ideałów Dzięki niemu trafiłam do Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, ale nie byłam członkiem tej organizacji, bo gdzież to w tamtych czasach nauczycielka w TUR-ze. Z jego inicjatywy powstały w mieście pierwsze świetlice robotnicze, w których organizowano amatorskie zespoły artystyczne i gdzie odbywały się spotkania z różnymi ludźmi. Ton tym spotkaniom nadawał głównie sam Próchnik. Często wykładał, a właściwie nie wykładał, ale opowiadał. Bo jest różnica między wykładowcą a opowiadaczem; prelegent wykłada słuchaczom a opowiadający jest z nimi. I to była druga cenna zdobycz dla mnie jako początkującej nauczycielki: nauczyłam się b y ć z młodzieżą, ze słuchającymi.

Te świetlice robotnicze spełniały na ówczesne czasy dużą rolę, przychodzili tam robotnicy i kolejarze z tzw. Pekinu, przychodzili bezrobotni, bo przecież było ich wielu. Pamiętam szok, jaki przeżyłam, gdy na ulicy Kaliskiej zobaczyłam mężczyznę, który miał na sobie z przodu i z tyłu karton z napisem: „Jestem inżynierem — szukam pracy".

Już na początku dyrektor Magiera mi oświadczył, że to będzie trudna praca. Ale wtedy myślałam tak: im trudniej, tym lepiej, chciałam się z tym wszystkim zmierzyć. Muszę panu wyznać, że bardzo związałam się z dziećmi i ich rodzicami. To były dla mnie czasy, w których poznawało się człowieka i jego wartość. Na schodach szkoły siadywały bose matki, które przychodziły z Sulejowa i z innych okolic, aby swoim dzieciom coś przynieść. Dzieci chodziły także boso. Przypominam sobie jeden egzamin wstępny, zdawała taka dziewczyna, która przyszła pieszo z ojcem aż spod Radomska. Też boso. Takie było moje najbliższe otoczenie, które nauczył mnie cenić Próchnik, a kochać dyrektor Magiera. Mówił mi „ty", bo to był starszy pan. Powiedział mi: „Moje dziecko, zapamiętaj sobie, że z takich biedaków wyrastają wielcy ludzie, a jeśli nawet nie wielcy, to kochający naukę. Ja też jestem synem kowala spod Kalwarii".

Wśród tych dziewcząt znalazła się i Seweryna. Była to dziewczynka z Woźnik, córka sekretarza gminnego czyli, jak wtedy nazywano, pisarza gminnego. Bardzo zdolne dziecko. Ale i dziecko bardzo zbuntowane, trudno było sobie często z nią poradzić. Czuło się jednak już wtedy, że ma talent, literacki talent, choć jedno zadanie było na piątkę, a drugie na dwójkę, no, jak jej się chciało. Ale talent był, niezaprzeczalny. Zaczęła pisywać do gazetki szkolnej, potem, w 1933 r., zadebiutowała w „Głosie Trybunalskim" refleksjami na temat Harendy. Jej pierwszy sukces, pamiętam dobrze, to było opowiadanie z życia szkolnego, nagrodzone w warszawskim konkursie literackim „Kuźni Młodych". Nazywało się ono „Nasz pan woźny" *Tak się to zaczęło. Wcześniej pomarli jej rodzice. No i cóż, przypadła nam w udziale jako drugie dziecko w domu. I tak już zostało.*

Nasze dziewczęta czynnie uczestniczyły w życiu ówczesnego Piotrkowa, zwłaszcza w pracach społecznych, które zamykały się w określonych kręgach. Chodziły na przykład do więzienia. Ja też tam chodziłam i patrzyłam na tych ludzi pozamykanych, często niewinnie, za przekonania. I wtedy zaczęło się w człowieku coś budzić, jakiś protest, i to nie tylko w nauczycielce, także w uczennicach. A Seweryna wśród nich była uczennicą na ogół pilną, inteligentną, bardzo żywą, nawet rozgadaną.

— To znaczy, że kształciła się na nauczycielkę?

— *Tak, i nauczycielką została. Najpierw u tzw. szkole ćwiczeń, czyli naszej szkole podstawowej, w której przyszłe nauczycielki odbywały praktykę. Zachował mi się arkusz opracowania pierwszej lekcji, wykonany przez nią, no i jej świadectwa szkolne, miała zawsze z polskiego stopień celujący, gorzej z innymi przedmiotami, z matematyki na przykład, to tak jak i ja. Ale przedmioty humanistyczne były jej mocną stroną. Uczyła przez jakiś czas; w okresie okupacji była cały rok nauczycielką w „Społem", przy Szkole Handlowej, bo nie było innej polskiej szkoły w mieście. Wcześniej włączyła się do pracy konspiracyjnej. No, a potem została aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. To było dla nas ciężkie przeżycie, nie chcę wracać do niego myślą ani pamięcią. Bo przecież zabrano nam dziecko, tak to odczuliśmy w domu. Chowała się u nas długo, później ukończyła w Warszawie Wolną Wszechnicę pod kierunkiem Heleny Radlińskiej, no i te kontakty z panią Radlińską utrzymywała po wojnie w Łodzi. To była zasłużona społecznica i znana pisarka w dziedzinie społecznej. Bardzo interesowała się Sewerynią, jako swoją byłą uczennicą, no i innymi swymi uczennicami, które również wróciły z obozu.*

Wiosną 1945 r. zaczęło się pisanie „Dymów nad Birkenau". *Wiem, że pani Radlińska konsultowała tę książkę. Ona zawsze otaczała opieką swoje wychowanki, miałam zresztą zaszczyt ją poznać i rozmawiać z nią o Sewerynie. Taka ciekawa rzecz: Witold, dziś mąż Seweryny, podówczas także oświęcimiak, napisał z obozu do swych rodziców list po niemiecku, prosząc, by oni do nas przyjechali. Ten list rodzice Witolda przekazali mnie, mam go w swoich zbiorach. Pisał tak:* „Es wäre gut, wenn Ihr beide nach Piotrków fahren werden und der Frau Oleńka einen Besuch abzustatten. Das wärde dann Situation ganz erklärt". *Czyli, że sytuacja się wyjaśni. No i oni się pobrali.*

Dla mnie najcenniejszą książką Seweryny nie są jednak „Dymy nad Birkenau" *czy* „Niewinni w Norymberdze", *ale* „Puste miejsce przy stole". *Seweryna przysłała mi tę książkę i opatrzyła dedykacją.*

Przeglądam książkę, odczytuję dedykację: *„Mojej Kochanej Mamusi przesyłam uśmiech z majowego kiermaszu książki — Seweryna".* Niżej miejscowość i data: Warszawa, 1963.

Dla mnie ta książka nie jest ani relacją autorską, ani kompozycją, jest opowiadaniem o współżyciu z ludźmi. A ja takie opowiadania cenię sobie najbardziej. Bo to jest to, o czym mówiłam poprzednio: nie patrzenie na człowieka z zewnątrz, ale b y c i e z człowiekiem. Niektóre powieści czy opowiadania mają właśnie to do siebie, że ich czytelnik identyfikuje się z autorem lub z jego bohaterami. Utożsamia się z nimi, przeżywa razem.

— Niestety, nie znam tej książki. Czy są w niej może jakieś odniesienia do sytuacji lub zdarzeń znanych pani?

— *Nie, tu nie ma. Ale mnie to wcale nie przeszkadza.*

— A które z książek Seweryny Szmaglewskiej są związane z Piotrkowem?

— *Przede wszystkim* „Prosta droga Łukasza". *Powieść od początku do końca traktująca o przedwojennym życiu Piotrkowa. No i są takie dwie książki dla młodzieży:* „Czarne Stopy" *i* „Nowy ślad Czarnych Stóp", *i to jest również Piotrków, to są jej koleżanki, jej obóz kielecki. Jest tam także trochę szczegółów, znanych tylko w naszym szkolnym kręgu. Myślę tu o naszej dyrektorce, która słynęła z tego, że lubi bardzo psy i miała ich całą sforę. Woźny nie pozwolił chodzić psom po korytarzu, to jest oczywiste. Któregoś razu, mocno zirytowany, stanął w drzwiach szkoły i oświadczył kategorycznie:* „Nie wpuszczę psów!". *Ale psy przebiegły mu między nogami. To zabawne zdarzenie Seweryna opisała w* „Nowym śladzie Czarnych Stóp". *Chyba pan się nie zdziwi, że chociaż to książka adresowana do młodego czytelnika, przeczytałam ją od początku do końca jednym tchem. Bo odnalazłam w niej naszą szkołę. A w innych książkach Seweryny? Są tam, owszem, różne nawiązania, aluzje do naszego domu, jak na przykład w powieści* „Zapowiada się piękny dzień" *No i w swych pierwszych pracach, zamieszczanych jeszcze w gazetce międzyszkolnej, Seweryna opisuje nasz dom, jak tutaj przychodziła na ulicę Parkową, patrzyła w okni na werandzie, przychodziła i odchodziła jak cień. To, co wtedy pisała, było jeszcze bardzo młodzieńcze, ale wzruszające.*

A oto fragment nowej książki Seweryny Szmaglewskiej, która nosi tytuł *„Biała róża":*

„Zdarzały się też inne zaskoczenia, po których zostawała niemal pewność wpadki. Zagadkową rolę odegrała nasza szkolna germanistka nosząca przezwisko Lorelaj. Zjawiła się na Parkowej rano, po gromadnej ucieczce żołnierzy-rekonwalescentów, których lada dzień miano wywieźć ze szpitala do stalagów i oflagów. Przyjęło się ją w kuchni, bo już pierwszy wojenny mróz wystudził resztę mieszkania. Weszłam nieświadoma, kto tam jest i rozmawia z mamą. Ukłoniłam się, jeszcze ciągle niemal uczennica tej pani, potem wyszłam drugimi drzwiami nie zamykając ich na klamkę. Do ucha wpadł mi sam rdzeń opowiadania przybyłej:

— Ustawili pod karabinami cały lekarski personel, wszystkie zakonnice i zażądali od matki przełożonej spisu, nawet adresów tych ludzi, którzy dobrowolnie pielęgnowali rannych. Ale ona sprytna! Zdążyła na pewno wcześniej spalić brulion, a teraz, biała jak jej kornet, odpowiedziała:

— Tu czasem z litości ktoś przyniósł trochę płótna, koszyk owoców. Za dużo mamy pracy, żeby wszystko rejestrować.

Wtedy oficer niemiecki podbił jej brodę pistoletem, wrzasnął:

— „Pod mur! Wszyscy pod mur. Ab!". I co pani powie? Zakonnica uczyniła znak krzyża, szeptem odmawiała modlitwę za konających.

Mama splotła palce pod szyją, słuchała nieruchoma, milcząca, bez drgnienia ust.

Pobiegłam w głąb mieszkania. Więc to tak! Co myśmy wymyślily? Na zgubę wydałyśmy zacnych ludzi. Nie mogłam się doczekać odejścia naszej dawnej nauczycielki, sekundy nabrały wymiaru godzin, stały się ciężkie, jak kamienie.

Wreszcie trzasnęły drzwi werandy. Nie wzywano mnie, żebym odprowadziła gościa do furtki. Czekałam skulona, patrząc na zadrukowaną kartę książki. Litery układały się w bezsensowne słowa, były wzorem na białym tle. Wreszcie zjawiła się mama.

— Zawiadom, kogo możesz i znikajcie, póki się sprawa nie wyjaśni. Słyszałaś, co mówiła.

Jeszcze wtedy synek tej pani swobodnie gonił z rówieśnikami za piłką po łąkach otaczających Piotrków. Znacznie później ubrano go w mundur Hitlerjugend ze swastyką na ramieniu. Pojawił się też ojczym, reichsdeutsch i dawna słodka Lorelaj wydała nam się przynależna do najeźdźców budzących zgrozę.

Pozostanie dla mnie zagadką, czym się kierowała przychodząc i ostrzegając, przyjęta w chłodnej kuchni, na początku obcego czasu nazwanego później okupacją. Może jeszcze wtedy nie miała drugiego męża?

Pozostanie dla mnie zagadką, dlaczego przyszła znacznie później w lecie, kiedy słońce nagrzewało dom i wypadało gościa zaprosić do pokoju. Wyłączyłam się całkowicie. Ani słuchem, ani obecnością nie uczestniczyłam w bezpodwieczorkowym popołudniu. Dopiero dzwonek u furtki zmusił mnie do wyjścia.

Wiedziałam, że pojawi się tego dnia nowa łączniczka. Podano mi jej dokładny rysopis: mała, pyzata blondynka, imię Zdzisia. Nie miałam powodu ani okazji zadawać pytań, czy wszystkie zasady gry pozostały bez zmiany. To rozumiało się samo przez się, minęły już miesiące, nawet lata okupacji, byliśmy przygotowanymi na wszystko, doświadczonymi konspiratorami. Szłam do furtki spokojnie, bez lęku. Jeżeli wiejski chłopak spod Opoczna potrafił przyjechać wozem i trzymać język za zębami, oddając mi paczkę przeczytanych książek wydobytych spod obroku, a wziąć w milczeniu nową lekturę dla sąsiadów i cieniutkie płatki papieru broszury z informacjami dotyczącymi rozwoju wojny, potem odjechać równie cicho, jak jego chudy koń — od nowej łączniczki mogłam oczekiwać przynajmniej podobnego zachowania. Zamierzałam ją wprowadzić do kuchni, jednak ona pognała sama przede mną. Wpadła spocona. Zaczęła w podnieceniu mówić, jaki w pociągu był tłok i upał. Teraz widzę, że popełniłam błąd: ani jednym znakiem nie przyhamowałam jej elokwencji, nie ostrzegłam o kimś obcym w domu.

Weranda. Pierwszy pokój. Dalej otwarte drzwi, dwie panie rozmawiają przy stole — mama i Lorelaj. Nie było ich widać, one też nas nie widziały. Ba! Któż mógł się spodziewać, że Zdzicha niemal od progu, jednym rzutem wysypie na tapczan całą zawartość torby, dodając objaśnienia z tytułami, podniecona, głośna:

— Tu masz gazetki dla terenu, tu...

Przycisnęłam dłoń do jej ust na tyle szybko, że „Der Hammer" *ugrzązł pomiędzy moimi palcami. Zaczerwieniła się, pot oblał ją teraz kompletnie. Błyszcząca patrzyła mi w oczy zagryzając usta. Była bliska płaczu. To jednak moja wina. Czy nie wiedziałam, że Lorelaj siedzi o kilka metrów stąd?*

Odezwał się spokojny, dziewczęco niewinny głos mamy:

— Jeżeli chcesz dać agrestu swojej koleżance, to weź koszyk. Na tych krzakach przy płocie znajdziesz najbardziej dojrzałe owoce.

Twardo zwinięte rulony wróciły bezszelestnie do torby, wycofałyśmy się za próg i tam obsztorcowałam nową łączniczkę, co więcej, ostrzegłam ją, żeby powtórzyła naszym władzom o paskudnej sprawie.

Pozostało dla mnie tajemnicą, czy Lorelaj usłyszała jakiś urywek słów rozgorączkowanej Zdzisi Chyba nie. Był to jednak sygnał. Otarłyśmy się o coś złego.

Tego popołudnia musiałam odnieść w umówione miejsce uporządkowaną wedle rozdzielnika bibułę. Bez tchu liczyłam egzemplarze, teraz ja pociłam się z pośpiechu i emocji układając gotowe dla odbiorców paczki. Mama weszła tak cicho, że w szumie papieru nie zwróciłam uwagi na jej kroki. Stała oto przede mną i milczała. Patrzyłyśmy na siebie. Wreszcie jej usta poruszyły się. Powiedziała tylko tyle:

— Dziecko. Pod jednym dachem nie wolno łączyć tak wielu spraw. Zapomniałaś o tym?

Wtedy to znalazłam locum w Warszawie u sióstr Urszulanek przy ulicy Dobrej. Wynajęto mi pokój z całodziennym wyżywieniem — prawdziwy cud w latach wojny. Janka Kacperska przyniosła mi plik formularzy mówiąc ze śmiechem, że ona nie cierpi wypełniania ankiet RGO, więc ja spadam jej prosto z nieba. Porozmawiałyśmy, kto aresztowany, kto pisuje z obozu, Władka Szczerbę gestapo zamknęło w Krakowie, potem dodała kilka wyjaśnień, uwag na temat metody pracy.

— Ty lubisz pisać. Zrób to szybko, za tydzień muszę oddać — oświadczyła wychodząc. — Aha. Profesor Helena Radlińska też tu mieszka. Porozmawiaj z nią o swojej robocie, o tamtych zdarzeniach.

Cicho zamknęła drzwi.

Podeszłam do stolika, żeby przejrzeć kolejno rubryki. Rejon Powiśla, informacje wręcz elementarne i na końcu krótka charakterystyka, którą powinnam wpisać po rozmowie z ludźmi.

Zacznę od ulicy Topiel. Wyjdę zaraz. Wyjrzałam przez okno — dzień pogodny, cisza, spokój, ani żandarmów, ani łapanek. I co najpiękniejsze — przede mną Wisła. Stałam oczarowana tym sąsiedztwem, uspokojona przepływaniem po polskiej krainie rzeki znajomej, pozbawionej lęku. Nie bałam się niczego. W owych czasach wystarczyło niekiedy „ukryć się", zmienić choć na krótko adres i odzyskiwało się równowagę, ulegało się pozorom zupełnego bezpieczeństwa. Mówiła mi coś Wisła, bo nie mogłam odejść od okna. Słuchałam jej bezszelestnego szeptu, myślami opowiadałam jej o swoich sprawach. A więc to nie samotność, mam oto wspaniałą przyjaciółkę, powiernicę zbyt wielką, zbyt piękną dla mnie i moich RGO-wskich ankiet.

Usiadłam przy stole, zaadresowałam kopertę:

Pani Aleksandra Matusiakowa, Parkowa 38 — Piotrków Trybunalski.

Zaczęłam pisać list: „Moja Kochana Mateńko!"

—Dzisiaj, rzecz jasna, nasz stosunek układa się już inaczej — kończy swe zwierzenia pani Aleksandra. — *Zawsze jednak na płaszczyźnie „matka — córka". Seweryna ma już synów dorosłych, żonatych, ja mam już prawnuków, życie poszło różnymi drogami, ale ta bliska więź została zachowana.*

Gdy pani Aleksandra to mówi, ja myślę mimo woli o Sewerynie Szmaglewskiej, którą poznałem w swoim czasie w Łodzi. I o tym, że na jej pisarstwo musiał mieć wpływ i ten dom przy ulicy Parkowej, i atmosfera panująca w tym domu. Ta emanująca ze słów jej przybranej matki wiara w człowieka, w sens jego życia i pracy, z pewnością odegrały tu swoją rolę. Także, a może przede wszystkim, w ciężkim okresie wojennym. Natomiast pani Aleksandra odnajduje zapewne w książkach swej przybranej córki rodzaj przesłania, przedłużenia swych prawd o życiu, o człowieku.

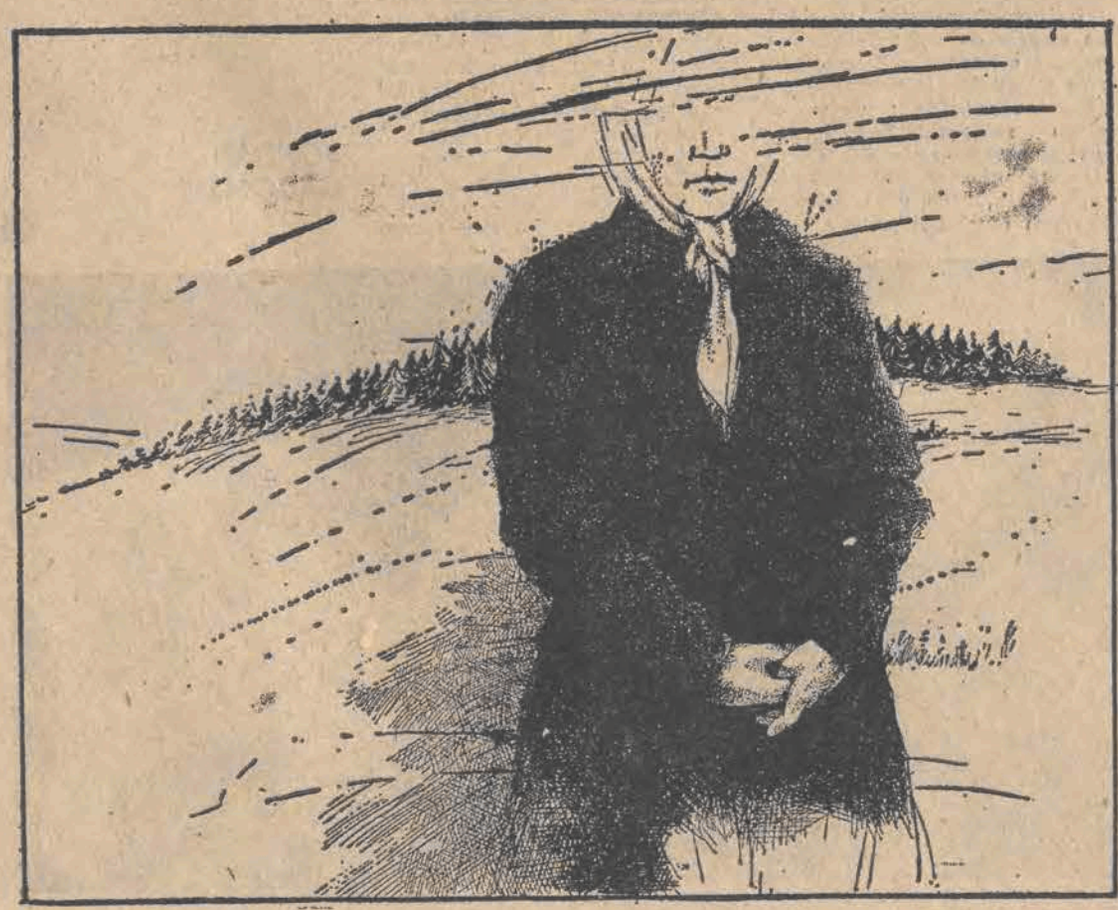

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ze zbioru reportaży „Pasjonaci", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Hanna Kacewicz-Sygidus

Strach

Strach kobiety
ma oczy ogromne i piękne
brwi uniesione
ze zdumienia

Rozczesany lęk
wynurza się z lustra
jak szybkonoga pantera

Pewnego dnia
pojawi się nagle
gotowa do skoku

☆ ★ ☆

Nic nie mówisz
i pierwszą rysę masz na czole
gwiazdę śmiertelności pierwszą
podziel się ze mną milczeniem
jak chlebem głodni się dzielą
opowiedz mi długi sen życia
który śnisz zasnąć nie mogąc

☆ ★ ☆

Tak się spieszyłam
aby cię powitać

ściskałam w dłoni
pierwsze babie lato

przepływałam ulice
wzdłuż i wszerz
z rozśpiewanym sercem meduzy

pokonałam kaskadę schodów
spadających z nieba

drzwi otworzyła mi
cisza zdumiona

Adam Małachowski

☆ ★ ☆

Kiedy stoisz
przed oknem nocą
i patrzysz w mrok
to czujesz jakbyś
stał tylko w połowie
przed sobą

Wtedy
przed oknem
— czujesz
jakby ukradziono ci
połowę życia

tamtą połowę

★ ☆ ★

O brzozo
tyś nie płaczem
lecz sękatą
kreślona ręką

O brzozo
tobie nie wierszem
lecz pniem steranym
i niebo i ziemię
ludziom pokazywać

O brzozo
tyś nie bladolica
— czerwona
gdy człowiek historię rozlicza

I nie gwiazdom ci szumieć
ni wieszczom
tylko mową prostą
— jak kulą
ludziom życie otwierać

☆ ★ ☆

Prześnieni Mickiewicza żarem
zdeptaliśmy szkiełko na wiecu
zdjęci zziębniętym pożarem
wciskamy w usta niedopałek z „trawy"

Zszargani poezją w futerale magistra
Igniemy ustami do zwiędłej kobiety
niepomni młodości ni żaru
nakręcamy budzik ranionej podniety

Mickiewicz jako czwarty do brydża
jak piąte koło u wozu
trzyma swym słowem opasłym — nogę
u kolebiącego się stołu

Na huśtawce bez kompleksów

Nie wiem kto pierwszy wymyślił ulubione przez dzieci huśtawki, ale za to wiem, że w dalekiej Ameryce powstał nowy gatunek muzyczny, który nazwano musicalem.

MUSICAL (skrót od angielskiego „Musical Comedy" lub „Musical Play") — komedia muzyczna lub dramat muzyczny.

W zasadzie dwuaktowa forma popularnego spektaklu muzycznego zawierającego elementy dramatu, operetki, rewii, variete i w wyjątkowych wypadkach opery. Musical opiera się często na literackich pierwowzorach. Piosenki, elementy muzyki taneczno-rozrywkowej, jazzu i baletu są włączone do akcji.

W odróżnieniu od klasycznej operetki musical nie ma ścisłej formy, nie zna też żadnych zasad, ani formalnych, ani treściowych. Jest tym lepszy, im bardziej odpowiada codzienności, jego bohaterowie rozmawiają potocznym językiem i działają możliwie realistycznie.

W operze i operetce śpiewacy starają się być aktorami, natomiast w musicalu aktorzy starają się śpiewać.

Musical wywodzi się z nowojorskiego Broadwayu.

Młody choreograf **WOJCIECH KĘPCZYŃSKI**, który w tym roku zrobił dyplom reżyserski, postanowił spożytkować swoje doświadczenie choreograficzne (taneczne), zdobyte w Paryżu, na polskiej (łódzkiej) scenie. Wybrał „Seesaw" („Huśtawkę") z muzyką znanego broadwayowskiego kompozytora o jazzowym zacięciu Cy Colemane, który wspólnie z autorką tekstów piosenek Dorothy Fields zaadaptowali popularną sztukę Williama Gibsona „Dwoje na huśtawce" na musical. Libretto napisał reżyser i choreograf Michael Bennett. Premiera musicalu odbyła się w marcu 1973 roku. „Huśtawkę" wystawiła niedawno także Operetka Warszawska.

Teatr im. S. Jaracza w Łodzi na swojej trzeciej, rozrywkowej scenie „7.15" zaprezentował „Huśtawkę" w dwóch parach obsadowych, a uczynił to tym odważniej, że posiada dwie znakomicie śpiewające aktorki (wcale nie ustępujące zawodowym piosenkarkom) i dwóch dobrze radzących sobie ze śpiewem aktorów (w odpowiednim wieku i predyspozycjach do roli Jerrego Ryana) oraz zespół śpiewających i tańczących aktorek i aktorów, którzy czują ten rodzaj teatru lub chcą spróbować swoich sił w widowisku muzycznym.

Reżyser-choreograf miał kilka atutów do wykorzystania w postaci gwiazdy odtwarzającej rolę Gizeli Mosca i zespołu zarażonego radością i pasją od niego samego. Zadbał aby wszyscy wykonawcy zbliżyli się do technicznej bezbłędności wykonania, do prawideł rządzących musicalem, który śpiewa się i tańczy z niesamowitym fajerem, lekko, dowcipnie, inteligentnie, z poczuciem pełnej przyjemności po obu stronach rampy.

Na scenie metalowe konstrukcje, pomosty, po bokach elementy wyposażenia dwóch skromnych mieszkań bohaterów. Za kulisą umieszczono zespół muzyczny z dyrygentem (sam **PIOTR HERTEL**).

Twórca spektaklu skupił się przede wszystkim na rysunku inscenizacyjnym z udziałem zepołu tanecznego. Efekt ich wspólnych trudów jest bardzo dobry. Dawno już nie widziałem na scenie dramatycznej (a oglądam bardzo dużo) tak sprawnie i fachowo tańczących, skaczących, fikających, robiących gwiazdy i szpagaty aktorek i aktorów.

Sophie **RÓŻY CHRABELSKIEJ** ma jak zwykle w postaci tej aktorki moc wdzięku, naturalności, swobody.

Anna **HANNY MOLENDY** stara się w niczym nie ustępować dynamicznym i brawurowym dziewczętom w osobach: **BOGUSŁAWY PAWELEC** (Betty), **ŻYWILLI PIETRZAK** (Sue), **MAŁGORZATY PARUZEL** (Maggie) i wyjątkowo efektownej **KAMILI SAMMLER (Kamila).**

Paniom dzielnie towarzyszą dużo mniej urodziwi, ale za to wyraziści i sprawni: **JAROSŁAW BILESKI** (Matt), **LEON CHAREWICZ** (Julio), **DARIUSZ SIATKOWSKI** (Wally), **JAROSŁAW PILARSKI** (Oskar), a przede wszystkim znakomity, wszechstronny aktorsko, śpiewający, tańczący, stepujący, a nawet grający na trąbce — **MARIUSZ SANITERNIK.** Nie wolno tylko było obsadzać na zasadzie nagłego zastępstwa za chorego Franciszka (Chris) **ANDRZEJA HERDERA**, który w tym samym przedstawieniu dubluje ze znakomitym **ANDRZEJEM KIERCEM** rolę choreografa Dawida.

Aktor nie zdążył zapamiętać licznych zmian sytuacji i tanecznych pas w zespole, którym jako Dawid kierował.

W głównych rolach występują dwie pary aktorskie i tu jesteśmy świadkami przedziwnej rzeczy, gdy grają **MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA-ROGACKA** i **STANISŁAW KWAŚNIAK** lub **EWA WORYTKIEWICZ** i **STANISŁAW JASKUŁKA**, za każdym razem oglądamy dwa różne przedstawienia.

Ot, co może zdziałać magia interesujących, bogatych i bardzo od siebie odmiennych osobowości aktorskich (i prywatnych).

O talencie wokalnym **MAŁGORZATY ROGACKIEJ-WIŚNIEWSKIEJ**, czołowej łódzkiej aktorki dramatycznej, łódzka i nie tylko łódzka publiczność wie od dawna, tj. od czasów gdy tak pięknie śpiewała w widowisku „Piosenki z teatru", „Jednak kabaret", „Operze za trzy grosze", „Dnie nieba". Wyjątkowej urody głos o oryginalnej, ciemnej barwie, równo i muzykalnie prowadzony we wszystkich rejestrach, sprawdził się i w musicalowych przebojach, bo piosenki Gizeli śmiało mogą pretendować do miana hitów musicalowych.

Gizela Rogackiej jest niby prosta i bezpośrednia, ale nie trzpiotowata idiotka, jest myśląca, uczuciowa, trochę zagubiona i samotna. Swoją wielką miłość (może pierwszą) przeżywa głęboko, a któż bardziej niż właśnie ta aktorka potrafi oddać takie właśnie stany kobiece? Piękna rola, wzruszająca i prawdziwa.

EWA WORYTKIEWICZ to prawdziwe odkrycie wokalne sezonu. W poprzednich teatrach, w których grała, była pierwszą wśród śpiewających aktorek. Porównanie z Ewą Demarczyk było mylne, bo aktorka kapitalnie czuje się w rolach charakterystycznych, narysowanych mocną kreską. Obecne porównanie do Lizy Minnelli jest dużym komplementem i w pełni uzasadnionym. Podobne emploi, takiż temperament i rodzaj głosu oraz sposób śpiewania.

Gizela w wykonaniu Worytkiewicz jest roześmiana, zabawna, prosta, urocza, ale potrafi też wzruszyć.

Znakomicie zagrana rola, dająca łódzkiej publiczności możliwość spotkania ze sztuką wokalną jednej z najlepiej śpiewających aktorek w kraju.

STANISŁAW KWAŚNIAK jako Jerry jest trochę zbyt podobny do swoich innych postaci, które grał na scenie „7.15", co związane jest z wyraźnym zaszufladkowaniem aktora do ról bulwarowych amantów. Ale śpiewa jak zwykle dobrze i z wdziękiem.

STANISŁAW JASKUŁKA ustępuje wokalnie swojemu koledze, ale za to tworzy postać, którą się zapamiętuje i która przekonuje, choć Jerry przecież w końcu tchórzy i odchodzi.

Publiczność łódzka i goście z sąsiednich miast, którzy licznie oglądają „Huśtawkę", nagradzają aktorów rzęsistymi brawami, które należą im się w pełni z podziękowaniem za wielki trud, za talenty, którymi poszczególne osoby błyszczą w tym uroczym i sympatycznym widowisku.

Warto więc sięgnąć po musicale i wystawiać je bez kompleksów, że my, tu, w Łodzi, nie sprostamy tym, tam, na Broadwayu.

Łódzka „Huśtawka" w obu wersjach zdaje się być potwierdzeniem, że należy próbować, choćby po to, żeby ten mało u nas znany gatunek istniał i prowokował do dalszych poszukiwań.

BOHDAN GADOMSKI

Na zdjęciu: Ewa Worytkiewicz i Stanisław Jaskułka

Foto: Romuald Sakowicz

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

MODLITWA SZLACHECKA

Roman Kaleta przypomniał w *„Anegdotach i sensacjach obyczajowych wieku oświecenia w Polsce"* (1958) anegdotę H. Rzewuskiego o kasztelanie Grabowskim, chełpliwym pyszałku znanym z bigoterii. *„Większą część dnia przepędzał w kościołach, gdzie na cały głos się modlił i wszystkich rozśmieszał szczególną formą swoich modlitw. I tak, jeżeli zaczynał z psalmistą: „Panie, wysłuchaj modlitwy nasze!" — pewnie drugi wiersz musiał być: „a głos mój senatorski niech do Ciebie przyjdzie".*

Podobną anegdotę notuje Konstanty Gaszyński w niesłusznie zapomnianym dziełku *„Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia"* (Paryż 1851):

Zaczęto więc gadać o nieboszczyku szambelanie, butnym i rezolutnym człowieku, który nie dał sobie dmuchać w kaszę i za młodu niejednemu śmiałkowi obciął ucho lub napoczął nosa.

— Znałem go dobrze — rzekł major — tak on się odcinał wszystkim, że nawet raz Panu Bogu wręcz odpowiedział, prawda, że skromnie i uczciwie, ale nie zamilkł. Będąc jeszcze oboźnym mazowieckim i przejeżdżając przez Górę Kalwarię, zaszedł do jary. Już było po nabożeństwie, kościół otwarty, ale ani żywej duszy we środku. Oboźny ukląkł przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwy głośno, a w końcu rozciągnąwszy się krzyżem zawołał: „Panie, miej miłosierdzie nade mną. A ty, patronie mój, święty Stanisławie Szczepanowski, orędуj za mną, boć przecie jestem wojewódzkim dygnitarzem i z atenatów szlachcicem!".

Organista stał w tyle ołtarza i wszystko słyszał, a że miał ząb na oboźnego, więc gdy ten wymówił: „z atenatów szlachcicem", dodał w głos: „i kpem!".

Oboźny na takie dictum acerbum zerwał się na równe nogi, obejrzał naokoło, a widząc, że nie było nikogo w kościele i że to musiał być vox Dei (głos Boga), ukląkł pobożnie i podniósłszy oczy w górę rzekł: „Jakim mnie, Panie, stworzyłeś, takim mnie i masz!".

JAK SIĘ KOMU WYDAJE

Śpiewkę tę z komedioopery „Sekretarz i kucharz" ogłosił autor (L. A. Dmuszewski) w „Kolędzie na rok 1824", skąd ją wydobywam, bo temat, zdaje się, nie stracił dziś na aktualności:

Każdy i zawsze i wszędzie
Myśli, że jest w wyższym rzędzie:
Strażnik, że jest rewizorem,
Golibroda, że doktorem.

Bohomaz, że jest malarzem,
Stróż sądzi, że jest lokajem,
Lokaj, że jest komisarzem,
Komisarz, że rządzi krajem.

Przekupka, że jest kupcową,
Mamka, damą honorową.
Wikary, że jest prałatem,
A dependent adwokatem.

Sufler, że gra pierwszą rolę,
Sierżant, że jest porucznikiem,
Młodzik, siedząc jeszcze w szkole,
Mniema, że już jest krytykiem.

Mydlarz mieni się artystą,
Woźny panem kancelistą.
Szachraj, że już jest bankierem,
Tchórz, że bitnym bohaterem.

Lecz gdy się ludziom tak marzy,
Często się inaczej staje
I z mniemanych komisarzy
Znowu są tylko lokaje.

KREWKI CZELADNIK

W księdze protokołów posiedzeń Starszych w Warszawie pod datą 10 maja 1746 r. znalazł się opis przypadku pobicia sławetnego Andrzeja Legry przez Stanisława Grabskiego, czeladnika piekarskiego:

Zaszła kwerella (skarga) od pana Andrzeja Legry, magistra cechu naszego, na Stanisława Grabskiego, czeladnika swego, któren nie tylko chleb zepsował i popalił, a gdy na niego pan magister (mistrz) był markotny i onego napominał, aby więcej szkody nie robił, na którego pro et contra wysłuchawszy z obydwóch stron inkwizycji, pokazało się na czeladnika, iż majstrową w gębę dwa razy uderzył, a gdy pan magister upominał się za żoną, więc i onemu nie przepuścił, tym samym sposobem za głowę wziąwszy i w kark mu nabił. Więc onego Cech uznał być winnym, aby na drugi raz tego się nie ważył, ma tedy naprzód przeprosić, a po uczynieniu ma dostać plag 50, a po odebraniu plag, nie ma robić w Warszawie, a dla dalszego siebie polerowania i w drogę Cech onemu rozkazuje iść.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Ratuj kto może krótki metraż

Program drukowany w codziennej „Gazecie Festiwalowej" zapowiadał 28 maja atrakcję nader zaskakującą dla publiczności imprezy filmowej „Godz 11.00 – lotnisko na Balicach – chwilowy pobyt piłkarskiej reprezentacji Polski w drodze na mecz z Albanią". To miał być zapewne żart, takie perskie oko któregoś z redaktorów. Wtedy jeszcze nikt nie mógł przewidzieć, że inny mecz i emocje nim wywołane staną się za kilkanaście godzin rzeczywistym i jakże dramatycznym tematem dnia. „Gazeta" tym razem nie zachęcała do oglądania transmisji spotkania o Puchar Europy — w tym czasie trwały pokazy konkursowe — ale i tak bardzo wielu fanów krótkiego metrażu wolało zasiąść przed telewizorami. A na wieść o tym, co się dzieje na stadionie w Heysel pustoszała salą kina „Kijów": festiwalowi goście biegli przed telewizory, aby na małych ekranach śledzić tragiczny rozwój wypadków, które w tej samej chwili, o setki kilometrów od Krakowa, rozgrywały się na brukselskim stadionie. Dla obecnej sytuacji filmu krótkometrażowego fakty te trzeba uznać za symboliczne.

Jeszcze raz okazało się, że telewizja rejestrując na żywo rzeczywistość, stając się naocznym świadkiem naszego tu i teraz, przenosząc nas w samo centrum aktualnego wydarzenia przekazuje informacyjne i emocjonalne wartości o takiej sile oddziaływania, o jakiej filmowcy — nawet w latach niekwestionowanej świetności kina dokumentalnego — mogli tylko marzyć.

Telewizja więc z jednej strony, a film fabularny z drugiej, stworzyły mocarstwa, które nie tylko ograniczyły w znaczący sposób stan posiadania kina krótkometrażowego (kiedyś były to artystyczne Dzikie Pola, gdzie mógł harcować każdy odważniejszy filmowy Kozak), ale i zdeterminowały te formy, jakie przetrwały. Taka jest rzeczywistość i trzeba na nią przystać. Nie ma więc co debatować nad dawną świetnością, rozpamiętywać przeszłych mistrzów, formułować apeli w rodzaju „ratuj kto może krótki metraż" (takie hasło znalazłem na plakacie reklamującym festiwal w Clermont-Ferrand), bo nie da się odwrócić ewolucji, jaką przechodzą wizualne media współczesnej kultury. Czym wcześniej to twórcy zrozumieją, tym mniejsza będzie — zauważalna przecież od lat — społeczna i artystyczna inflacja filmu krótkiego. Dobre samopoczucie, sztucznie podtrzymywane przez dziesiątki festiwali na całym świecie (teoretycznie każdy poprawnie zrealizowany film bez względu na temat może na nich zdobyć nagrodę — włóczy się więc niektóre tytuły od festiwalu do festiwalu aż do skutku!), jest najzwyklejszą iluzją. Trudno już dziś emocjonować widza werdyktami jury i komunikatami o „wielkich nagrodach", zwłaszcza jeśli nagradzane filmy rozmijają się z oczekiwaniami kinowej publiczności.

Widać to było aż nadto w Krakowie na zakończenie festiwalu krajowego. W obojętnej ciszy (tu i ówdzie słychać było oklaski wytwórnianych administratorów, którzy reagowali na tytuły własnych produkcji), odczytywał Kazimierz Karabasz informacje o premiach sądu konkursowego któremu był przewodniczył. Ów zasłużony klasyk polskiego dokumentu nie po raz pierwszy w historii krakowskich festiwali stawał się bohaterem negatywnym. Z napaści na tzw. karabaszówy przed piętnastu laty rodził się ożywczy prąd dla rodzimego filmu. Nazwiska napastników, Kieślowskiego, Zegadły czy Królikiewicza (nie wymieniam wszystkich) dziś w kinie coś znaczą. Czy stanie się tak z Andrzejem Warchałem, który był głównym oponentem przewodniczącego jury? Film Warchała „Czwartek — nieczynne" lansował sam Janusz Atlas, acz nieskutecznie. W kłótni podczas konferencji prasowej z jurorami szło w zasadzie o nagrody (że miały o nich decydować względy koleżeńskie!), ale przecież i o to, czym współczesny film krótki być powinien.

Tak czy inaczej Grand Prix festiwalu krajowego przyznano Tadeuszowi Makarczyńskiemu za film „Exodus". Nazwisko znane i autor wybitny. Temat też szlachetny i rocznicowo aktualny. A sam film? Otóż to. Gdyby chcieć najkrócej określić jego formułę, można byłoby powiedzieć, iż jest on w miarę sprawnym montażem zdjęć przedstawiających przymusowy wymarsz mieszkańców z popowstaniowej Warszawy. No i ten komentarz literacko rozgadany, jak w jakiejś okolicznościowej audycji radiowej. Film montażowy nazbyt przez twórców eksploatowany (nie tylko przez naszych!) staje się anachroniczny tym bardziej, iż materiały, które wykorzystuje, powielane bywają po wielekroć. Kino nie może wracać do poetyki fotoplastykonu, nawet jeśli realizatorowi przyświecają tzw. „słuszne" intencje.

40 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem zapisała się znacząco w repertuarze obu festiwali, choć żaden z prezentowanych filmów nie przekroczył progu artystycznej poprawności („Powrót" Tadeusza Makarczyńskiego, „Kino-Fotogramy P. W." Andrzeja Szczygła, „Dzwony znad Wizny" Franciszka Burdzego; a w konkursie międzynarodowym kanadyjski „No more Hiroshima", węgierski „Endlösung", radziecki „Jak daleko do Reichstagu?"). W tej grupie pokazano jednakowoż obrazy, których realizatorzy starali się wyjść poza stereotyp historycznego dokumentalizmu. Biorąc pod uwagę walory artystyczne, umiejętność posłużenia się walorami stricte filmowymi najwyżej oceniałbym Tadeusza Arciucha „Miejsce", który daje niebanalny obraz obozu Oświęcim—Brzezinka. Poetycki patos budowany jest tu za pomocą środków tyleż ascetycznych, co bogatych w treści. Na uwagę zasługują tu także bardzo dobre zdjęcia Zdzisława Najdy. Film nie dostał żadnej nagrody. Jurorzy dostrzegli natomiast czechosłowackie „Diagnozy sumienia" („Srebrny Smok"), który to film na wprawdzie niejakie walory informacyjne (nie wyjaśnione okoliczności śmierci Heidricha, który po zamachu umiera w praskim szpitalu mimo wysiłków niemieckiej medycyny, co staje się dla autorów filmu pretekstem do przypomnienia zbrodni lekarzy faszystowskich w obozach koncentracyjnych) jednak zniechęca realizatorską sztampą. Dobry pomysł radzieckiego reżysera Borysa Abłynina (też „Srebrny Smok") aby opowiedzieć historię dostrzeżonej w oświęcimskim muzeum kukły Don Kichota rozmył się w nazbyt banalnej metaforyce. Chwyty filmu animowanego, które tu autor zastosował, zdają się nie przystawać do tematu.

Jury FIPRESCI wyróżniło Francuza Henry'ego Toufa za film „Dworzec cierpienia". Realizator sprokurował opowieść rodem z kolejowych horrorów naszego Stefana Grabińskiego, a chciał zrobić film o eksterminacji francuskich Żydów. Zamiast oglądać bezsenność pracowitego naczelnika stacji, któremu zakłócają odpoczynek omamy słuchowe, głosy i płacze, krzyki i ryki komend, wolałbym zobaczyć rzeczywiste fakty z dworca w Bobigny, skąd Gestapo transportowało Żydów z Francji do obozów koncentracyjnych. Wolałbym zobaczyć ówczesnego naczelnika stacji, który podstawia bydlęce wagony i przygląda się poniżeniu i cierpieniu swoich współrodaków.

Spośród tej grupy filmów wart był festiwalowej prezentacji bułgarski dokument „Córka ambasadora Dodda", wykorzystujący pamiętnik młodej Amerykanki, która obserwuje rodzący się faszyzm jako naoczny świadek. Niezły był także inny bułgarski film, sięgający do faszystowskiej przeszłości własnego kraju zatytułowany „Ulica Tetewieńska 24" — pod tym adresem w Sofii mieściło się biuro śledcze, gdzie torturowano i zabijano antyfaszystowskich działaczy.

Tak więc wojna, faszyzm, czasy pogardy sprzed czterdziestu lat są nieodłącznym elementem „naszego wieku XX" (taka formuła jest programowym hasłem krakowskiego festiwalu). Jak na nim zaznaczyła się współczesność? Jaki obraz naszej teraźniejszości zobaczyli twórcy krótkiego metrażu? O czym chcą odbiorców przekonać, do jakich refleksji nakłonić?

Ponad sto tytułów, które zakwalifikowano do konkursu międzynarodowego, stanowi — jak się zdaje — dość reprezentatywną panoramę światowego kina krótkometrażowego: od animacji do filmu oświatowego, od dokumentu po poetycką abstrakcję, od propagandowego plakatu do fabularnej kreacji. Nie sposób ich wszystkich tutaj opisać, choć niemal wszystkie zasługiwałyby na wnikliwsze recenzje. Bowiem tegoroczny, dwudziesty drugi z kolei, festiwal międzynarodowy trzeba chyba zapisać po stronie sukcesów krakowskich imprez. Wprawdzie i w tym roku czasem straszyło z ekranu dziwactwem, wiało nudą lub porażało amatorskim mizdrzeniem się, jednak i takie ryzyko należy do dobrodziejstw festiwalowego inwentarza. Po to w końcu jest konkurs, aby oddzielić ziarno od plew.

Spośród filmów dokumentalnych wyróżniły się zwłaszcza dwa, oba notabene produkcji jugosłowiańskiej, która od lat zasłużenie zbiera festiwalowe laury na całym świecie. Pierwszy nagrodzony w Krakowie najwyższą premią, to „Rodzina robotnika" Miroslava Mandića. Dwudziestominutowy film, który z behawiorystyczną ascezą przedstawia egzystencję robotniczego małżeństwa mieszkającego z dala od swych miejsc pracy. On jest piekarzem pracującym na nocnej zmianie. Po pracy nad ranem drzemie na dworcowej ławce do czasu przyjazdu pociągu. Ona pakuje worki w jakiejś chemicznej fabryce nawozów sztucznych. Dzień w dzień mijają się przy torach kolejowych, gdzie pociąg zwalnia na tyle że piekarz może z wagonu wyskoczyć, a żona wskoczyć. To jest ich jedyne poranne spotkanie, kiedy mogą w pośpiechu się uścisnąć i wymienić najniezbędniejsze informacje o zdrowiu niemowlęcia i innych domowych sprawach. W filmie nie ma ani jednego niepotrzebnego ujęcia i ani jednego zbytecznego słowa. Autor nikogo wprost nie oskarża, nie skarżą się też młodzi małżonkowie, jakby pogodzeni z tym co jest.

Drugi film to „Jedno życie" Bogdana Žižica, taka ironiczno-tragiczna historia indyczego życia od inkubatora do rzeźni. Niby dokument o hodowli drobiu, ale przecież także jakby metafora spraw rozleglejszych, ludzkich i egzystencjonalnych. Naturalistyczna obserwacja i krwawy konkret, ale i filozoficzna refleksja. Tylko Jugosłowianie potrafią robić takie filmy. („Jedno życie" nagrodzone zostało jednocześnie przez jury FIPRESCI i Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych).

Z zainteresowaniem publiczność festiwalowa oglądała dwa filmy hinduskie (i ta kinematografia zbiera ostatnio międzynarodowe nagrody), jeden o roznosicielach lunchu dla setek tysięcy mieszkańców Bombaju („Dyplom Honorowy" krakowskiego jury), drugi o kobietach, które pracują jako tragarki ciągnąc dwukołowe wózki, napełnione ciężkim towarem. Zarówno te dwa, jak i poprzednio oglądane przeze mnie filmy hinduskie są formą społecznej perswazji, próbą filmowej interwencji na rzecz zmiany istniejących w Indiach postkolonialnych nawyków tradycji oraz aspołecznych i antyhumanitarnych struktur ekonomicznych. Zawsze są to filmy zaangażowane i ideowo ważne.

Werdykt jury zawiera osiemnaście tytułów. Gdy tak zastanawiam się, który jeszcze z dotąd przeze mnie pominiętych, a przez jurorów nagrodzonych czytelnikom „Odgłosów" przedstawić mam kłopot. Bo cóż można powiedzieć o „Łagodnej" Piotra Dumały, rysunkowej animacji, która podpiera się aluzjami do Fiodora Dostojewskiego? Albo o opowieści o wytwórcy świec, zatytułowanej „Lać światło" (jury nagrodziło zdjęcia Andrzeja Dąbrowskiego)? Albo o chińskiej fantazji krajoznawczej na temat uroków Tiuzhaigou? Nie wystarcza sprawna realizacja ani „ładne" zdjęcia, aby widza poruszyć, kazać mu myśleć, wzruszyć czy zadziwić.

Wśród tych osiemnastu nagrodzonych rozmaitymi wyróżnieniami filmów nie znalazły uznania, a przecież na nie ze wszech miar zasługiwały, takie tytuły jak: „Grawitacja", węgierski żart nie bez głębszych intencji o niecierpliwej młodości; „Oracion", kubański poemat filmowy oparty o tekst Ernesto Cardenala; „Le ciel saisi", francuski science-fiction z odniesieniami do Orwella; „Dlaczego żuczek przechodzi drogę", arcyzabawna amerykańska opowiastka o chrząszczu, który spieszy na spotkanie z ukochaną; „Cudze dzieci", polski obraz konfrontujący martyrologię dziecięcą podczas II wojny z zasadami pielęgnacji niemowląt w faszystowskich Niemczech. Tę listę mógłbym ciągnąć jeszcze przez wiele linijek, co świadczyłoby z jednej strony, o dobrym poziomie krakowskiego przeglądu, a z drugiej, że sympatie jurorów tylko w małym stopniu odzwierciedlają upodobania widzów. A także o tym, że film krótkometrażowy znajduje sposoby, aby bronić się skutecznie przed naporem wizualnej konkurencji.

Impreza krakowska miała swoje pozakonkursowe atrakcje w postaci przeglądu „Krótkie formy mistrzów kina". Po zagranicznych reżyserach tym razem mogliśmy oglądać dziełka polskich twórców filmu fabularnego: Zanussiego, Majewskiego, Skolimowskiego, Polańskiego, Królikiewicza, Kluby, Munka, Poręby, Borowczyka, Kieślowskiego i innych. W ramach festiwalu prezentowano retrospektywę twórczości Witolda Żukowskiego i Jacka Żuka-Żukowskiego, znanych twórców krótkiego metrażu. Festiwal krajowy miał tzw. sekcję informacyjną, o którą dopominałem się w roku ubiegłym, jednak pustawo było w sali kina, gdzie wyświetlano filmy do konkursu nie zakwalifikowane. Łódzka szkoła filmowa po ubiegłorocznej nieobecności postanowiła wrócić na krakowską imprezę ze swoimi etiudami. Szkoda tylko że ich zestaw był taki przypadkowy, a to co pokazano w żaden sposób nie da się obronić. Najbardziej irytujący (przepraszam czcigodnych opiekunów artystycznych) był obraz zatytułowany „Jesteśmy utopią", manieryczny, źle zagrany, z niejasnym przesłaniem. A to przecież film dyplomowy. Już lepiej oglądało się „ćwiczenia operatorskie" studentów II roku. Festiwal krakowski jest zbyt poważną imprezą, aby ją zbywać czymkolwiek.

Atrakcją w pełnym tego słowa znaczeniu był przywieziony przez Japończyków, przeszło czterogodzinny, zestaw filmów animowanych, który wypełnił dwie pełne projekcje. Ta twórczość, mało znana u nas, okazała się wspaniałym fajerwerkiem pomysłów, filmowych technik i znakomitego humoru. Impreza — co jest dodatkową jej wartością — miała charakter monograficzny, bo towarzyszył jej specjalny film przedstawiający historię japońskiego filmu animowanego od początków po lata siedemdziesiąte. Czytelnicy muszą uwierzyć mi na słowo, bo nie jest możliwe przełożenie arcyfilmowych gagów na sztywny przecież język pisany. Dla snobów argument dodatkowy: Franciszek Starowieyski, mimo późnej pory i wielu pięknych kobiet nie opuścił jednego tytułu z japońskiego przeglądu!

Na koniec o czymś, co wedle słów dyrektora krakowskich festiwali ma być ich szczególną ozdobą, czyli o projekcji zatytułowanej „Oberhausen w Krakowie". W tym roku projekcja ta coś nie przypadła do gustu mieszkańcom galicyjskiej stolicy. Publiczność nastawiona na zachodniokapitalistyczny szpan musiała oglądać enerdowski film o pracy stacji przeładunkowej na kolei, znany już z ubiegłego roku film Svankmajera oparty o opowiadanie Poe'go oraz film-dziennik duńskiego punka. Ani odrobiny seksu, ani niczego w peweksowskim opakowaniu! Wprawdzie amerykański film „Samochody ich marzeń" na chwilę skupił uwagę, ale przecież zgłoszono go także na festiwal krakowski, więc czym tu się chwalić nazajutrz tym, którzy na projekcję oberhauzeńską się nie dostali?

Ponieważ w ubiegłym roku wyrzekałem na organizacyjny bałagan w festiwalowej recepcji, w tym roku nie mogę tegoż biura nie pochwalić: proszę państwa, non plus ultra! Pełna kultura i światowy poziom. A że tam jacyś kochasie okradli pewnego Hiszpana, który z innymi kochasiami udał się był do sauny, niechaj roznoszą po Polsce plotkarze. Ja ów incydent („Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz") taktownie przemilczę.

■

GRZEGORZ GAZDA

Z półki recenzenta

„FRANCUSKA REWOLUCJA 1789"

Po tę książkę sięgna nie tylko historycy, bowiem obszerne dzieło Waltera Markova i Alberta Soboula to nie tylko opis bohaterskich i tragicznych wydarzeń ale są to socjologiczne rozważania na temat końca epoki feudalnej i początku kapitalizmu. Zresztą Rewolucja Francuska 1789 roku zrewolucjonizowała ówczesną Europę i miała niezaprzeczalny wpływ na późniejsze zrywy zbrojne w wielu krajach naszego kontynentu.

Przekład Ilke Morciniec.

Walter Markov, Albert Soboul: Wielka Rewolucja Francuzów 1789. Ossolineum 1985. Str 384. Cena 220 zł.

VADEMECUM TEATROMANA

To już czwarte wydanie przewodnika encyklopedycznego po świecie teatru poczynając od jego narodzin aż po czasy nam współczesne. Różni się ono od dotychczasowych tym że zawiera osobny, obszerny dział poświęcony teatrowi polskiemu, który ma niekwestionowane zasługi i osiągnięcia w rozwoju teatru europejskiego.

Ważnym dodatkiem jest zestaw chronologiczny: od teatru antycznego po teatr dzisiejszy. Całość została bogato udokumentowana ilustracjami.

Tadeusz Kudliński: Vademecum teatromana LSW 1985. Str. 430. Cena 450 zł.

OPĘTANI

Twórczość Andrzeja Przypkowskiego zawsze oscylowała wokół problemów świata współczesnego. Szczególnie interesowały go — i nadal interesują — wojna, terroryzm, mafie, polityka. Osobny rozdział — to wojna i udział w niej naszych jednostek bojowych.

Nie tak dawno pojawiła się w księgarniach nowa książka Przypkowskiego „Opętani" z rodziny tych sensacyjno-politycznych w których autor osiągnął spory sukces. Akcja toczy się we Włoszech, w amerykańskich sztabach wywiadu i sabotażu i opowiada o ludziach opętanych szaleństwem zabijania.

Andrzej Przypkowski: Opętani. KAW Oddz. w Łodzi 1985. Str. 224. Cena 80 zł.

ZMORY

Ta, niegdyś skandalizująca książka nie przyprawia dziś nikogo o wypieki. „Zmory" Emila Zegadłowicza nie obroniły się przed działaniem czasu. Mimo to zważywszy na otaczającą tę książkę i jej autora legendę, stanie się zapewne lektura poszukiwana i czytana. Edukacja Mikołaja Srebremojsanego jeszcze dziś na tle współczesnej swobody obyczajowej nadal wywołuje dreszczyk emocji, choć na dobra sprawę są „Zmory" wielką satyrą nie tylko na czasy w których żył i tworzył Zegadłowicz.

Emil Zegadłowicz: Zmory. Wyd. Lit. 1985 Str. 400. Cena 290 zł.

MARKIZ DE SADE

Chciałoby się wykrzyknąć: nareszcie! Tyleż skandaliczna co niedostępna na naszym rynku czytelniczym twórczość tego autora, trafiła oto do księgarń. Nie jest tego wiele, zaledwie dwie powieści: „Niedole cnoty" i „Zbrodnie miłości", które przecież nie obrazują w pełni twórczości tego znakomitego pisarza francuskiego XVIII wieku. W swojej ojczyźnie Francji został zrehabilitowany dopiero w 1960 r., w Polsce dziesięć lat później.

Przekład: Jacek Trznadel i Jerzy Łojek.

D.A.F. de Sade: Niedole cnoty. Zbrodnie miłości. Wyd. Łódzkie 1985. Str. 248. Cena 350 zł.

SZPETNI CZTERDZIESTOLETNI

Przeżywamy ostatnio klęskę urodzaju na wszelkiego rodzaju wspomnienia i pamiętniki. Jedne o czymś tam przypominają, inne dokonują wartościowania czasu minionego, jeszcze inne ukazują się nie wiadomo po co. Agnieszka Osiecka postanowiła także napisać wspomnienia o sobie. I gdyby nie fakt, że w jej książce pojawiają się nazwiska ludzi powszechnie znanych — byłby to wyłącznie „spis tęsknot" witzów i wspominków o młodości, co przeminęła bezpowrotnie. Ale ze względu na owe nazwiska — książkę się czyta.

Agnieszka Osiecka: Szpetni czterdziestoletni Iskry 1985. Str. 216. Cena 140 zł.

VIII Łódzkie Spotkania Baletowe

JERZY KWIECIŃSKI

Czytelnicy tej pozycji sprawozdawczej mają już tę wielką imprezę baletową poza sobą i zdążyli zapewne już ochłonąć z ostatnich wrażeń, a my dopiero — z winy cyklu wydawniczego — relacjonujemy dziś trzecią porcję przedstawień, kończąc na środzie sprzed tygodnia.

Wieczór ósmy

Nie omawiamy tu imprez towarzyszących, których jest, jak zwykle, sporo, być może ponad wytrzymałość stałej festiwalowej publiczności. Nie możemy też niestety podzielić się z Czytelnikami oceną baletu z Wuerzburga, gdzie od pewnego czasu przekazuje swoją wiedzę tamtejszym tancerzom nasz polski choreograf Jerzy Makarowski, podobno z najlepszym rezultatem, co jednak w ojczyźnie przysparza mu zawistników. Co prawda wierzyć na słowo cudzym opiniom jest coraz trudniej, nie można też w sprawach sztuki polegać na własnych ocenach jakiegoś zespołu czy choreografa sprzed lat i być z góry pewnym, że jeżeli wtedy nas zachwycił, to teraz przynajmniej zadowoli.

GYORI BALETT

Takie oczekiwania wiązałem, nie ja jeden z pewnością, z ponowionymi po dwóch latach odwiedzinami baletu węgierskiego z Györ, kierowanego przez IVANA MARKO, tancerza i choreografa z wielkiej szkoły Bejarta. Pamiętamy urzekające widowisko o silnym napięciu dramatycznym „Cień don Juana pada na nas". Ale ucznia od nauczyciela różni jednak sporo. Szkoła artystycznego umiaru i intelektualnego panowania nad formą, tak charakterystyczna dla oglądanych u nas ostatnio zespołów zachodnioeuropejskich, jest, dla pogrążonego w mistycznych egzaltacjach Węgra, szkołą zbyt trudną.

„TOTEM"

Będę jednak bronił pierwszego punktu programu pt. „Totem", gdzie dochodzi do głosu fascynacja autora tym, co w historii osobniczej jest odbiciem dziejów rodu i co stanowić może rolę czy to wzorca, czy może kodu przekazywanego od najdawniejszych przodków. Mimo niepełnej jasności tego przesłania jest tu szereg scen i wątków wymownych artystycznie, począwszy od pierwszych rodziców, którzy poznanie smaku zakazanej pełni życia, dostępnej innemu stworzeniu, przypłacają nie kończącym się cierpieniem swoim i potomstwa.

Nie pozbawione humoru (choć w zbyt odmiennej konwencji) były sceny zniewalania ludzi przez demony cywilizacji Miała swój sens i urok scena odzyskania przez ludzi zdolności spontanicznego przeżywania, ale nie mogłem dociec symboliki końcowej sceny tej historii człowieczej.

Ogólnie biorąc ów niemało przegadany utwór idzie na łatwą pokusę efektów zewnętrznych, na nadużywanie środków oszołomienia widza, a jednak zaciekawiał mnie i chwilami dawał bezsporne zadowolenie.

„TABU I FETYSZE"

Bez porównania gorzej wypadł w całości utwór „Tabu i fetysze". Niby to ten sam krąg co poprzednio, a jednak dyscyplina myślowa i artystyczna dużo słabsza, przypuściłbym, że już samo złączenie dwóch tych haseł wywoławczych w jednym tytule świadczyło o niespójności wizji w momencie jej poczęcia. Bo sądzę, że pojęciami ogólnymi nie wolno się posługiwać zbyt dowolnie i arbitralnie, jakby w poczuciu posiadania wysokiego wtajemniczenia, jakby specjalnego mistycznego posłannictwa. Ponadto pragnienie wypowiedzenia nazbyt licznych „prawd" skłoniło autora, jak przypuszczam, do niewłaściwego zastosowania głosu ludzkiego, i to niezwykle obficie.

Gdyby jeszcze potraktowano głos jako jeden z elementów, nagranej specjalnie, ilustracji rytmiczno-dźwiękowej, jak w „Łuku tęczy" w wyk. Baletu Rambert! Tu natomiast wykonywano przez tancerzy w czasie tańca melodeklamację czy chóralną recytację, przechodzącą w nieustający krzyk, co stanowiło jakby sztuczną podpórkę dla środków baletowych, po prostu „obce ciało". Czy zadaniem baletu jest odtwarzanie takich czy innych sytuacji „z życia wziętych" przez ich kopiowanie?! Że tak nie jest, wie o tym lepiej ode mnie tak wybitny i świadomy twórca, jak Ivan Marko, stąd moje domniemanie, że chciał on za wszelką cenę, pod wpływem silnych emocji, wmieszać się w wielkie spory i konflikty swojej epoki, która bynajmniej nie dzieli się na „czarne" i „białe", na demony i anioły, toteż zapłacił Marko cenę porażki.

Zresztą zespół z Györ zaprezentował wysoki na ogół poziom wykonawstwa, a sam jego szef dowiódł, iż jako tancerz jest nadal w znakomitej formie.

Wieczór dziewiąty

TEATR WIELKI — WARSZAWA

Po powtórce programu przez balet z Györ i po sesji naukowej poświęconej historii polskiego baletu, kolejną recenzowaną premierą był występ Teatru Wielkiego z Warszawy, z programem opartym w całości na muzyce Gustawa Mahlera, i zatytułowanym „Miłość i ból i świat i marzenie", w choreografii znanego zachodnioniemieckiego twórcy JOHNA NEUMEIERA.

Muzyka Mahlera przeżywa od wielu już lat na Zachodzie renesans swojej popularności. U schyłku ubiegłego stulecia i do czasu pierwszej wojny, czyli w końcowym okresie życia kompozytora, jego muzyka stała się dla publiczności objawieniem, ale później omalże poszła w niepamięć na pół wieku. Nie jestem wdzięcznym słuchaczem tego rodzaju muzyki i nie potrafię sobie wytłumaczyć fenomenu ówczesnej i obecnej jej popularności inaczej, niż jej znaczną emocjonalnością i przystępnością języka na tle muzyki Mahlerowi współczesnej. Widocznie epigon i eklektyk ma zawsze większe wzięcie od oryginalnego nowatora...

W części pierwszej wieczoru, poświęconej I Symfonii D-dur mieliśmy aż dziesięciominutowe jakby wprowadzenie bez muzycznego podkładu, który zastępował szum morskiej fali, co w połączeniu z refleksami wody na dekoracjach i ciałach tancerzy musiało sprawiać wrażenie. Choreograf zaczyna stopniowo zapełniać przestrzeń sceniczną parami tancerzy, co poprzedza wprowadzenie głównego solisty (Łukasz Gruziel) na pogranicze proscenium, na brzeg basenu wypełnionego wodą, której przebogata symbolika tłumaczy się najnaturalniej odzyskiwaniem sił i oczyszczeniem moralnym przez ablucję.

Trudno byłoby przekazać owo sceniczne „dzianie się" i nie należałoby, gdyż według słów samego Neumeiera tematem jego baletu „jest sama muzyka", a więc jej „transpozycja na świat optyczny", inaczej mówiąc na ruch taneczny. Odczuwałem daleko idącą zgodność pastoralnego charakteru wielu partii muzycznych z wymową ruchów i gestów tancerzy, poddawałem się urokom pięknej grupy wiejskich dziewczyn, jak z flamandzkich obrazów, z przodownicą (kapłanką) czerpiącą z ożywczego źródła, mógłbym się powołać na szereg innych obrazów, o ciekawej kompozycji i pociągającej estetyce, ale też niektóre inspiracje muzyczne i ich realizację, odczuwałem jako „drugorzędne" artystycznie, jak choćby ów małomiasteczkowy, galicyjski „majufes", potraktowany zbyt solennie, by móc go chwalić jako udany pastisz.

No i ogólnie mówiąc, utwór jest niedopuszczalnie długi, przekracza godzinę i wymaga dobrej kondycji zarówno na scenie, jak i na widowni.

Znacznie bardziej zwięzłe, zwarte w wyrazie i utrzymujące w dość równomiernym napięciu emocjonalnym było, moim zdaniem, Adagio z X Symfonii, o czystych, logicznych układach, wykonywanych z dużą precyzją, zwłaszcza w doskonale wytrzymywanych figurach o wolnym tempie, co znajduje mniejsze uznanie publiczności niż brawurowa technika, której zresztą też w kilku momentach nie zabrakło.

Z wykonawców obu punktów programu wymieńmy obarczoną dużymi zadaniami BEATĘ MIKOŁAJCZYK i jak zawsze stylową EWĘ GŁOWACKĄ, ponadto znaną nam dobrze z łódzkich występów RENATĘ SMUKAŁĘ i ANNĘ GRABKĘ, a z panów ŁUKASZA GRUZIELA, JANUSZA MAZONIA, niedawno oglądanego w „Cieniu" Wycichowskiej BOGDANA CHOLEWĘ i wielce obiecującego, niezwykle sprężystego JERZEGO KOSJANIKA.

Wśród oglądanych do tej pory zespołów polskich balet Teatru Wielkiego z Warszawy wypadł w przekroju całego wieczoru najkorzystniej.

Wieczór dziesiąty

SILVA RERUM

Nazwa tego krakowskiego zespołu, założonego i kierowanego przez Mariana Żaka wydaje mi się nieco asekurancka i dezorientująca, sugeruje bowiem „las rzeczy", inaczej mówiąc rozmaitość ujęć i podejść na zasadzie „dla każdego coś miłego", gdzie tematy ważkie mieszać się mogą z całkiem banalnymi w założeniu. Ponadto zespół pozostaje pod opieką „firmy", która rzadko kojarzy nam się z działalnością artystycznie ambitniejszą, a mianowicie Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych — oddział w Krakowie Pewną nieufność do krakowskich gości mogło też wywołać umieszczenie ich występów poza głównym festiwalowym nurtem. Występ tego zespołu przekonuje jednak, że jego powołaniu do życia przyświecały cele ambitne, chociaż rezultaty wykonawcze mogą wywoływać zastrzeżenia.

„KOŚCIELEC 1909"

Utwór ten, z muzyką Wojciecha Killara, poświęcony pamięci tragicznie zmarłego, przysypanego przez lawinę Mieczysława Karłowicza, stanowi dość naiwną próbę zobrazowania tego wydarzenia w scenach symbolicznych, utrzymanych w charakterze, powiedziałbym, nieco świetlicowych „żywych obrazów" o reminiscencjach „młodopolskich", zastosowanych w sposób jakby niezamierzony, ponadto wykonano rzecz na granicy szkolnej poprawności.

Po tych produkcjach można by całkowicie stracić wiarę w możliwości twórcze **MARIANA ŻAKA**, choreografa całości programu, i w jaką taką sprawność tancerzy.

„MUZEUM CZŁOWIEKA"

Przyjętemu przez zespół określeniu „teatr tańca", lepiej odpowiadało „Muzeum człowieka" do muzyki Krzysztofa Pendereckiego („Partita na klawesyn i orkiestrę"), oparty na świetnym pomyśle.

Oto po samounicestwieniu się ludzkości w wojnie nuklearnej (czego się domyślamy, gdyż na szczęście zaoszczędzono nam prób pokazania czegoś takiego), kiedy już rozmaite egzemplarze ludzkiego gatunku oglądać można jedynie jako eksponaty w specjalnym muzeum, zwiedza je grupa ocalałych z kataklizmu, naznaczonych piętnem psychofizycznych deformacji. Owi „guzowaci" wylazłszy ze swych jaskiń zapoznają się z niezrozumiałymi już dla nich świadectwami cywilizacji ludzkiej, co daje okazję do parodystycznych tańców o posmaku makabreski.

Można sobie tylko wyobrazić, jak smakowity kąsek przyrządziłby z tego Roland Petit i wykonawcy niezapomnianej „Coppelii", ale pomimo tego można powiedzieć, że krakowscy tancerze wyszli ze swoich zadań obronną ręką, a ogólny nastrój przedstawienia współtworzyła scenografia i kostiumy **ANDRZEJA GRABOWSKIEGO**, współautora libretta.

„EXODUS"

Oglądaliśmy już ten utwór w Łodzi przed paru miesiącami, ale nie był recenzowany na łamach „Odgłosów". Rzecz zaczyna się intrygująco. Spoza kamiennych nagrobków spoglądają ku nam rozmaite zmartwychwstające postacie, by następnie, po zrzuceniu ostatnich więzów śmierci rozpocząć żywy, pulsujący rytmem korowód taneczny, zmierzając do wybawienia czy zbawienia, do wtóru żarliwej muzyki Wojciecha Killara z powracającą frazą „Ecce venit populus tuus Domine".

Wykonanie tego utworu zyskało na dynamice i ogólnej ekspresji po przeniesieniu ze zbyt obszernej sceny Teatru Wielkiego na wyraźnie mniejszą Teatru Nowego. Umieszczenie jednak występu krakowian „poza konkursem" odbiło się w sposób oczywisty ujemnie na frekwencji publiczności.

Fotoreportaż z prób i spektaklu baletu Bejarta wykonał GRZEGORZ GAŁASIŃSKI.

Polemiki • Listy • Opinie

BYŁ W ŁODZI TAKI TEATR

W nr 20 „Odgłosów" z 1985.05.18 ukazał się artykuł Edwarda Pałczyńskiego p.t. „Był w Łodzi taki teatr", w którym autor przywołuje wspominki o teatrze Wojska Polskiego, który w roku 1945 znalazł siedzibę w obecnym teatrze im. Stefana Jaracza przy ul. Jaracza 27 (dawna ul Cegielniana). Artykuł ten przywołał u mnie także wspomnienia i to jeszcze z okresu kiedy teatr ten nie dotarł do Łodzi.

Było to na początku marca, bądź w jego połowie. Przebywałem wówczas na wojennym wygnaniu w małym, historycznym, podradomskim miasteczku Szydłowiec. Przez miasteczko to przebiegała bardzo ruchliwa szosa Warszawa — Kraków. Któregoś słonecznego lecz mroźnego dnia zatrzymały się przed miejscową restauracją dwa duże samochody ciężarowe z polskimi żołnierzami. Na jednym z nich był duży biało-czerwony napis: „Teatr Wojska Polskiego" Z kilkoma znajomymi chłopcami zatrzymałem się przy samochodach. W naszym gronie byli rodowici szydłowianie, łodzianie i wysiedleńcy z Obornik w województwie poznańskim. W rozmowie z żołnierzami dowiedzieliśmy się, że teatr jedzie do Łodzi.

Wkrótce z restauracji wyszedł oficer, który przedstawił się nam jako kapitan Stefan Środka. Przy rozmowie wyraził nadzieję, że wkrótce powrócimy do Łodzi i odwiedzimy teatr na spektaklu „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego.

Istotnie, za kilka tygodni rodzina moja powróciła do Łodzi. Zapisałem się do tego samego gimnazjum, do którego jeszcze w czerwcu 1939 roku zdawałem egzamin. W kwietniu całą klasą udaliśmy się do teatru na spektakl „Wesela". Sala teatralna była zapełniona widzami, a aktorom przerywano burzami oklasków. Po dziś dzień pamiętam te sceny przywołujące miłe wzruszenie.

Piszę po to, aby p. Stefanowi Środce przypomnieć jeden z maleńkich, być może już zapomnianych epizodów jego burzliwego życia aktorskiego.

MIECZYSŁAW KOZAK
Łódź

CO LUDZIE PISZĄ NA MURACH

Andrzej Betulski pisał niedawno w „Odgłosach" o tym, co za granicą ludzie wypisują na murach. U nas też pisze się na murach różne rzeczy. Najczęściej pisują dzieci. I trzeba przyznać, że lektura to interesująca, a napisy zaskakujące. Oto na osiedlu „Czerwony Rynek" zobaczyłem kilka dni temu dwa zaskakujące napisy kredą na dwu różnych blokach. Na jednym widnieje napis:

„TEN BLOK JEST ŚWINIA"

i na drugim:

„IZAURA ZYZOL".

Pozdrawiam
KRYSTIAN BĄK

PODRÓŻ DO WYDMIN

19 maja br. wsiadam do pociągu osobowego relacji Łódź Fabryczna — Ełk, odjeżdżającego punktualnie o godz. 20.10. Skład pociągu długi, lecz nie znajduję w nim ani jednego wagonu pulmanowskiego kl. II. Na pierwszą mnie nie stać. Niektóre z wagonów są przeznaczone do Suwałk, lecz o tym nie wiedziałem. Stąd dalsza przesiadka w Białymstoku. Przemeblowanie składu pociągu trwa przeszło godzinę, zupełnie jak na stacji granicznej w Medyce, gdzie następuje zmiana torów kolejowych na szersze.

Noc chłodna. Wagony już częściowo zdewastowane. Szyby w oknach powybijane, drzwi rozsuwane powyrywane z zawiasów, aczkolwiek nie były uszkodzone w czasie wyjazdu z Łodzi. Sezon ogrzewczy zakończył się dawno. Zimno i nieprzyjemnie. Wreszcie o godz. 3.30 wyjeżdżamy. Skulony w „kłębek" z podkurczonymi nogami, podłożoną gazetą na dwuosobowym siedzeniu, przemęczony i zziębnięty wreszcie przysnąłem. Przez sen czuję, że mnie ktoś mocno szarpie za ramię.

— Poproszę dowód osobisty!

Przecieram zaspane oczy, siadam i widzę jak przez mgłę stojącego nade mną umundurowanego dryblasa z wygiętą czapką, jaką zwykle nosili gestapowcy. Ciarki przeszły po skórze. Struchlałem. Ech, te wspomnienia.

— No co, jak długo mam jeszcze czekać? — padają ostre słowa.

— Jedną chwileczkę — pozwoli pan, że zapytam — po co panu dowód — mam ważny bilet — oto on.

— Bilet już sprawdzałem, potrzebny mi jest pański dowód!

— A można wiedzieć w jakim celu?

— Dowie się pan w odpowiednim czasie...

Nie wiem, co mam właściwie robić. Myślę intensywnie, czy faktycznie muszę okazać dowód bez podania konkretnej przyczyny? Przystanek. Widzę przez okno, jak konduktor ruchem ręki wskazuje na mój wagon. Za chwilę do przedziału wchodzi kierownik pociągu. Od nowa ta sama rozmowa i te same odpowiedzi. Przy okazji pytam kierownika pociągu, dlaczego w tak dużym składzie pociągu nie można znaleźć miejsca bez przeciągów, powiewów wiatru, a wagony są uszkodzone?

— To przez takich jak pan chuliganów — pada odpowiedź.

Zdębiałem.

— W czym się tak mocno naraziłem kolei?

— Trzymał pan nogi na siedzeniu, przez co je zabrudził.

— Podłożyłem gazetę, ale widocznie wypadła. Przepraszam. Posprzątam po sobie, lecz nie widzę tu żadnych śladów na drugiej połowie.

— Za późno okazał pan skruchę. Sam pan widzi, jakie to spustoszenie czynią grupy nieodpowiedzialnych wyrostków. Musimy być czujni...

Rzeczywiście. Przerażająca jest ta czujność. Na trasie całe tabuny, watahy rozwydrzonych chuliganów snują się po pociągu. Niszczą, co pod rękę popadnie, ale konduktorzy, kierownik pociągu, albo nie widzą, albo udają, że nie dostrzegają tego.

Przez całą drogę nie widziałem na oczy konduktora, gdzieś się zapodział. Nikt nie śmie zaczepić rozwydrzonej bandy. Po co? Liczy się przecież sprawozdawczość z nałożenia mandatów, a te w większości przypadków płacą cisi i spokojni pasażerowie. Tacy nie potrafią się wybronić, nie są wulgarni, agresywni. Stąd i łatwa „zwierzyna" łowna. Grunt to wykazanie się operatywnością i mamy z głowy... Trzeba płakać i płacić. Z koleją jeszcze nikt nie wygrał.

Na stacji w Grajewie oczekuje SOK. Dobrze, że pociągu nie wstrzymali na trasie przejazdu. Ale też przez cały czas przejazdu byłem pilnie strzeżony przez konduktora, chociaż nie miałem zamiaru uciekać. Pokazuję dowód sokiście. Spisał dane personalne, podał konduktorowi, który mi oświadczył:

— Płaci pan mandat w sumie 1000 zł.

— Panie, ale z czego? Jadę na wczasy, mam grosz wyliczony, a z renty się nie przelewa.

— Nic mnie nie obchodzi, najwyżej wystawię panu mandat kredytowy. Wystawił nr 360476 z terminem płatności w przeciągu siedmiu dni. Turnus trwa dwa tygodnie. Wiem z góry, że nie uiszczę w terminie, bo i skąd wziąć tyle pieniędzy od razu.

Wydaje mi się, że kary mają uczyć, odstraszać i wychowywać, lecz w żadnym wypadku nie powinno się ich stosować w sposób bezwzględny, mechaniczny, oschły i brutalny. Mając na uwadze jedynie statystykę. Zbyt uproszczony to sposób. Za wszelkiego rodzaju rozrabiaków, chuliganów, obiboków i nierobów płacą często spokojni pasażerowie, ale za to operatywność na kolei w nakładaniu mandatów znacznie wzrasta. Nic bledniejszego, bowiem wagony, urządzenia jak były, tak i są niszczone w każdej jednej DOKP, a prawdziwi chuligani śmieją się w kułak. Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie jestem przeciwny stosowaniu kar porządkowych, lecz jestem przeciwny mechanicznemu wdrażaniu tych kar w życie. Tego rodzaju postępowanie do niczego nie doprowadzi.

Z Ełku do Wydmin jechałem autobusem PKS.

Wydminy. Miejscowość cicha i spokojna. Okolice przepiękne. DW. „Mazur" położony w pobliżu stacji kolejowej, PKS, jednorazowo mógłby przyjąć ponad 200 osób. Pokoje w większości kilkuosobowe, chociaż nie brakuje jedynek i dwójek. Utrzymane schludnie i czysto. Kuchnia wyśmienita, prowadzona na wzór wiejski: — pyzy, knedle, szaszłyki i smaczne zupy. Pogoda na zamówienie. Słońce i woda. Ryby i grzyby. Jagody. „Mazur" posiada własną przystań żeglarską, z wypożyczalnią sprzętu pływającego, łącznie z żaglówkami, kajakami, rowerami wodnymi. Powietrze tu czyste i zdrowe, nie skażone wielkim przemysłem i innymi zanieczyszczeniami. Kierownictwo DW. „Mazur" fachowe i doświadczone. Obsługa wczasowiczów grzeczna i sprawna. Może zadowolić każdego malkontenta, wybrzydzającego na wczasy. Nie żałuję, że przyjechałem. Mam chociaż tę rekompensatę za uciążliwą, męczącą i długą podróż.

Nie radzę nikomu jechać trasą od Białegostoku do Ełku.

JAN WIŚNIEWSKI

NAGRODY W KONKURSIE

Zarząd Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi informuje, że rozstrzygnięty został konkurs literacki pod hasłem: „Stosunki międzyludzkie", na który wpłynęło 56 prac.

Jury konkursu w składzie: Władysław Strzelecki — przewodniczący, Ireneusz Bańbura — sekretarz, Janina Graban i Jan Wieliński — członkowie postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

W dziale prozy trzy pierwsze równorzędne nagrody otrzymali: Władysław Biszewski, Wiesław Kopka i Eugeniusz Wojech z Łodzi.

Drugiej nagrody jury postanowiło nie przyznawać, natomiast przyznano trzy trzecie równorzędne nagrody dla: Kazimierza Graczyka z Tuszyna, Czesława Zabielskiego z Ozorkowa i Bohdana Zajkiewicza z Pabianic.

Wyróżnieniami zostali uhonorowani: Janusz Bartlewicz z Łodzi, Kazimierz Graczyk z Tuszyna i Ryszard Kasprowicz z Łodzi.

W dziale poezji jury postanowiło nie przyznawać I nagrody. Przyznano dwie drugie równorzędne nagrody dla: Kazimierza Graczyka z Tuszyna i Stanisława Ostapowicza z Łodzi. Trzecie nagrody otrzymali: Anna Domagała-Jakuć, Zofia Kulik, Anna Wojciekian z Łodzi i Wiesław Tądek z Bełchatowa. Wyróżnieniami zostali uhonorowani: Leokadia Jachimowska z Kielc i Czesław Zabielski z Ozorkowa.

Ponadto jury postanowiło przyznać dyplom uznania Grzegorzowi Wlazło, uczniowi szkoły podstawowej w Wiewiórczynie za nadesłanie wierszy poza konkursem.

SPRAWA ALFREDA RAPPAPORTA I INNYCH

Ostatnio, w prasie polskiej prowadzona jest szeroka dyskusja i polemika na temat filmu wyświetlanego we Francji pt. „Shoah". Film oskarża Polaków o moralną współodpowiedzialność za zagładę Żydów polskich. Na tle tych informacji pragnąłbym przedstawić znaną mi z autopsji sprawę Alfreda Rappaporta i jej konsekwencje.

W styczniu lub lutym 1940 r. zgłosił się do naszej rodziny dobrze nam znany Alfred Rappaport, właściciel sklepu z manufakturą, mieszczącego się w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej w pobliżu Placu Wolności, z prośbą o pomoc w ukryciu jego żony i jego oraz uzyskanie aryjskich dokumentów. Matka jego, lekarz dentysta, wyjechała na wieś, tam szukała schronienia. Natomiast on z żoną postanowili pozostać w Łodzi i tu przeczekać okres do przewidywanej wiosną ofensywy alianckiej.

W naszym mieszkaniu przy ul. 11 listopada 24 (Obr. Stalingradu), jakkolwiek dużym, mieszkało 12 osób (3 rodziny). Poza tym, był to jeden z najważniejszych punktów wojskowej konspiracji w Łodzi i województwie łódzkim (Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armia Krajowa). Wobec tego nie można było udzielić im schronienia na dłuższy okres w tym pomieszczeniu. Ciotka moja Wanda Jezierska-Goedel postarała się dla nich o mieszkanie bezpieczniejsze u sióstr Wągrowskich w Łodzi, przy ul. Mielczarskiego.

W połowie 1940 r. udało się wyciągnąć z getta siostrę p. Rappaportowej, przywiezioną do Łodzi z Niemiec. Rodzina Rappaportów została zaopatrzona w „lewe" polskie dokumenty tożsamości (palcówki), radio i trucizny. Żywność, prasę, wszelkie sprawy życiowe załatwiały im dwie siostry, panie Wągrowskie. Rappaportowie dysponowali własnymi środkami finansowymi na pokrycie kosztów utrzymania.

W lipcu 1942 r. pp. Wągrowskie, jak codziennie, poszły do pracy. W tym czasie niemieccy urzędnicy, łącznie z blokowym, członkiem NSDAP, nadzorującym kilkanaście domów, przeprowadzali kontrolę mieszkań i również zapukali do mieszkania pań Wągrowskich. Nikt nie otwierał, a usłyszeli jakieś głosy. Zaintrygowani wezwali policję i siłą wdarli się do mieszkania. Wszyscy zostali aresztowani, łącznie z właścicielkami, kiedy powróciły z pracy.

Kobiety przebywały w więzieniu przy ulicy Gdańskiej 13 — Frauengefängnis, a Alfred Rappaport w więzieniu przy ul. Sterlinga, Polizeigefängnis.

Mój kuzyn, Wiesław Żyzniewski, w grypsie wysłanym z tego więzienia w dniu 1.08.1942 r. informował „w tym tygodniu przybył do celi mojej A. Rappaport. Martwi się o swoją żonę".

W więzieniu kobiecym siedziała już, aresztowana w lutym 1942 r. w czasie poważnej „wsypy" kierownictwa łódzkiego Armii Krajowej, Janina Żyzniewska ps. „Jasia", siostra Wandy Jezierskiej-Goedel, znająca rodzinę Rappaportów i panie Wągrowskie. Po spotkaniu w więzieniu z tymi paniami prosiła, aby wyłącznie ją obciążyły zeznaniami, gdyż jest już po śledztwie i ma skierowanie do obozu koncentracyjnego. Janina Żyzniewska w grypsie wysłanym z więzienia w dniu 5.09.1942 r. informowała: „dziś podpisały karty do obozu obie Wągrowskie, Rappaportowa i jej siostra. Widocznie sprawa ta jest zakończona. Czuję się winną, ale chciałam dobrze zrobić".

Natomiast Alfred Rappaport zgodził się na współpracę z niemiecką policją i pozostał w więzieniu przy ul. Sterlinga. M.in. rozpracował w więzieniu kolejarzy z Karsznic i Zduńskiej Woli (relacje: pisma kolejarzy — teczka w Komisji Historycznej ZBoWiD).

Sprawa wydawała się w roku 1943 ostatecznie zakończoną. Niestety, we wrześniu 1943 r. przybył do naszego mieszkania Alfred Rappaport informując, że uciekł z więzienia i ukrywa się. Wanda Jezierska-Goedel uwierzyła w tę historię i nie zmieniła miejsca swego pobytu. Po dwóch dniach została aresztowana przez gestapo. W czasie śledztwa, mimo bicia nie przyznawała się. Po przeprowadzonej konfrontacji z Rappaportem, została skierowana w listopadzie 1943 r. do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie zmarła.

Rappaport przebywał nadal w więzieniu. Na dwa dni przed opuszczeniem Łodzi przez Niemców zawisł na szubienicy, na wewnętrznym placu więzienia.

Wszystkie osoby związane ze sprawą rodziny Rappaportów poniosły śmierć w KL. Ausschwitz (Oświęcim), spełniając swój obowiązek wobec najbardziej zagrożonych. Tak wysoką cenę płaciło się w Polsce za niesienie pomocy współobywatelom polskim narodowości żydowskiej.

Chciałbym jasno podkreślić, że ofiara sióstr Jezierskich i Wągrowskich była zewnętrznym wyrazem ich postawy życiowej, niesienia pomocy bliźnim, miłości bliźniego taką, która gotowa jest „życie położyć za brata swego".

JERZY JĘDRZEJEWSKI

HISTORYCZNE MITY

Kiedy jakiś czas temu przeczytałem pióra Edmunda Lewandowskiego rozprawę o wpływach różnych kościołów na polskie losy polityczne i kulturalne, potraktowałem to jako typowo dziennikarską impertynencję, takie sobie fajne popisy dyletanta o nieprzeciętnej erudycji — coś w rodzaju najnowszego naprędce skomponowanego Vademecum turysty-zaopatrzeniowca, które z uśmiechem i na luzie się czyta a prędko zapomina.

W miarę zaś czytania nowego utworu o historycznym znaczeniu Łaby (nr 20) uśmiech zaczął mi się regulować, gdyż zakrawa to już nie na zwyczajną erudycję, tylko na dobrze przemyślaną teorię. W końcu autor, co prawda próbuje uspokoić czytelnika, podając jako rzecz oczywistą, że jego rozumowanie ma wartość zaledwie psychologiczno-moralną, nie polityczną, aczkolwiek nie ukrywa też żalu z tego powodu, „gdyż w polityce liczy się interes i rozstrzyga siła".

Byłoby wielkim grzechem, jeżelibym nie powiedział, że historyczną część artykułu czytałem z dużą przyjemnością. Przypomniały mi się lata studenckie — też nie lubiliśmy Gotów. Może za to samo, co bracia Połabianie: mówili okropnym językiem, a ci, którzy potrafili pisać, mieli do tego przewstrętny charakter pisma. Z wieloma innymi poglądami autora również nie sposób się nie zgodzić. Opierają się przecież na faktach i są dobrze przemyślane, a autor rzetelny jest aż do przesady. No, bo czy dla stwierdzenia, że dla szybko rozwijających się państw zachodnich kraje wschodniej części kontynentu... były miejscem plantacji zbożowych, trzeba aż się powoływać na Witolda Kulę? Tym bardziej, że sytuacja ta nie ogranicza się do wieku XVIII.

Drobne zastrzeżenia miałbym też do innych niby bezspornych racji. Według mnie na przykład Niemcy — jako kraj i naród — poniosły totalną klęskę kilkanaście lat wcześniej, obecna zaś „reszta" nie „została podzielona... Tylko na ziemi niemieckiej powstały dwa państwa o różnych ustrojach jako skutek urzeczywistnienia dwóch odmiennych tradycji rozwoju politycznego i społecznego w tym kraju — demokratycznej i konserwatywnej, na co wskazują już same nazwy tych państw. Nie wiedzieć tego to grzech nie tylko nieuwagi jedynie. O ile bowiem zrozumiałem ze stylu i formy, autor prezentuje próbę solidnej syntezy naukowej, bynajmniej myślowej.

A pewne aspekty tej syntezy budzą większy sprzeciw i niepokój. Dla zwięzłości nie chciałbym za bardzo zagłębiać się do analizy polskiego pecha dziejowego na tle katolicyzmu. Widać tu wyraźnie, że spór o wyższość świąt Bożego Narodzenia nad Wielkanocą jest jeszcze daleki od rozstrzygnięcia, skoro niewierzący tak się w tę sprawę angażują! Nie mając pod ręką ważkich argumentów na ten temat, powołuję się na autorytet największego Dyletanta Wszech Czasów K. Prudkowa — myśli nr 51 i 52: „Gdybyś został zapytany: co jest ważniejsze, słońce czy księżyc? — odpowiadają: księżyc. Ponieważ słońce świeci tylko w dzień, kiedy i tak jest widno, księżyć zaś w nocy". „Swoją drogą: słońce jest lepsze przez to, że świeci i grzeje; księżyc zaś tylko świeci, do tego jedynie w noc księżycową". Od siebie mogę jeszcze dodać, że E. Lewandowski popełnia tu typowy i częsty dla syntezy błąd: skutki bierze za przyczyny. Gdyż to nie protestantyzm powodował postęp cywilizacyjny, tylko ów postęp zmusił warstwy klasotwórcze do ratowania organizacyjnych układów społecznych, które muszą się dostosować do stosunków społecznych.

Przedstawienie sposobu, w jaki „pradawne ziemie Obodrytów, Wieletów i Serbołużyczan wyzwoliły wojska radziecko-polskie, składające się w znacznej większości ze Słowian", brzmi zapewne prawdziwie i dumnie. Ale czy nie nazbyt górnolotnie? I raczej niezbyt oględnie. Przypomniało mi to sylwetkę niedoszłego ministra skarbu z kolejnego odcinka Sagi rodu Palliserów. Pewne prawdy podwórkowe, jak by nie były bliskie i słodkie, trzeba uzgadniać z prawdami całej wsi — jest to niestety prawda nadrzędna. Mam nadzieję, że „Odgłosy" zastrzegły sobie wyłącznie prawo do publikacji prac E. Lewandowskiego — byłoby to dla mnie wielką pociechą. Bo gdyby tak, będąc obywatelem NRD, dowiedział się, że budując u siebie socjalizm czynię to nie jako świadomy społecznego i politycznego postępu spadkobierca cywilizacyjnego i kulturalnego dorobku Niemiec i Europy, lecz dlatego, że zamieszkuję prasłowiańskie ziemie, byłbym, mówiąc delikatnie, nieco rozczarowany, a może nawet zawiedziony. Gdyż zamiana to nie tylko zaskakująca, ale nieadekwatna również.

Jeżeli historia porywa się na miano nauczycielki życia, to sama erudycja i badania przeszłości tu niestety nic nie wskórają. Wiadomości mogą jedynie podpowiedzieć, czego nie należy robić, służą niejako treningiem, utrzymaniu kondycji. Natomiast co robić, decyduje konkretna chwila. To właśnie wiedza historyczna nie pozwala na zbicie z tropu i właśnie dlatego i na szczęście historia powtarza się coraz rzadziej. Sentymenty słowiańskie są swojskie i kochane, na pewno warto je pielęgnować, ale z umiarem. W każdym bądź razie nie zapominać akcentów może nieczęstych, ale wystarczająco niemiłych: Serbołużyczanom krypłonim „SS Galizien" może niewiele mówi, ale Polakom powinien, żeby już nie sięgać jedenastowiecznych pacyfikacji Załabia. Wykorzytywanie zalet narodowych do zaszeregowania i podbudowy chwiejących się podwalin nię jest niczym nowym Mówi się, że ma to krótkie nogi. Ale na krótkich nogach czasem też można daleko zajść. Pewien „filolog" pamiętnej trzeciej rzeszy w fundamentalnej monografii „Die Sprache als Rassenmerkmal" bezbłednie zaliczył Ormian do rasy wyższej, ponieważ mają pismo gotyckie (frakturaehnlich). Gruzinów zaś do niższej, ponieważ dysponują pismem okrągłym (Hebraeischfoerming).

Wydawało mi się dotychczas, że ze wszystkich narodów Europy Polacy najmniej usposobieni są do pielęgnowania mitów, bo najmniej mają podstaw, a jeśli nawet kto do niedawna był do tego skłonny, to ostatnie lata a nawet dnie wywołują wszystkie mity jak film kolorowy i to ze znakiem jakości.

Wszystko, co profesor A. Krawczuk wie o Rzymie i Kartaginie nie musi się powtórzyć w Norymberdze czy Zgorzelcu. Poza tym te kilkanaście stuleci nie poszło na marne — ludzie nauczyli się sami wyręczać Nemezis, aby wielbiciele mitów „nie przekraczali moiry". Wymaga to nie tyle mitologii greckiej, co zwykłego współczesnego rozsądku — widzieć rzeczy i zjawiska takimi, jakimi są.

JAN KAPŁAUCH

ADAM OCHOCKI

Emerituri te salutant

I kto by pomyślał, że dobrotliwe słonie, eksponowane przez kolektury na całym świecie jako symbol szczęścia i dobrobytu, staną się powodem poważnych kłopotów kilku dziennikarzy łódzkich...

O ósmej rano — działo się to na początku r. 1973 — dalekopisy PAP wystukały wstrząsającą depeszę: na terytorium Polski rozbił się samolot grzebiąc pod szczątkami całą obsługę i pasażerów, wśród nich ministrów — polskiego i Czechosłowacji. Poranna prasa nie zdążyła zamieścić tej informacji, popołudniówki miały możliwość dokonania zmian w przygotowanych do kalandrowania pierwszych stronach.

Depeszowiec łódzkiego „Expressu", Tadeusz Ceglarski, zadzwonił do Adama Bieńkowskiego, zastępcy redaktora naczelnego pytając o dyspozycje.

— *Wyrzuć inny materiał i daj to na trzy szpalty!*

Operacja odbyła się bez kłopotów. Nadana przez agencję wiadomość zajmowała dokładnie tyle miejsca, co usunięta trzyszpaltówka. Czas naglił, Ceglarski nawet nie spojrzał na zaplanowaną poprzedniego dnia fotografię, włamaną pod usuniętym tekstem.

Bieńkowskiemu, gdy przyszedł do redakcji, zakomunikowano od progu hiobową wiadomość:

— *Całe kierownictwo „Expressu" zawieszone!*

— *Co się stało?!*

— *Słonie! Pod depeszą o katastrofie lotniczej poszło zdjęcie tańczących słoni. Uznano to za poważny błąd polityczny!*

Posypały się kary. Ceglarskiego pozbawiono na jakiś czas prawa wykonywania zawodu, Bieńkowskiego zdegradowano na sekretarza redakcji, Jurka Szelewickiego z sekretarza redakcji przesunięto na stanowisko publicysty. W najgorszej sytuacji znalazł się naczelny, Wiktor Malski. Usunięto go z redakcji z zakazem pokazywania się tam i nie zaoferowano żadnej pracy. Pomógł mu Stanisław Mojkowski, pozostawiając Wiktora do dyspozycji Zarządu Głównego RSW „Prasa". Przez półtora roku zdetronizowany szef „Expressu" pobierał pensję nic nie robiąc. Dla zabicia czasu napisał dwie książki historyczne o Tadeuszu Kościuszce, o czym od dawna marzył. Po przymusowej przerwie trafił do „Magazynu rodzinnego" na fotel sekretarza redakcji. Tytuł czasopisma odpowiadał składowi redakcyjnemu: znalazło się tam aż pięciu usuniętych z różnych redakcji naczelnych — utworzyli r o d z i n n y, zgrany kolektyw.

Na tym nie zakończyła się „sprawa słoni" (słoń a sprawa łódzka?). Bieńkowskiego postanowiono upchnąć do „Naszej trybuny" zakładowej gazety Łódzkich Zakładów Przem. Bawełnianego im. Obrońców Pokoju. Ponieważ „Express" przechodził trudny okres, zmieniał format, zwiększał objętość do ośmiu stron, zaś nowy naczelny fachowcem nie był, zatrzymano Adama na kilka miesięcy, a w „Naszej trybunie", dokąd go formalnie przeniesiono, otrzymał pół etatu. Ostatecznie wylądował (za karę?) w „Karuzeli", jako zastępca redaktora naczelnego.

Restrykcje niewątpliwie drakońskie. Inne popołudniówki w kraju, jak „Echo Krakowa", czy „Express Poznański", też zamieściły fotografię słoni w bezpośrednim sąsiedztwie informacji o katastrofie lotniczej, jednakże nikomu nie czyniono z tego powodu wstrętów. Malskiego owego feralnego dnia nie było w Łodzi. Jak mógł odpowiadać za coś, co się wydarzyło poza jego plecami, za kogoś, kto się z nim nie porozumiewał?

Mnie również nie ominęły różne przypadłości, chociaż nie zamieściłem zdjęcia słoni ani innych zwierzaków...

Rozstanie z „Karuzelą" przebiegło lekko. Koledzy, w trosce o moje serce, zaoszczędzili mi naturalnych przy takich okazjach wzruszeń. Obeszło się bez pożegnalnych oracji, prezentów, toastów, podziękowań, życzeń, zaproszenia do dalszej współpracy — nie było nawet symbolicznej szklanki herbaty, wiadomo — kofeina też nie jest zalecana dla schorowanych organizmów.

Potem odbyło się jakieś zebranie, odprawiłem gorzkie żale, potem dwa moje zakwalifikowane do druku i złożone teksty z nosem spuszczonym na kwintę powędrowały z powrotem do kociołka z płynnym metalem, potem były jeszcze inne pieriepałki — i kontakty z „Karuzelą" urwały się definitywnie.

Po czyjej stronie leży wina w tym konflikcie redakcja — Ochocki? Problem ten już 150 lat temu rozstrzygnął mędrzec Iwan Kryłow w morale znanej bajki o Łabędziu, Raku i Szczupaku:

Kto winowat iz nich, kto praw — sudit' nie nam,
Da tolko b o s s i nynie tam...

Inni przyjaciele dokumentnie obrobili mi starszą panią i poprzylepiali różne etykietki. Na upartego każdemu można wyświadczyć taką przysługę, a jeśli zabiorą się do tego spece, to ho, ho! Pitigrilli powiedział: *„Zobaczą cię na ulicy z kobietą — orzekną, że to twoja kochanka, z mężczyzną — że jesteś homoseksualistą, a gdy zobaczą cię samego — że się onanizujesz".*

A kiedy mój chuderlawy tors został już starannie wypunktowany hakami i sierpami z lewej i prawej — nastąpił klasyczny upper-cut, czyli strychulec, fanga od dołu w podbródek. Pan premier Piotr Jaroszewicz z okazji Dnia Dziecka przyznał nagrody dla twórców serialu filmów rysunkowych „Zaczarowany ołówek". No, chociaż raz o mnie nie zapomnieli — odetchnąłem z ulgą oglądając dziennik TV, ale gdy nazajutrz wziąłem do ręki gazetę, zrzedła mi mina. Nagrody otrzymali — i słusznie — wszyscy reżyserzy, operatorzy dźwięku, kierownicy produkcji, plastyk (ten co prawda w późniejszym terminie) i inni współtwórcy, na liście zabrakło tylko jednego nazwiska — autora całości, wszystkich pomysłów i scenariuszy do 38 odcinków tego serialu (jedynie niektóre pisałem do spółki). A przecież gdyby nie owe pomysły i scenariusze nie byłoby żadnego filmu z tej serii! To tak jakby, nie obrażając nikogo, nagrodę za książkę przyznano zecerowi, który ją składał, metrampażowi, który przełamywał stronice, introligatorowi za oprawę — tylko nie temu co książkę napisał.

Przełknąłem i tę gorzką pigułkę. Postanowiłem już więcej nie pisać scenariuszy „Zaczarowanego ołówka", co tyle złotówek i dewiz przyniósł za wyświetlanie w kraju i za granicą. Dla samouspokojenia napisałem fraszkę do... szuflady:

Zamiast zrobić awanturę,
rzekłem krótko: finis bajka,
bo pan premier zarżnął kurę,
co znosiła złote jajka.

Przy okazji zagadnąłem dyrektora wytwórni „Se-Ma-For", Zbigniewa Godlewskiego, czemu zabrakło mnie przy rozdziale nagród za mój serial.

— *Nic nie mogłem poradzić* — rozłożył ręce — *takie były układy...*

No cóż, wtedy na układy nie było rady.

Tęgie razy wyzwoliły we mnie ukryte źródła energii. Brawurowo zorganizowałem drugą wyprawę do Australii, o czym obszernie w jednym z poprzednich rozdziałów. Wróciłem stamtąd chory. W kraju, tak konsekwentnie broniącym się przed zawleczeniem jakiejś epidemii, zaraziłem się i to chorobą nieuleczalną: połknąłem bakcyla numizmatycznego. Znajoma podarowała mi dwie półdolarówki, ośmiokątne monety z miedzioniklu z podobizną kpt. Cooka, wybite dla upamiętnienia 200 rocznicy jego wyprawy morskiej do Australii. Tak mi się spodobały, że powziąłem niezłomne postanowienie: zostanę numizmatykiem. Już w samolocie, w drodze do kraju, dokonałem pierwszej transakcji — dublet wymieniłem u piłkarza Legii, Adama Topolskiego, też na półdolarówkę, tylko srebrną, z królową Wielkiej Brytanii, Elżbietą II.

A potem zaczęło się na dobre! Mój zbiór wzbogaciły dalsze darowizny. Na honorowej liście ofiarodawców figuruje m.in. Marian Podkowiński. Sprezentował mi garść monet z różnych krajów, nie brakło i cennych numizmatów ze stref okupacyjnych w Niemczech. Stałem się przysięgłym bywalcem przenoszonego z miejsca na miejsce „pchlego targu", takoż giełd staroci w lokalach zamkniętych — w Dzielnicowym Domu Kultury w al. 1 Maja, w domu kultury na Nowopolskiej, w „Unibudzie" na Sienkiewicza, w piwnicy na Jaracza.

Nastawiłem się głównie na monety polskie z okresu międzywojennego i po wyzwoleniu, nie gardząc okazami i z innych krajów. Zawieranym transakcjom przyglądałem się z mieszanymi uczuciami. Potencjalni nabywcy numizmatów, uzbrojeni w lupki, każdą sztukę badają skrupulatniej niż pracownicy służby kryminalnej pozostawione przez przestępców ślady.

— *Panie, popatrz pan... Kreska koło lewej łapy orła. A tu wżerka. Za tę cenę mogę dostać taką monetę w menniczym stanie...*

— *Mam jeszcze jedną. Może ta?*

— *Ale zmęczona! Starta na rewersie i awersie.*

Wybrzydzaniom nie ma końca. A przecież te „zmęczone" monety to dowód przebytej przez nie drogi! Zmieniały właściciela, przechodziły z rąk do rąk. Budziły nadzieje, napawały smutkiem, kiedy trzeba było się z nimi rozstać. Nikt ich umyślnie nie uszkadzał. Może moi koledzy numizmatycy okrzyczą mnie heretykiem, ale ja osobiście znacznie większy sentyment mam właśnie do tych sfatygowanych monet, niż do takich, które po opuszczeniu mennicy zazdrośnie schowano do puzderek i które w dziewiczym stanie, jak zasuszona stara panna, przetrwały do dnia dzisiejszego.

Podobnie jest ze znaczkami pocztowymi. Za moich sztubackich czasów zbierało się znaczki stemplowane, noszące ślady przeszłości, trudy długiej drogi przez lądy i oceany, działające na wyobraźnię, roztaczające uroki starej korespondencji, pogmatwanych losów ludzkich, zawodów, nadziei... Dzisiaj w cenie i poważaniu są znaczki czyste, bez stempla pocztowego.

Poczciwe, przedwojenne grosiki! Mój Boże, ileż to wspomnień wiąże się z nimi... Ulicami Łodzi wędrowały od sklepu do sklepu armie żebraków z wyciągniętą ręką. Kupcy traktowali ich jako zło konieczne. W przeddzień takiej copiątkowej inwazji rozmieniali w banku kilka czy kilkanaście złotych, aby starczyło jałmużny dla każdego. Lecz biada, jeśli któryś z biedaków nadużył zaufania! Gdy w sklepie pojawiał się ponownie ten sam żebrak i korzystając z zamieszania chciał wyłudzić dodatkowy grosik, a kupiec go poznał — intruz wylatywał z hukiem na ulicę i już nigdy więcej nie miał prawa wstępu do sklepu ofiarodawcy.

Kupiłem okazyjnie pudło przedwojennych monet 50-groszowych. To taniocha, kosztują po kilka złotych, dla mnie są osobliwą pamiątką z lat młodzieńczych. Trzy takie niklowe monety otwierały nam drzwi Sezamów — domków płatnej miłości na Wolborskiej, Solnej, Kamiennej. Jakbym je poznawał, przysiągłbym, że niejedną miałem w ręku...

Dziesięć lat temu, gdy zacząłem kompletować mój zbiór, monety były tanie jak barszcz. Za 10-złotówkę z „dziadkiem" płaciło się 130—150 złotych, dzisiaj kosztuje ona w dobrym stanie 2500—2800. Popularne dwuzłotówki ceniono 25—27 zł, za dychę z Trauguttem dałem 870, tyleż za Sobieskiego. Za parę srebrnych 50 i 100 koron czeskich z podobizną Stalina — 350 zł. Ze wszystkich krajów na świecie jedynie Czechosłowacja wypuściła monety z wizerunkiem Generalissimusa.

Dowiedziałem się i innych ciekawostek. Profil głowy kobiecej w chustce i wieńcu na tle promieniście ułożonych kłosów, zdobiący rewers srebrnych 2, 5 i 10-złotówek z lat 1932—1934, to wcale nie alegoria, to klasyczny, piękny profil żony Ludwika Morstina, uwieńczony przez Antoniego Madeyskiego.

Te monety są stosunkowo tanie i dostępne. Nie ma wśród nich rarytasów jak np. w 2-złotówkach z podobizną Piłsudskiego. Taka dwuzłotówka z r. 1934 kosztuje około 450 zł, za identyczną, tylko z r. 1936, choć wybito ich 75 tysięcy, należy wybulić co najmniej dwadzieścia tauzenów, jeśli w ogóle ktoś zechce ją sprzedać.

A pięciozłotówki — Nike ze wzniesioną ręką, krocząca po chmurach? Tę z r. 1928 można nabyć za 6—7 tysięcy, z lat 1930 i 1931 kosztują cztery razy więcej, a przedmiot westchnień tysięcy numizmatyków — Nike z r. 1932 — taniej niż za 70 tysięcy nie nabędziecie.

Już nie wspominam o gdańskich guldenach i naszych monetach z napisem „próba", zwłaszcza o srebrnych „klipach" na kwadratowej płytce — z Romualdem Trauguttem, Janem III Sobieskim, Józefem Piłsudskim. Ceny? Szczęśliwy posiadacz „klipy" z „dziadkiem" nie pozbędzie się jej nawet za ćwierć miliona.

Pierwszymi moimi doradcami i nauczycielami, wprowadzającymi mnie w arkana sztuki zbieractwa, byli: Stanisław Bulkiewicz, znany numizmatyk łódzki, członek Sekcji przy Polskim Tow. Archeologicznym i Numizmatycznym w Łodzi oraz Piotr Andrzejewski, wieloletni prezes Sekcji. Prezes namówił mnie do wstąpienia w szeregi PTAiN, co też uczyniłem i włączyłem się do tego pięknego ruchu. Coraz lepiej orientowałem się w zawiłych tajnikach zbieractwa, przez jakiś czas współredagowałem „Łódzkiego Numizmatyka". Pogawędki z panem Piotrem zaczynały się od monet, kończyły nieuchronnie... wspomnieniami dawnej Łodzi, wspólnych znajomych, bo sympatyczny pan Piotr, podobnie jak ja, jest łodzianinem z krwi i kości, „bałuciarzem", co chętnie podkreśla..

Niepokojąco rosły rzędy klaserów w mej wmurowanej szafie. Z biegiem czasu zajęły całe skrzydło wypierając bieliznę na inne półki. Rosły też wydatki. Próbowałem je zrekompensować honorarium za ułożoną fraszkę:

Zapytał synek swego taty:
„Tato, co robi numizmatyk?
Ja nie wiem co to słowo znaczy,
Niech tata wytłumaczyć raczy".
A tato-zbieracz tak odpowie:
(Trudno nie przyznać racji tacie)
„Numizmatyk to biedny człowiek,
Co tylko płaci, płaci, płaci".

Na domiar złego rozsypała się eksploatowana od blisko dziesięciu lat „Simka". Postanowiłem poprosić wiceprezydenta Łodzi, Jana Morawca, aby umożliwił mi z tzw. puli przyśpieszenia wcześniejsze nabycie zapłaconego już malucha. Licząc na poczucie humoru wicewłodarza miasta — skomponowałem wierszowany utwór pt. „Ballada o strudzonym wędrowcu, któren głos Pana posłyszał":

Cóż to za widmo wlecze się drogą?
Ledwo już zipie, powłóczy nogą,
Słania się, zgina, pada, powstaje,
I znowu przed się, choć sił nie staje.
Odzienie w strzępach, wzrok obłąkany,
Stopy wędrowca — dwie krwawe rany.
Przez skalne głazy, przez góry, błoto,
Ciągle na nogach, ciągle piechotą...
Wtem grom się rozległ, rozwarły chmury
I głos donośny ozwał się z góry:
— Postój, wędrowcze! Kim jesteś, powiedz!
Pustelnik? Zbrodzień? Święty? Pechowiec?
Czemu tak chodzisz, chodzisz bez końca?
Od wschodu aż do zachodu słońca?
Niech ci się przyjrzę... Ktoś jest? O rany!
Toć to Ochocki, satyryk znany!
Synu mój, powiedz co ci się stało?
— Auto na proch mi się rozsypało.
Nie mam już wozu... Wrogi się cieszą,
Że muszę teraz zasuwać pieszo.
Co dzień przemierzam wielkie przestrzenie,
Stopy mi ranią ostre kamienie,
Nic mnie nie nęci, nawet dziewucha,
Chyba już wkrótce wyzionę ducha...
— Nie bluźnij, synu, tak się nie godzi,
Wszak żyje jeden mąż święty w Łodzi,
Któren pomoże ci bez wątpienia,
Boć przecież pulę ma przyśpieszenia,
Z puli tej wóz ci da, to nie witze...
— Ach, kto on, Panie? Zdradź tajemnicę!
...Tu się potoczył głos po murawie:
— To wasz prezydent (wice) Morawiec.
On skażet „da" — i budiet „da", wierzaj!
Idź, serce przed nim otwórz na ścieżaj,
A on w try miga da ci Fiacika...
— Ach, Panie, radość mą duszę przenika.
Lecz jeszcze prośbę tę spełń, petenta,
Niech ten Morawiec o mnie pamięta,
Bo obowiązki ma on ogromne...
Wonczas rzekł Stwórca: — Dobrze, przypomnę...

Pan wiceprezydent — jak mnie poinformowała jego sekretarka — pokładał się ze śmiechu — i na tym się skończyło. Poezja i motoryzacja jakoś nie chodzą z sobą w parze. Z podobnym odzewem spotkał się mój wiersz skierowany przed laty do premiera Józefa Cyrankiewicza. Mało tego — pan wiceprezydent jakoś nigdy nie miał czasu, ilekroć chciałem osobiście, już prozą, poprzeć moje starania. Wspomniałem, jak to zaraz po wyzwoleniu wystarczał jeden telefon, a prezydent miasta, Eugeniusz Stawiński, otwierał przede mną drzwi swego gabinetu. I ulżyłem sobie:

Kiedyś bywałem u prezydenta,
dzisiaj u wice muszę się pętać.

Karta odwróciła się dopiero u schyłku 1980 roku. Wyszedł pierwszy tom „Reportera przed konfesjonałem" — o mych przedwojennych przygodach dziennikarskich. Nie poleżał długo na półkach księgarskich, a p. p. recenzenci prześcigali się w pochwałach. Recenzje Witolda Fillera w „Perspektywach" i Zenona Wilczewskiego w „Prasie Polskiej" nawet wprawiły mnie w zażenowanie.

Pogratulowali osobiście literaci, z którymi spędzałem urlop w zaiksowskim pensjonacie w Konstancinie. Najgoręcej dwaj łodzianie — Włodzimierz Boruński i Marian Brandys, jak ja, wychowanek gimnazjum Zgromadzenia Kupców w Łodzi.

— *Mam dla pana ciekawy szczegół, może się przyda przy ewentualnym wznowieniu pańskiego pamiętnika* — powiedział pan Marian. — *Po utworzeniu Związku Radzieckiego wychodzący w naszej Łodzi endecki „Rozwój" pocieszał swych czytelników takimi oto komunikatami, zamieszczanymi codziennie obok winiety tytułowej, zawsze w identycznym brzmieniu, tylko ze zmieniającymi się liczbami: dni Związku Radzieckiego są policzone, będzie on istniał jeszcze 90 dni, jeszcze tylko 89 dni, jeszcze 88 dni...*

Dobra passa nie ustawała. W jakiś czas po „Reporterze" WŁ wydało zbiór moich utworów satyrycznych „To ci kwiatki", łódzki Oddział SD PRL, wprawdzie z trzyletnim poślizgiem, uhonorował 50-lecie mojej pracy w dziennikarstwie, po wielu latach wyczekiwania zadyndał wreszcie na mej piersi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Redaktor Filler ze „Szpilek" wydrukował mi kilka wierszy, zaproponował współpracę przy organizowaniu numerów specjalnych związanych z Łodzią, zaprosił do uczestnictwa w nowej rubryce tygodnika — „Księga humoru", do której wpisałem się licznymi felietonami.

Podniesiony na duchu postanowiłem zabrać się — co przedtem nawet nie przeszło mi przez głowę — do napisania drugiego tomu pamiętnika — o tym jak się po wojnie robiło gazetę.

Trwało to cztery lata. Potwierdziła się stara prawda, że rzeczy, które lekko się czyta, ciężko się pisze. Pierwsze odcinki zaproponowałem „Odgłosom". Tygodnik szeroko otworzył dla mnie serce i łamy: zamieścił obszerne fragmenty w s z y s t k i c h rozdziałów drugiego tomu „Reportera", a przecież tę książkę pisałem nie dla nich — dla Wydawnictwa Łódzkiego.

W sumie wypadło ponad 400 stron maszynopisu, pękate tomisko! Zapewniwszy przekornie w „słowie od autora" — jakiż pamiętnik bez tego się obejdzie! — że wszystkie wydarzenia i osoby są autentyczne i jakiekolwiek podobieństwo do postaci fikcyjnych może być tylko dziełem przypadku, złożyłem obietnicę:

„...będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę".

I tu opadły mnie refleksje. O, nie! Takiego przyrzeczenia, wymaganego od świadków zeznających w sądzie, złożyć nie mogę. Prawdę — tak. Tylko prawdę — też. Ale — c a ł ą prawdę? Dopiero bym sobie piwa nawarzył! Już w trakcie drukowania fragmentów tych wspomnień w „Odgłosach" poniektórzy koledzy i znajomi poczęli na mnie wilkiem spoglądać, a przecież nie wszystko o nich napisałem. Może dlatego, że nie znałem całej prawdy, a może — że ją znałem? Aż strach pomyśleć co by to było, gdybym nie zainstalował hamulców w klawiaturze mojej „Eriki"...

Co oczywiście nie oznacza jakoby nasze środowisko specjalnie było obarczone balastem różnych przywar. Ktoś powiedział, że dziennikarze to tacy sami ludzie jak inni śmiertelnicy, tylko gorzej od nich piszą, ale to już należy uznać za zwykłą złośliwość.

A zatem nie wszystko — i nie o wszystkich. Nie jestem historiozofem ani historiografem. Nie piszę rozprawy naukowej o powojennej prasie łódzkiej, w której przewinęło się około trzystu dziennikarzy. Trudno zatem traktować „Reportera" jako biografię, a cóż dopiero monografię kolegów po piórze. Mój pamiętnik, jak innego tego rodzaju publikacje, rządzi się odrębnymi prawami. Opisując dawne dzieje oparłem się na pamięci, w felietonowej formie starałem się przekazać swoje przeżycia na tle minionych wydarzeń. Chętnie sięgam do anegdoty, zabawnych historyjek, one bowiem często lepiej od najmędrszych wywodów i wyliczeń przydają kolorytu wspomnieniom, odtwarzają specyficzną atmosferę, dzięki czemu przybliżają czytelnikowi minione dzieje i ich bohaterów.

Może się na mnie poobrażają. Ci, którym przypiąłem łatkę, i ci, o których... nie wspominam. Mógłbym zacytować utwór poety (ogłoszony poza cenzurą przez Andrzeja Piwowarczyka w r. 1937 w Poznaniu) pt. „Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go..." — u licha, okazuje się, że nie jest najlepiej z tą moją pamięcią. Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć pełnego tytułu. W uszach dźwięczy mi tylko ostatnia zwrotka:

I wy, o których zapomniałem,
Lub pominąłem was przez litość,
Albo dlatego, że się bałem,
Albo, że taka was obfitość...

i jeśli ktoś pamięta — propozycja pointa.

Nie, nie zacytuję. To nie ci adresaci, poza tym nie jestem poetą. Zamiast tego wszystkim boczącym się, niezadowolonym, obrażonym itp. dedykuję apel Jerzego Panasewicza, skierowany już kiedyś do nich w związku z pretensjami jednego z kolegów pod moim adresem: nie strzelajcie do pianisty, który spróbował jedynie odegrać suitę bardzo osobistych wspomnień...

I tak mi się żyje, całkiem inaczej niż do owej, pamiętnej jesieni... Czas robi swoje. Dawne żale, pretensje, urazy powoli wietrzeją. I jeśli za ileś tam lat przywoła mnie św. Piotr i powie: *„Źle się tu u nas dzieje, bractwo rozbisurmaniło się, cały dzień nic tylko śmichy chichy, byście pomogli, Ochocki, stworzyć dla nich jakieś pismo, żeby wreszcie trochę spoważnieli"* — to bez chwili namysłu zaproponuję Wojciecha Drygasa na naczelnego redaktora. Mam nadzieję, że szef konkurującego z rajem sektora wyrazi zgodę na to przesunięcie personalne, a Wojtek na pewno wywiąże się z zadania i łachowo poprowadzi tę „Rajską Karuzelę"....

Na razie udeptuję ziemski padół. I jest byczo! Zdrowie dopisuje, w chałupie ciepło, radio, telefon, kolorowy telewizor. Jeżdżę, bywam, zwiedzam. Co miesiąc, regularnie, listonosz przynosi mi emeryturę, do tego jeszcze coś się napisze, to tu, to tam, wyda jakąś książczynę. Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Więc modlę się tylko, żeby kiesa pana ZUS zawsze była pełna, i żeby, broń Boże, nie zawieruszył mego adresu. Niech Pan o mnie pamięta, kochany Panie ZUS! A ja postaram się odwdzięczyć pozostając na długie jeszcze lata Pana wiernym klientem. W imieniu swoim i przechodzących na zasłużony odpoczynek kolegów przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia — emerituri te salutant!

■

Fragment końcowego rozdziału złożonego w WŁ drugiego tomu wspomnieniowej książki pt. „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę".

Tego, jak marzycielskie — by nie powiedzieć szalone — były wizje Sindony, nigdzie nie widać prawdopodobnie wyraźniej, niż na jednym oryginalnym szczególe jego planu: Sindona zapewnia, że rodzina Gambino była gotowa zamknąć swoją fabrykę heroiny na Sycylii, a więc zrezygnować z interesu, który według ocen odpowiednich władz włoskich rokrocznie przynosił rodzinom Gambino, Inzerillo i Spatola przynajmniej 600 mln dolarów czystego zysku. W zamian za tę ofiarę dla ogólnego dobra dotychczasowi królowie narkotyków mieliby otrzymać monopol na handel pomarańczami, a Rosario Spatola miałby uzyskać zezwolenie na budowę kasyna gry w Palermo.

Zgodnie z planem Sindona zniknął z ulic Nowego Jorku po południu, 2 sierpnia 1979 r. Był na to rzeczywiście najwyższy czas, jeżeli oderwanie Sycylii od Włoch i rokowania z prezydentem USA na temat przyłączenia wyspy do Stanów Zjednoczonych chciał doprowadzić do końca przed wyznaczonym na 10 września rozpoczęciem swego procesu. Z fałszywym paszportem wystawionym na nazwisko Josepha Bonamico (co znaczy mniej więcej „dobry przyjaciel"), ucharakteryzowany za pomocą okularów, białej peruki i przyklejonej brody, Sindona udał się w towarzystwie Anthony'ego Caruso na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego na pokład samolotu TWA, mającego odbyć lot nr 740 do Wiednia. Dalszymi elementami tej komedii były żądania okupu, wysłane do pewnej liczby osób i podpisane przez „porywaczy", którzy nazwali się „Proletariackim Komitetem Reformy (sic!) Sądownictwa". Przedstawienie trwało do 16 października: tego dnia „psychicznie i fizycznie wykończony" Michele Sindona z zagojonym postrzałem na udzie, zameldował się telefonicznie u swoich nowojorskich adwokatów z budki na rogu 42 ulicy i 10 alei w Manhattanie.

Jego dwu i półmiesięczna przygoda pod żadnym względem nie była imponującym sukcesem: Sycylia ciągle jeszcze należała do Włoch; jeśli chodzi o byłych przyjaciół Sindony, to większość z nich takimi właśnie pozostała — byłymi przyjaciółmi; wbrew wszelkim groźbom „lista 500" pozostała nie opublikowana i Sindona ściągnął na siebie nowe oskarżenie o krzywoprzysięstwo, zlekceważenie obowiązku meldowania się i namawianie do przestępstw. Jedynym opłacalnym wynikiem tej przygody wydaje się 30 mld lirów. Sumę tę przekazał Roberto Calvi po tym, jak Licio Gelli łaskawie poręczył za Sindonę. Teoretycznie pieniądze te, pochodzące z należącego do Calviego Banca del Gottardo w Szwajcarii, przekazano „porywaczom" Sindony (konkretnie Rosario Spatoli z mafii) jako wzajemne świadczenie za „uwolnienie ich ofiary" — bilardowy trik po włosku.

Głównymi reżyserami tego awanturniczego przedsięwzięcia, poza samym Sindoną, byli Anthony Caruso, Joseph Macaluso, Johny Gambino, Rosario Spatola Vincenzo Spatola i Joseph Miceli Crimi. Władze włoskie udowodniły, że Rosario Spatola, który normalnie spędzał czas na wędrówce w tę i z powrotem między betoniarkami na terenie swego wielkiego przedsiębiorstwa budowlanego w Palermo, przebywał w Nowym Jorku dokładnie w tym czasie, kiedy zniknął Sindona. Zapytany o powód tego pobytu w Nowym Jorku odpowiedział: „Sprawy rodzinne".

Proces Sindony rozpoczął się wreszcie na początku lutego 1980 r. Chodziło o ową długą listę oskarżeń, wynikających jeszcze z bankructwa Franklin-Bank. Bezpośrednio przed rozpoczęciem procesu nadszedł z Watykanu wyraźny sygnał świadczący o tym, że Kościół rzymskokatolicki, jeżeli już nikt inny nie chciał tego zrobić, był gotów stanąć po stronie swego byłego doradcy finansowego.

Kardynał Giuseppe Caprio, kardynał Sergio Guerri i biskup Paul Marcinkus zgodzili się na spełnienie prośby obrony i nagranie odciążających zeznań na magnetowidzie. Zaciekawiona tym, co ci dostojni ludzie powiedzieliby na temat Sindony, strona oskarżająca wniosła zastrzeżenie przeciwko temu niezwykłemu wnioskowi obrony. Powszechnie przyjęto, że świadkowie, zwłaszcza zaprzysiężeni, składają swoje zeznania w sali sądowej, przed obliczem sędziów i przysięgłych. Dla ludzi z Watykanu sędzia Thomas Greisa uczynił wyjątek. Ustalono, że adwokaci Sindony udadzą się do Rzymu w piątek, 1 lutego. Zeznania świadków miały być nagrane następnego dnia i w poniedziałek adwokaci mieli znowu stawić się w sali sądowej. Tak też było, zjawili się. Ich relacja, zawarta w aktach procesowych rozprawy „Stany Zjednoczone Ameryki przeciw Michele Sindonie", jest niezwykle interesującą lekturą.

W ostatniej minucie, a dokładnie mówiąc na cztery godziny przed ustalonym terminem nagrania zeznań świadków, do sprawy włączył się kardynał Casaroli. Oświadczył kategorycznie, że nie będzie żadnych zeznań. „Stworzyłyby one szkodliwy precedens. Zapowiedź tych zeznań wywołała już pożałowania godną sensację. Jesteśmy bardzo nieszczęśliwi z tego powodu, że rząd amerykański nie zapewnia Watykanowi uznania dyplomatycznego".

Obrońcy Sindony, wszyscy jak jeden najwyższej klasy adwokaci, nie otrząsnęli się jeszcze całkowicie ze swego niesłychanego zdziwienia, kiedy składali sprawozdanie sędziemu Griesie. W sobotę o 11.00 przed południem do ambasady amerykańskiej zatelefonował monsignore Blanchard, sekretarz kardynała Guerriego, by jeszcze raz potwierdzić, że kardynałowie i biskup zjawią się tam o 16.00. Kilka minut później zatelefonował ponownie; wizytę całej trójki, jak poinformował, odwołał Casaroli. Kiedy wspomniano o rozmowie telefonicznej, która odbyła się przed zaledwie kilku minutami, monsignore z miejsca zaprzeczył, że telefonował do ambasady. To bezczelne dementi upiększył jeszcze dodatkowym kłamstwem, że „sędzia amerykański jest o tym wszystkim dokładnie poinformowany".

Zirytowana pracownica ambasady, która zapewne nie spotkała się jeszcze z takim przykładem bezwstydności Watykanu, usiłowała sama osiągnąć kardynała Guerriego. Kiedy po pewnych trudnościach udało jej się wreszcie znaleźć go i przeprowadzić z nim rozmowę telefoniczną kardynał wyznał, że nie wie, czy zjawi się w celu złożenia swoich zeznań, czy też nie. Oczywiście nie zjawił się. Guerri, Caprio i Marcinkus zapewniali adwokatów amerykańskich, że ich zeznania, gdyby mogli je złożyć, wypadłyby niezwykle korzystnie dla Michele Sindony; nie w tym leży trudność. Problem wyłonił się dopiero wówczas, kiedy kardynał Casaroli zastanowił się nad możliwymi i być może niezwykle nieprzyjemnymi skutkami: gdyby mianowicie przysięgli mimo wszystko uznali Sindonę winnym, trzech wysokich dostojników Kościoła rzymskokatolickiego okazałoby się praktycznie kłamcami. Ponadto należało uwzględnić jeszcze jeden aspekt: zezwolenie całej trójce na złożenie — trzeba przyznać dobrowolnych — zeznań otworzyłoby śluzę, przez którą przy następnej okazji usiłowałby się wcisnąć dowolny sędzia włoski i domagałby się takiej samej gotowości do współpracy. Podważyłoby to jednak owe postanowienia Układu Laterańskiego, który gwarantuje kardynałom absolutną nietykalność przed ingerencją włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości. Następnym krokiem byłyby potem próby podniesienia zarzutów pod adresem Watykanu Sp. z o. o.

Casaroli wyświadczył tym wielką przysługę Watykanowi. Adwokaci amerykańscy nie wiedzieli, że zlekceważył przy tym decyzję papieża. Jan Paweł II wyraził mianowicie zgodę na to, by Marcinkus i dwaj pozostali ogłosili światu swoje wielkie uznanie dla Sindony.

Dwudziestego siódmego marca 1980 r. w 65 punktach aktu oskarżenia uznano Michelę Sindonę winnym oszustw, uczestniczenia w nielegalnym sprzysiężeniu, krzywoprzysięstwa, fałszowania dokumentów i sprzeniewierzenia pieniędzy bankowych. Przewieziono go do ciężkiego więzienia Metropolitan na Manhattanie, by oczekiwał tam na ogłoszenie wyroku (to jest wymiaru kary).

Trzynastego maja, na dwa dni przed ustalonym terminem ogłoszenia wyroku, Sindona usiłował popełnić samobójstwo. Lekko podciął sobie żyły i, co należało potraktować poważniej, połknął niebezpieczną dawkę naparstnicy. Za radą swojego wielkiego mistrza z loży, Gellego Sindona od wielu lat nosił przy sobie pewną ilość tego środka. Gelli udzielił takiej rady nie tylko Sindonie, lecz również innym czołowym członkom P2. Gdyby ktoś usiłował zmusić ich do zdradzenia tajemnic P2, trucizna miała umożliwić ostateczne dramatyczne wyjście z sytuacji.

Tajemnicą pozostanie to, jak Sindona przemycił do celi dawkę naparstnicy. On sam twierdził oczywiście, że od wielu lat pakiecik tej trucizny miał zaszyty pod podszewką swego garnituru. Niezależnie od tego jednak, jak było naprawdę trudno jest przemycić coś takiego do celi więziennej, w każdym razie o wiele trudniej niż wnieść w sposób niezauważony do pomieszczeń papieskich.

Z początku wydawało się, że Sindona umrze, zwłaszcza że lekarze nie wiedzieli, jaką truciznę zażył. Kiedy wreszcie ustalili, że była to naparstnica, mogli zaaplikować mu antidotum. Wyzdrowiał całkowicie i 13 czerwca 1980 r. skazano go na 25 lat pozbawienia wolności oraz grzywnę w wysokości 200 000 dolarów. Carlo Bordoni, koronny świadek oskarżenia, otrzymał siedem lat pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 20 000 dolarów. W kolejnym procesie, który odbył się zaraz po ogłoszeniu tych wyroków, Sindonę skazano na dalsze dwa i pół roku pozbawienia wolności za zainscenizowanie przestępstwa (a mianowicie uprowadzenie siebie samego). Za winnych udzielania Sindonie pomocy w planowaniu i realizacji tego przestępstwa uznano Anthony'ego Caruso i Josepha Macaluso. Obaj otrzymali kary po pięć lat pozbawienia wolności.

Podczas gdy wszystko to działo się w Nowym Jorku, po drugiej stronie Atlantyku bracia Sindony z loży, Calvi i Gelli zajmowali się swymi zwykłymi interesami. Roberto Calvi rozpoczął w 1979 r. ubezpieczać się i chronić na wszystkie strony: ośmioosobowa ochrona osobista, strzeżenie jego osoby, strzeżenie rodziny i siedzib w Mediolanie, Rzymie i Arezzo przez całą dobę, opancerzony Alfa-Romeo z kuloodpornymi oponami. To zaspokajanie osobistej potrzeby bezpieczeństwa tego wielkiego oszusta kosztowało akcjonariuszy Banco Ambrosiano ponad milion dolarów rocznie. Nikt inny we Włoszech, nawet prezydent czy premier, nie był tak dobrze chroniony.

Calvi opłacał jednak swoje bezpieczeństwo jeszcze w inny sposób: zabiegał o protekcję partii politycznych wszystkich kierunków — chrześcijańskich demokratów, socjalistów, komunistów. Wszyscy otrzymywali potajemnie dotacje od Calviego. Do tego dochodziła jeszcze P2 Gellego, a także przyjaciele i partnerzy z mafii; protekcja, jaką mu zapewniali, była oczywiście obosiecznym mieczem, ponieważ tak samo mogli mu sprawiać trudności, jak on im.

(26)

„W imieniu Boga" —tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Zakupione potajemnie i nielegalnie przez Calviego akcje Banco Ambrosiano leżały w piwnicach firm panamskich, poza zasięgiem jurysdykcji włoskiego Banku Państwowego; mimo to Calvi żył w ciągłym strachu, że ten rozdział jego różnorodnej działalności przestępczej może stać się znany władzom. Do realizacji nielegalnych transakcji wykorzystywał najpierw swoją filię w Nassau. Kiedy niewiele brakowało do uzyskania przez włoski Bank Państwowy dowodów potwierdzających odnoszące się do tej działalności podejrzenia, przeniósł do Nikaragui dowody rzeczowe i „bunkier dowodzenia", w którym zbiegały się nici jego transakcji. W 1979 r. wreszcie ponownie zmienił siedzibę i nowy „bunkier dowodzenia" otworzył w Peru, jeszcze dalej od grożącego niebezpieczeństwa: 11 października 1979 r. swoje podwoje otworzył w Limie Banco Ambrosiano Andino. Wkrótce potem dokonano do Peru transferu poważnych kredytów, które Calvi zapewniał swoim zamaskowanym firmom w Panamie i Liechtensteinie. Tworzenie małych, zamaskowanych firm z nominalnym kapitałem własnym wynoszącym najczęściej tylko 10 000 dolarów było specjalnością Calviego. Utworzył ich w sumie 17. Większość z nich należała do mającego swoją siedzibę w Luksemburgu przedsiębiorstwa pod właściwą nazwą Manic S. A., należącego znowu do Banku Watykańskiego.

Gdyby banki międzynarodowe, które przez wiele lat zabiegały o pożyczanie Calviemu milionów dolarów, trochę dokładniej zajęły się swoim klientem, wówczas z pewnością ujawniono by to wszystko kilka lat wcześniej. Sporządzony w 1978 r. przez włoski Bank Państwowy raport z kontroli Banco Ambrosiano był oczywiście dokumentem ściśle poufnym, a więc również trudno dostępnym. Był nim również w 1981 r., kiedy otrzymałem do ręki jeden jego egzemplarz. Jeżeli do takiego raportu mógł dotrzeć pisarz, to powinno być to również możliwe dla przynajmniej kilku z 250 banków na całym świecie, oszukanych przez Calviego. Pieniądze, które wrzuciły mu bezpowrotnie do paszczy, były naszymi pieniędzmi. Bankierów uważa się powszechnie (i sami uważają się za takich) za wzorce zręczności, świadomości, odpowiedzialności, dalekowzroczności i wszelkich innych cnót; sami jednak dawali się nabierać na oszukańcze rachunki, jakie przedkładał im Calvi. Wierzyli mu, kiedy mówił, że ogromne kredyty, które u nich zaciągał, są przeznaczone na finansowanie eksportu włoskiego. Nikomu nie przyszło do głowy, by to sprawdzić, by po pewnym czasie zbadać, co stało się z pieniędzmi? Druzgocące świadectwo wystawia zwykłym w międzynarodowym systemie bankowym praktykom udzielania kredytów fakt, że możliwe było wypożyczenie 450 mln dolarów przez renomowane międzynarodowe instytuty bankowe nie bankowi z ich własnych szeregów, lecz zwykłemu towarzystwu holdingowemu pod nazwą Banco Ambrosiano Holdings z siedzibą w Luksemburgu — firmie, której zupełnie wyraźnie nie patronował żaden bank centralny. Ludzie, którzy zasiadają w zarządach i radach nadzorczych tych banków, powinni być pociągnięci do odpowiedzialności przez akcjonariuszy i wszystkich posiadaczy kont. Dla Anglika nie jest zbyt pocieszające dowiedzieć się, że jako klient banku w konkretnych okolicznościach sam dopomógł rządowi argentyńskiemu w zakupie owych rakiet Exocet, które w wojnie o Falklandy spowodowały śmierć tak wielu rodaków. Nie ma jednak żadnych wątpliwości co do tego, że istnieje taki związek przyczynowy. Calvi zaopatrywał Gellego w miliony, które pożyczał r ó w n i e ż od banków brytyjskich, a Gelli z kolei wykorzystał część tych pieniędzy na zakup rakiet Exocet dla Argentyny. Ludzie, którzy udzielili Calviemu tych ogromnych kredytów, z pewnością usprawiedliwialiby się dziś tym, że cała sprawa wyglądała swego czasu na wspaniały interes.

To, jak bardzo plugawa była właśnie ta transakcja, można prawidłowo ocenić dopiero wówczas, gdy człowiek uzmysłowi sobie, że transferu pieniędzy, za pomocą których Gelli sfinansował wstępnie zakup rakiet Exocet, dokonano przez firmę panamską należącą do Watykanu.

Firmę tę, noszącą nazwę Bellatrix, kontrolował biskup Marcinkus. Utworzyło ją jednak trio złożone z członków P 2: Licio Gellego, Umberto Ortolaniego i Bruno Tassana Dina. Ostatni z nich był urzędującym dyrektorem i strategiem finansowym grupy wydawnictw Rizzolego. Ci trzej masoni wydoili z dojnej krowy, jakim był Banco Ambrosiano, 184 mln dolarów. Na papierze sumę tę wykazano jako kredyt dla firmy Bellatrix w Panamie, która jednak ze swoim kapitałem własnym w wysokości 10 000 dolarów w żadnym wypadku nie mogła udzielić na nią żadnych gwarancji. Tak więc ten ogromny kredyt pro forma zabezpieczono tylko dużym pakietem akcji grupy Rizzolego, którego mocno miały w swoich rękach P 2 i Watykan. Kurs, po jakim zaproponowano złożone w charakterze gwarancji akcje Rizzolego, był bardzo zawyżony.

Firma Astolfine, inne przedsiębiorstwo panamskie, należące do Watykanu, potrafiła przy kapitale własnym wynoszącym 10 000 dolarów zgromadzić górę długów w wysokości 486 mln dolarów.

Jak można wytłumaczyć to, że ENI, jeden z największych koncernów na świecie, zaczął naraz pożyczać pieniądze Calviemu? Że to potężne państwowe towarzystwo naftowe nagle zaczęło zachowywać się jak bank i pożyczało pieniądze Banco Ambrosiano Holdinds w Luksemburgu, zamiast odwrotnie? Czy miało to na przykład coś wspólnego z tym, że dyrektor generalny ENI, Giorgio Mazzanti i dyrektor wydziału finansowego tego koncernu, Leonardo di Donna byli członkami P 2? Na piętrach dyrektorskich wiele banków międzynarodowych, które w latach 1978—1980 nieprzerwanie rzucały Calviemu w paszcze miliony dolarów, nie ujawniono do tej pory jeszcze żadnych członków P 2 (...)

Punkty zaczepienia przemawiające za tym, że Bank Watykański jest właścicielem owych tajemniczych firm panamskich sięgają wstecz do 1971 r., kiedy to Calvi i Sindona powołali biskupa Marcinkusa do zarządu filii Ambrosiano w Nassau.

W Mediolanie sędzia Luca Mucci podjął w 1979 r. dyletancką próbę przesłuchania Calviego. Calvi ograniczył się przy tym do intensywnego oglądania czubków swoich własnych butów, mruczenia coś o „tajemnicy bankowej" i mówienia o perspektywach zwycięstwa drużyny Inter-Mediolanu w następnym meczu. Kiedy się pożegnali, sędzia Mucci był tak samo mądry, jak przedtem.

W końcu 1979 r. zobowiązania zamaskowanych firm kontrolowanych przez Calviego i nominalnie należących do Watykanu osiągnęły sumę ponad 500 mln dolarów. Nie spełniły się na szczęście lunatyczne wizje Sindony o intergalaktycznym kapitalizmie; określone działania finansowe podlegają jeszcze staromodnym, ziemskim prawom, na które nie mógł wywrzeć wpływu nawet ktoś taki, jak Calvi. Kurs dolara wobec lira zaczął wzrastać. Aktywa Banco Ambrosiano składały się w znacznym stopniu z akcji opartych na lirze. Teraz rozpoczęło się szaleństwo. Dla podtrzymywania chociażby samej fasady Calvi musiał dokonać zapierających dech trików finansowych i to w dodatku w okresie, kiedy do kosztów bieżących doszły jeszcze wydatki specjalne: 30 mld lirów na wykupienie dziennika weneckiego IL GAZZETTINO (gest, który miał zapewnić utrzymanie przychylności chrześcijańskich demokratów) i 20 000 miliardów „kredytu" dla rzymskiego dziennika PAESTESERA (dla uspokojenia komunistów). Wszyscy trzymali wyciągnięte ręce, a jeden z nich, jak się wydawało, miał dłonie wielkie jak szufle: Licio Gelli.

W styczniu 1980 r. otworzył swoje podwoje w Buenos Aires Banco Ambrosiano de America del Sud. Prawie nigdy nie dokonywano tam normalnych operacji bankowych; za to ta filia imperium Calviego pomagała rządowi argentyńskiemu finansować zakup rakiet Exocet. Również innym reżimom południowoamerykańskim zapewniała środki na zakup broni.

Tymczasem w Mediolanie sędzia Mucci, będący pod wrażeniem wyników dochodzeń policji finansowej (która prowadziła je nadal na podstawie raportu pokontrolnego Banku Państwowego z 1978 r.), zdobył się na decyzję: w lipcu 1980 r. zażądał od Calviego złożenia jego paszportu i poinformował go o wszczęciu postępowania karnego. Był to mały krok naprzód w imieniu sprawiedliwości.

Następny nie kazał na siebie długo czekać, ale był to krok wstecz: kilka miesięcy później Calvi otrzymał swój paszport z powrotem. To Gelli wykorzystał swoje dobre stosunki. Mniej skłonności do udzielania takiej pomocy wykazał wielki mistrz w wypadku Massimo Spady, kiedy współpracownika Banku Watykańskiego, a obecnie przewodniczącego zarządu Banca Cattolica del Veneto, aresztowanego i postawionego w stan oskarżenia z powodu różnych naruszeń prawa w związku z „wielkim krachem Sindony". Następnym, który przynajmniej czasowo wdychał powietrze celi więziennej, był Luigi Mennini, będący nadal w służbie Banku Watykańskiego.

Kiedy mimo usilnych zabiegów Gellego o przekupienie wszystkich jednocześnie lub każdego z osobna sieć wokół Calviego zaczęła się zaciskać, nadzieje bankiera mediolańskiego na utrzymanie nad swoimi przestępczymi poczynaniami płaszczyka uczciwości zaczęły koncentrować się w coraz większym stopniu na Marcinkusie. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna i bez gotowości Banku Watykańskiego do dalszego ręczenia za Calviego cała ta fasada musiałaby natychmiast zawalić się. Wprawdzie zawsze już tak w zasadzie bywało, ale teraz Bank Watykański odczuwał znacznie silniejszy nacisk ze strony aparatu wymiaru sprawiedliwości, niż kiedykolwiek przedtem; aresztowanie Menniniego wyraźnie to potwierdziło. Calvi obawiał się, że mimo ogromnych dotacji pieniężnych, którymi rozpieszczał w przeszłości Marcinkusa, wkrótce może okazać się, iż ten człowiek w Watykanie odmówił mu swego aktywnego wsparcia i tym samym wyda go bezbronnego na pastwę prześladowców.

I rzeczywiście włoski minister finansów, Benjamino Andretti piastujący to stanowisko od października 1980 r., doszedł na początku 1981 r. do wniosku, że Watykan powinien niezwłocznie wycofać swoje poparcie dla Calviego. Przestudiował gruntownie raport pokontrolny Banku Państwowego z 1978 r. i uważał za pilnie potrzebne podjęcie czegoś dla oszczędzenia Kościołowi jeszcze większych trudności. Udał się do Watykanu i przeprowadził długą rozmowę z kardynałem Casarolim. Przedstawił mu sytuację i doradził, by Watykan zerwał wszelkie kontakty z Banco Ambrosiano póki jeszcze nie było za późno. Radą tą pogardzono. Marcinkus miał później zapewnić, że o tej rozmowie nic nie wiedział. Niezależnie od tego, jak było w rzeczywistości, to jeżeli przekonany katolik, Andretti znałby całą prawdę, i tak musiałby wiedzieć, że zerwanie stosunków z Calvim było dla Watykanu rzeczą zupełnie niemożliwą, gdyż de facto państwo kościelne było przecież właścicielem Banco Ambrosiano! Przez ten splot zamaskowanych firm w Panamie i Lichtensteinie Watykan posiadał ponad 16 proc. udziałów w Banco Ambrosiano. Z uwagi na fakt, że pozostałe akcje były rozproszone, Watykan ze swymi 16 proc. praktycznie kontrolował ten bank.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

5.VI.1966 r.

Do: Sekcja Informacji
Wydział Rejestru Przestępstw Kryminalnych
Departament Policji Chicago, Illinois
Poszukiwany: Wasze pytanie dot. R. L. Stevensona (karta nr 189623)
Dane: Podmiot nie żyje. Zmarł w wieku lat 44. Czy chcecie dalszych informacji?

A.K.
Urząd Statystyczny USA
Sekcja Informacji

Do: Urząd Statystyczny USA
Sekcja Informacji
Sprawa: dot. karty nr 189623
Dalsze informacje zbędne

Dziękuję
Sekcja Informacji

Wydział Rejestru
Przestępstw Kryminalnych
Dep. Policji Chicago

7.VI.1966 r.

Do: Tonio Malagasi
Wydział Rejestru Przestępstw
Dot.: sprawa o sygnaturze akt 456789 — ofiara nie żyje

Sekcja Informacji

7.VI.1966 r.

Do: Sędzia Aleksander J. McDivot
Drogi Jacku!
Dot.: Sprawy o sygnaturze 456789. Ofiara tego porwania została ewidentnie zlikwidowana.
Co najmniej dziwny jest brak jakichkolwiek informacji o zabójcy, jego ofierze, nawet o wieku ofiary, dlatego pachnie mi to jakimiś porachunkami gangów. To do twojej wiadomości. To informacja całkowicie prywatna, nie powołuj się na mnie. Mam wrażenie, że ten Stevenson — ofiara — to nazwisko, z którym już się gdzieś zetknąłem. Może to ktoś z gangów Wschodniego Wybrzeża, jako że nazwisko kojarzy mi się z piratami — może ci porywacze z nowojorskich doków — może jakiś związek z ukrytymi skarbami.
Jak już zaznaczyłem wcześniej, to tylko moje przypuszczenia do Twojej prywatnej informacji.
Służę pomocą w każdej sytuacji.

Najlepszego
Tonio Malagasi
Wydział Rejestru Przestępstw

MICHAEL R. REYNOLDS
ADWOKAT
Chicago 8.VI.1966 r.

49 Water Street
Chicago, Illinois
Drogi Timie!
Żałuję, ale nie mogę uczestniczyć w Twoim wędkowaniu. Zostałem powołany do procesu gościa, który czeka na wyrok w sprawie o porwanie.
Normalnie postarałbym pozbyć się tej sprawy i McDivot, który będzie przewodniczył pewnie by mnie puścił, ale to jest najpaskudniejsza sprawa o jakiej słyszałeś.
Gość ma zostać skazany tylko za to, że trwający od jakiegoś czasu łańcuch pomyłek zaszedł już stanowczo zbyt daleko. Nie tylko jest niewinny — ma sprawę chyba najczystszą o jakiej słyszałem przeciwko zarządowi jednego z największych Klubów Książki tu, w Chicago. I w tej to sprawie chciałbym uczestniczyć.
To nieakceptowalne — ale niestety możliwe, jeśli w erze zautomatyzowanej biurokracji ludzie pozwalają sobie na luksus bezmyślności — żeby uczciwy człowiek mógł znaleźć się w takiej sytuacji.
Nie powinno to potrwać długo. Prosiłem o rozmowę z McDivotem jutro przed rozprawą — trzeba będzie sprawę wyjaśnić. Potem będę mógł zreferować całość mojemu klientowi — już wolnemu.
Łowimy w przyszłym tygodniu?

Twój Mike

MICHAEL R. REYNOLDS
ADWOKAT
Chicago, 10.VI.1966 r.

49 Water Street
Chicago, Illinois
Krótko:
Z wędkowania w tym tygodniu też nici. Przepraszam. Nie uwierzysz, ale mój czysty jak łza — wcale nie żartuję — klient dostał właśnie karę śmierci za morderstwo pierwszego stopnia, w związku ze śmiercią porwanej ofiary.
Tak, wyjaśniłem wszystko McDivotowi, ale kiedy on przedstawił mi swoją sytuację omal nie spadłem z krzesła.
Nie miałem kłopotów z przekonaniem go. Zajęło mi niecałe trzy minuty udowodnienie, że mój klient nie powinien się był znaleźć nawet na sekundę w więzieniu. Ale — wyobraź sobie — McDivot nie mógł nic zrobić.
Problem w tym, że ten gość został uznany winnym w zapisie komputerowym. W związku z brakiem aktów sprawy — oczywiście one nigdy nie istniały (jest to coś, czego nie mogę teraz wyjaśnić) sędzia musi trzymać się dostępnych mu akt. W przypadku więźnia już skazanego McDivot miał jedynie wybór między karą śmierci a dożywociem.
Śmierć ofiary porwania, zgodnie z kodeksem, pociąga za sobą karę śmierci. Według nowych przepisów dotyczących terminu apelacji, który został skrócony ze względu na skomputeryzowanie zapisu akt oraz by uniknąć przewlekłości postępowania i skrócić skazańcowi denerwujące oczekiwanie, mam zaledwie pięć dni na wniesienie odwołania, a dziesięć na samo postępowanie.
Nie muszę Ci chyba mówić, że apelację traktuję bardzo poważnie. Zamierzam zwrócić się o łaskę bezpośrednio do Gubernatora, a po jej uzyskaniu zajmiemy się wyjaśnieniem tej farsy. McDivot napisał już do Gubernatora wyjaśniając w piśmie, że wydany przez niego wyrok jest żałosny, ale nie miał innego wyjścia. Mówiąc między nami, powinniśmy dostać zwolnienie w krótszym czasie.
Wtedy zacznę rozróbę!
I może wreszcie pojedziemy na te ryby.

Mike

URZĄD GUBERNATORA STANU ILLINOIS
Chicago, 17.VI.1966 r.

Pan Michael R. Reynolds
49 Water Street
Chicago, Illinois

Szanowny Panie!
W odpowiedzi na pańską prośbę o ułaskawienie dla W. A. Childa (A. Waltera) uprzejmie informuję, że Gubernator w dalszym ciągu uczestniczy, wraz z Komitetem Gubernatorów, w pracach komisji d.s. muru berlińskiego. Oczekiwany powrót w przyszły piątek.
Pański list i podanie przedstawię Gubernatorowi natychmiast po powrocie.

Szczerze życzliwa
CLARA B. JILKS
Sekretariat Gubernatora

Joliet, 27.VI.1966 r.
Michael R. Reynolds
49 Water Street
Chicago, Illinois

Mike!

Co z moim ułaskawieniem? Do egzekucji zostało pięć dni!

Walt

Walter A. Child (A. Walter)
Więzienie Stanowe, Blok E
Joliet, Illinois

Walt!

Gubernator natychmiast po powrocie został odwołany do Waszyngtonu — do Białego Domu, by przedstawił swój pogląd na stan międzystanowego systemu kanalizacji.

Czekam na niego dosłownie na progu, by złapać go natychmiast, jak się tylko pojawi.

DO WŁADZ STANU ILLINOIS

Ja, Hubert, Daniel Willikens, Gubernator Stanu Illinois, z racji pełnionego urzędu posiadający uprawnienia, wśród nich władzę uwalniania z więzienia tych, którzy według mojego osądu zostali niewłaściwie skazani lub z innych względów zasługujący na prawo łaski, ogłaszam dnia 1 VII.1966 roku, iż Walter A. Child (A. Walter), przebywający obecnie w więzieniu skazany w wyniku pomyłki sądowej w sprawie, w której był całkowicie niewinny zostaje zwolniony z zarzutu popełnienia rzeczonej zbrodni. Zlecam odnośnym władzom, sprawującym obecnie nadzór nad uwięzionym Walterem A. Childem (A. Walterem), w jakimkolwiek się miejscu znajduje, natychmiastowe zwolnienie z prawem oddalenia się bez jakichkolwiek przeszkód...

MIĘDZYRESORTOWA SŁUŻBA ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ
Nie zginać! Obciąć lub przedziurkować.

Dokument sporządzony niezgodnie z przepisami.
Do: Gubernator Hubert Daniel Willikens
Dot.: Dokumentu zwolnienia Waltera A. Childa z dnia 1.VII. 1966 r.

GORDON R. DICKSON

Komputery nie dyskutują... (2)

Tymczasem, zgadzam się z Tobą co do powagi sytuacji. Strażnik tutejszego więzienia — Allan Magruder — dostarczy Ci ten list i porozmawia z Tobą prywatnie. Nalegam, byś wysłuchał tego co Ci powie. Załączam list od Twojej rodziny, która również prosi, byś porozmawiał z Magruderem.

Twój Mike

Joliet, 30.VI.1966 r.
Michael R. Reynolds
49 Water Street
Chicago, Illinois

Mike! (Ten list ma zostać zabrany przez Magrudera)

Kiedy rozmawiałem z Magruderem w mojej celi, przyniesiono mu wiadomość, że Gubernator wrócił właśnie na chwilę do Illinois i będzie jutro od samego rana w swoim biurze. Będziesz więc miał czas na uzyskanie jego podpisu na ułaskawieniu i dostarczenie go do więzienia dostatecznie wcześnie, by wstrzymać moją sobotnią egzekucję.

Co do sprawy, odrzuciłem propozycję strażnika. Nie mógł mi zagwarantować, że w czasie ucieczki nie napotkam któregoś ze strażników na swej drodze, a ten mnie nie zabije.

Teraz, chyba wszystko zostanie wyjaśnione. Jak dotąd ma to posmak przyjacielskiej pogawędki wisielca z własnym sznurem.

Najlepszego, Walt.

Szanowny Pracowniku Administracji Państwowej!

Nie zamieścił Pan na dokumencie znaku sprawy.

PROSIMY: o przesłanie uzupełnionego dokumentu z niniejszą kartą i formularzem 876, z wyjaśnieniem Pańskiego prawa do potraktowania sprawy jako BARDZO PILNA. Formularz 876 musi być podpisany przez Pańskiego Przełożonego.

DORĘCZENIE DOKUMENTU: jest możliwe w dniach urzędowania Międzyresortowej Służby Administracji Państwowej, tj. w tym przypadku 5.VII.1966 r.

UWAGA: Dostarczenie formularza 876 bez podpisu przełożonego może spowodować, iż stanie Pan pod zarzutem nadużywania urzędu. Zarzut może stanowić podstawę do aresztowania.

Nie uznajemy ŻADNYCH WYJĄTKÓW. ZOSTAŁ PAN POUCZONY.

Tłumaczyła:
ANNA ZASTAWNIK

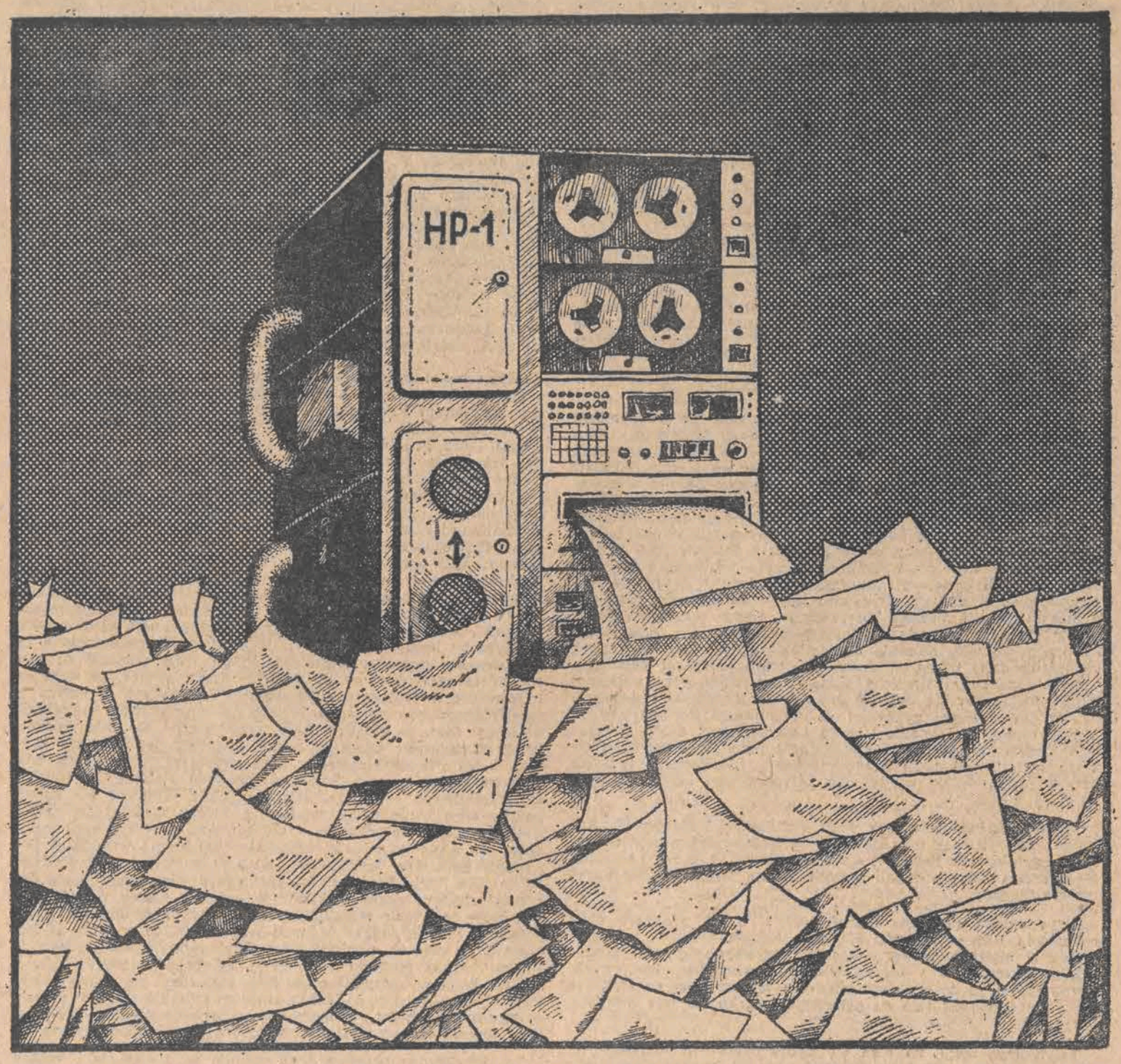

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1 Spojrzenie znad szachownicy

Autoportret z dedykacją

Pewna pani, której próbowałem prawić komplementy dała mi do zrozumienia, że nie muszę daremnie marnotrawić czasu. Zapytała też nie bez ironii, czy zastanawiałem się kiedykolwiek, jak właściwie wyglądam.

Odparłem, że i owszem, nadto iż piękna dusza ważniejsza jest niźli mdłe ciało.

Najpewniej źle wyartykułowałem słowo „dusza" albowiem komplementowana pani pozbawiła mnie swojego towarzystwa Powlokłem się do domu zniesmaczony, poniósłszy nadto uszczerbek na wiarygodności, albowiem jak właściwie wyglądam— nie zastanawiałem się i nie wiedziałem. Za życiowe motto starczał mi dotąd czterowiersz wyrwany z Majakowskiego:

„Nikt nie żąda
od wielbłąda,
by wyglądał
jak Gioconda".

W chwilach zwątpienia przepowiadałem go sobie w duchu i było dobrze. Jak Gioconda wyglądać wcale nie muszę, niewykluczone, że miała zeza, nie gorszego niż Isaura.

2.

W domu zamknąłem się w łazience i zrzuciłem odzienie, pragnąc samoocenić się z wymaganą przez naukę bezlitosną surowością. Cały obejrzałem się w lustrze... no, powiedzmy do połowy ponieważ lustro jest małe, wisi wysoko, a podskakiwać umiem jedynie w druku.

Gęba pociągła. Włosy i broda zmierzwione: wprawdzie nie z natury, a z braku grzebienia, ale to wszystko jedno. Oczy i klatka piersiowa zapadnięte. Wzrok dziki, suknia plugawa (to znaczy byłaby taka, gdybym jej nie zrzucił). Czoło wysokie, jak to u szachisty, nadto poorane bruzdami zrodzonymi z intelektualnego wysiłku. A w całym tym interesie sterczy nos, że popatrz, popatrz — bedac, dajmy na to, aktorem, Cyrana de Bergerac grywałbym bez charakteryzacji.

Skąd jednak ten nos do mnie, w całej rodzinie, ba, w całej okolicy, nie miał nikt podobnego Jeden de Gaulle, jeśli idzie o gabaryty, mógł się pochwalić podobnym, co prawda innego pokroju.

De Gaulle, zaraz, niech pomyśle, mniejsza już z tym, że na czole przybędzie jeszcze jedna bruzda. Musi kryć się w tym wszystkim jakaś otchłanna familijna tajemnica, bo mogło być przecież tak.

Pra-pra-pra-pradziadek francuskiego generała ciągnął z Napoleonem na Moskwę. Po drodze zahaczył o Wilno, gdzie poznał moją pra-pra-pra-prababkę. Obiecał jej ożenek, nawciskał mnóstwo głupot, ale potem nie dotrzymał słowa, bo wracając za bardzo się śpieszył.

Geny pra-pra-pra-pradziadka wymieszały się z genami pra-pra-pra-prababki, ale tamte — litewskie i słowiańskie — na długie pokolenia okazały się silniejsze i tym pierwszym nie dały ani pisnąć. W końcu jednak jeden z tych pra-pra-pra-pragenów postawił na swoim; z początku miałem cały urosnąć, jak generał, ale skończyło się na nosie.

Nie upieram się, że tak było, ale tak być mogło, nauka zaś — jak wiadomo — dopuszcza możliwość stawiania śmiałych hipotez. Ergo: jest to wywód ściśle naukowy, odnalazłem familiantów!

3.

Teraz ręce. Ręce mam mniej więcej dwie, zakończone dłońmi o wyjątkowo interesującym czarno-czerwono-zielonym zabarwieniu. Tu jednak muszę zmartwić amatorów sensacji, zwłaszcza kolegów z „Kuriera Polskiego" — nic, ale to nic nie wskazuje, iżby moja rodzina utrzymywała zażyłe kontakty z ludami Afryki, obu Ameryk oraz zielonymi przybyszami z kosmosu.

Nie wypierałbym się tego, skądże! Lubię Murzynów, Indian, zaś najbardziej już Kosmitów, choć muszę uczciwie przyznać, że od bardzo dawna żaden z nich nie wpadł do mnie na wódkę. Co więcej w młodości sam usiłowałem wierzyć, że drzemią we mnie jakieś moce, próbując wzrokiem cofnąć choć o jedno pole maszerującego ku zwycięstwu wrażego pionka przeciwnika. Nic z tego jednak nie wyszło, tylko spociłem się z wysiłku.

Tajemnica oryginalnej kolorystyki moich dłoni, jest wszelako łatwiej rozwiązywalna, niźli tajemnica mojego nosa — oto pracując używam oisaków polskiej produkcji, a te brudzą jak jasna cholera, jeżeli nie bardziej!

4.

I ten oto autoportret — z przyczyn obiektywnych ograniczony do górnej połowy, ale za to wzbogacony fragmentami biograficznymi — przesyłam wraz z dedykacją pięknej pani, zapewniając ją równocześnie, że mówiąc „dusza" myślałem o duszy i doprawdy o niczym więcej.

JERZY P.

2 Pora zmienić nawyki

Pewien mój kolega, szczęśliwy dziadek dwóch dorodnych chłopców, przechodząc obok sklepu z zabawkami zobaczył na wystawie coś, będące skrzyżowaniem samochodzika z żelazkiem. Zabawka podobała mu się, a ponadto cena — 83 zł za sztukę — nie stanowiła zbyt dużego zagrożenia dla zawartości portfela. Postanowił kupić. Wszedł więc do sklepu, gdzie okazało się, że samochodziki są nieco droższe — kosztują ponad 90 zł. Nie zniechęciło to jednak dziadka — trwał przy zamiarze kupna. Pani ekspedientka, poproszona o podanie zabawki odpowiedziała „zaraz, zaraz" i powróciła do rozmowy z jakimś panem, stojącym przy ladzie. Kolega poczekał chwilę i wreszcie, nieco już zirytowany, zwrócił się do drugiej pani ekspedientki. Ta jednak, zamiast podać mu zabawkę, oświadczyła „ja nie obsługuję, ja jestem kierowniczką. Sprzedawczyni skończy z jednym klientem, to podejdzie do pana".

Kierowniczka udała się na zaplecze, kolega natomiast nie mając chwilowo nic innego do roboty, zainteresował się, co też kupuje klient, któremu sprzedawczyni poświęca aż tyle czasu.

Okazało się jednak, że co prawda po obu stronach lady faktycznie odbywał się handel, ale to pani ekspedientka była w tym przypadku klientką, a rzekomy klient — sprzedawcą. Przyniósł on do sklepu w sporej teczce... cielęcinę i kiełbasę. Bez kartek oczywiście, za to po cenach umownych, stąd też rozmowa trwała długo.

Kolega w końcu samochodziki kupił, ale wyszedł ze sklepu niezadowolony. Trudno powiedzieć dlaczego. Być może z zazdrości o cielęcinę?

Nie dokonała zakupu natomiast pewna pani, która stała przede mną w kolejce do stoiska z artykułami cukierniczymi i monopolowymi w sklepie spożywczym. Pani owa chciała kupić jakieś wino, ale widocznie nie znała się na gatunkach, prosiła bowiem ekspedientkę o radę. Sprzedawczyni polecała wino „chochlik" reklamując je jako bardzo dobre, słodkie, ale pani wolała wino z importu. Gdy usłyszała odpowiedź, że z importu nie ma, ujawniła swój niemiły charakter, bardzo utrudniający życie pracownikom handlu, bowiem rozejrzała się po półkach i zażądała informacji „o tym na drugiej półce z lewej strony".

Ekspedientka okazała się osobą cierpliwą i uprzejmą, udzieliła bowiem wyczerpujących informacji: „to nie wino, to tokaj, taki napój o winnym smaku". Kiedy próbowałam się wtrącić, pani sprzedawczyni zwróciła się do mnie karcącym tonem: „przecież ja chyba lepiej wiem, co sprzedaję". Klientka nie chciała napoju o winnym smaku i wyszła. Na szczęście w kolejce nie było żadnego Węgra, bowiem morderstwo popełnione przez niego w tym momencie pozostałoby na pewno bezkarne i uznane za czyn patriotyczny.

Nieprzyjemnie zapewne poczuła się w sklepie klientka, która na pytanie czy są szpagietki usłyszała „są, ale nie mówi się szpagietki tylko szpagiety", zrezygnowała z zakupu pani, której wyjaśniono, że konserwa, o którą pyta (było to tzw. danie gotowe, produkcji jugosłowiańskiej — duszone mięso z fasolką) zawiera warzywa z jarzynami.

Obrażona poczuła się sprzedawczyni, której — nie pytana — wyjaśniłam, że to, co stoi na półce, to nie są frytki rybie, (jak pisało na kartce informacyjnej, ustawionej przez personel sklepu), tylko prażynki z krewetek. „Ja nie muszę znać obcych języków — skarciła mnie sprzedawczyni. — A zresztą pani też nie zna wietnamskiego, a to jest z Wietnamu".

Wietnamskiego faktycznie nie znam, ekspedientka poliglotką być nie musi — powinna jednak znać język polski przynajmniej w stopniu umożliwiającym przeczytanie faktury, gdzie zapewne umieszczona jest nazwa towaru.

Wiem, że praca w handlu do łatwych nie należy, że wśród klientów zdarzają się ludzie kłótliwi i niekulturalni, którzy z błahych powodów albo i bez powodów potrafią naubliżać ekspedientkom, przypisując im winę za stan polskiej gospodarki w ogóle, a handlu w szczególności. Sama natomiast przez długi czas skłonna byłam raczej do wyrozumiałości (bo ciężko, bo zajęte soboty, bo cały czas z ludźmi, zdenerwowanymi długim oczekiwaniem w kolejce). Ostatnio jednak opisane przypadki — a także wiele innych, podobnych, które zdarzyły się mnie samej lub moim (wiarygodnym) znajomym, sprawiły, że stałam się znacznie mniej uprzejma wobec pracowników handlu. I tak np. urządziłam awanturę w sklepie, gdy sprzedawano bez kolejki kiełbasę pani w białym fartuchu, która — też sprzedawczyni — „wyskoczyła" z sąsiedniego sklepu i nie przekonał mnie, że nie mam racji nawet argument, że „w tamtym sklepie też jest kolejka i dlatego tej pani się śpieszy".

Pouczyłam nieprzyjemnym tonem o obowiązkach pracownicy handlu ekspedientkę, która, nie mając wydać z dużego banknotu, zaproponowała mi, abym skoczyła gdzieś rozmienić (pomogło — skoczyła sama), nakrzyczałam na sprzedawczynię, zajętą rozmową ze znajomą, że do klientki, nawet jeśli nie ma kolejki, powinna podchodzić natychmiast, a plotkować później.

Nie sądzę, aby tego rodzaju moje — a i innych klientów — działania „wychowawcze" przynosiły jakiś długotrwały skutek, ale z pewnością pomagają rozładować irytację.

Oczywiście nie namawiam nikogo do wszczynania awantur w sklepach, jak również nie postuluję pod adresem szefów instytucji handlowych zwalniania nieuprzejmych, niekompetentnych i leniwych sprzedawców. Realizacja takiego wniosku mogłaby się skończyć źle — w połowie sklepów musieliby sprzedawać sami dyrektorzy, a w drugiej połowie pozostaliby ci dotychczasowi pracownicy (bo niemało jest również takich), którym codziennie do książki skarg i wniosków należałoby wpisywać pochwałę.

Proponuję jednak, abyśmy my sami, klienci, w bardziej stanowczy i konsekwentny sposób wymagali, aby obsługiwano nas właściwie — sprawnie, kulturalnie, z miną świadczącą o tym, że obsługa nas jest dla sprzedającego miłym obowiązkiem, a nie wykonywanym pod przymusem utrapieniem. Czas, gdy sprzedawca „rządził i dzielił" (często za lada), a klient prosił, na razie minął, pozostały jednak złe nawyki z obu stron lady. Najwyższy czas je zmienić. Oczywiście, nie używając przy tym wobec sprzedawców obraźliwych epitetów.

KLIENTKA

3 Lewym okiem

Dyżurny temat

„Nie cierpię kompilatorów i przeżuwaczy cudzych dzieł, tak rozpanoszonych w moim fachu (—). Niech mnie omijają z daleka, tak jak ja to robię".

Tak napisał redaktor Tomasz Sas w recenzji z „Rozmyślań przy goleniu" Stanisława Dygata w „Odgłosach". Na szczęście redaktor Sas nie traktuje zbyt poważnie swego wyznania i czasami „przeżuwa" cudze dzieła (np. pisząc recenzje), a częściej — kompiluje (prowadząc w tychże „Odgłosach" przegląd prasy).

To co tu dziś robię podobne jest właśnie do takiej postawy: unikam, a właśnie że nie unikam. Mianowicie chcę głośno i dobitnie dać wyraz zauważonej przeze mnie prawidłowości, że czym temat mniej poważny, bardziej błahy, tym żarłoczniej rzuca się na niego prasa i środki masowego przekazu, a jednocześnie sam włączam się niniejszym do takiego „dyżurnego" tematu. Chodzi o nudystów — czy modniej: naturystów — i ich gromko głoszoną, niewolną od sekciarskich odchyleń, ideologię.

Ledwie grupa młodych ludzi ogłosiła w „Odgłosach" swój pogląd na ideę publicznego, zbiorowego zrzucania wszelkich osłonek, a sprawa ruszyła jak lawina i posypały się dziesiątki komentarzy. Zresztą — ściśle biorąc — nie znaleźliśmy w manifeście łódzkim artykułów wiary, których powinien dochować prawdziwy — zdaniem łodzian — naturysta (w odróżnieniu od naturystów nieprawdziwych, ogólnopolskich, których dekalogu też nie znamy). Mniejsza z tym. Cała ta sprawa jest właśnie „mniejsza" i dalibóg szkoda, że setki prawdziwych problemów nie mogą się doczekać takiej publicity, jak metodyka pokazywania pupy. Wiadomo jednak, że ideologię można dorobić do wszystkiego, pamiętamy przecież ten wiersz: „Mój rękaw jest słuszny, mój guzik niesłuszny, mój kołnierz niesłuszny, ale patka słuszna". Może więc i obnażanie też bywa słuszne i niesłuszne?

Pamiętam, bo uznałem to za słuszne, co napisał raz na temat nudystów Jerzy Putrament. Na długo przed wykształceniem się u człowieka różnych moralnych tabu, wstydliwości, pruderii, na całe wieki przedtem — powiada Putrament — zarówno mężczyźni jak i kobiety podwiązywali sobie niektóre części ciała. Nie dlatego, żeby je schować: dlatego, żeby im nie chlapały w biegu. Excusez le mot, każdy przecież sobie to wyobraża. Szybkie poruszanie się przy pozostawieniu swobody wszystkiemu, czym obdarzyła nas natura, jest po prostu niewygodne, męczące, a może być bolesne i niebezpieczne. Więc cóż to za „powrót do natury" (bo takie jest zdaje się naczelne hasło miłośników golizny), skoro przy tym powrocie trzeba siedzieć spokojnie na piasku i nie brać się za żadną robotę? Niechby naturyści spróbowali nie tylko odpoczynku i niektórych form zabawy, ale w ogóle wszelkich niezbędnych czynności, a zwłaszcza pracy, w stanie „zbliżenia z naturą", czyli bez niczego na sobie!

Więc nie czarujmy się ideą współżycia z przyrodą. Tu może być tylko współleżenie na łonie przyrody. Oczywiście, jeśli ktoś woli leżeć bez majtek niż w majtkach, zwłaszcza w wydzielonym miejscu, to proszę bardzo, daj Boże zdrowie. Ani mnie to parzy, ani ziębi. Myślę, że szczególna przyjemność takiego leżenia musi w sobie mieć coś z ekshibicjonizmu, który u kobiet jest cechą powszechną, u mężczyzn uważany jest za niejakie odchylenie; no bo po co ludzie — zresztą wyłącznie młodzi — ponoszą trudy specjalnych podróży, opłacają jakieś wejścia, organizują sobie kunsztownie specjalne miejsca, okazje, warunki, byleby nagi mógł poleżeć koło nagiego i zaczerpnąć w ten sposób jakiegoś mistycznego fluidu, naładować się nim, bo ja wiem... Ale powiadam: jego sprawa.

Myślę też, że jeśli ktoś, jak w swoim czasie hippisi, głosi filozofię powrotu do prostszych form bytowania, mniej skażonych falsyfikatami, wymyślonymi przez człowieka, to powinien tak jak hippisi zacząć od stopniowego rezygnowania z dobrodziejstw cywilizacji technicznej. Jeść palcami surowe ryby, zbierać tylko dzikie jagody i owoce, chodzić boso i tylko piechotą, myć się w ruczaju albo wcale. Odeszliśmy od natury tak niezmiernie daleko, że powrót musiałby być bardzo długi, trudny i wieloraki. Zdjęcie stanika na plaży na oczach setek bliźnich to żaden powrót do natury. Szkoda, że właśnie o tym tak dużo się mówi i pisze — i właśnie to „szkoda" jest przekornym, a głównym motywem niniejszego felietonu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Zasługa

— Panowie! — zagadnął nas niedawno Inżynier. — Możecie mi pogratulować. Właśnie wczoraj dostałem Złoty Krzyż Zasługi.

Usłyszawszy te słowa, Działacz rzucił się w kierunku Inżyniera, by uściskać go i wycałować, Dyrektor — za nim, ja też nieśmiało poderwałem się z krzesła obok szafki z brzytwami, i tylko Literat pozostał nieruchomo na swym miejscu, zza grubych szkieł rzucił kilka krótkich spojrzeń w stronę odznaczonego, po czym spokojnie zapytał:

— A za co?

Niespodziewanie zapanowała chwila nienaturalnej ciszy, zakłócanej tylko szczękiem nożyczek pana Franciszka, brzmiącym niczym seria z pistoletu maszynowego. Działacz zatrzymał się wpół kroku, ja z powrotem opadłem na krzesło, zaś uśmiech na twarzy Inżyniera stopniał w mgnieniu oka niczym majowy śnieg, ustępując miejsca zdziwieniu:

— Za co? Za co? Jak to — za co?

— No tak — za co dostał pan ten krzyż zasługi?

— No, ja..., tego... — bąkał Inżynier i nagle jakby sobie przypomniał — za dobrą pracę, oczywiście. Za dobrą pracę, kolego Literacie, dostałem.

Ten jednak nie dawał za wygraną:

— A konkretnie czym żeś się pan tak zasłużył?

— Czym się za..., no, mówiłem już. Zadania planowe wykonałem, nie spóźniałem się, w firmie nie piłem, w pracach społecznych udział brałem...

— Właśnie! — przerwał mu nagle Działacz. — Dostał chłop, to się widocznie należało. Za dobrą pracę trzeba odznaczać, żeby przykład był dla innych. A pan— tu spojrzał w kierunku Literata — pan jest po prostu zazdrosny. Bo za te książki, co pan pisze...

— Wypraszam sobie — oburzył się z kolei Literat — ja mogę pokazać wszystkim recenzje! Krytycy cenią je sobie wysoko, a jeden to nawet...

— Ależ nie kłóćcie się już, panowie — uspokoił ich pan Franciszek. — Być odznaczonym, to istotnie piękna rzecz. — A po chwili dodał z dumą:

— Wyobraźcie sobie, ja też byłem kiedyś odznaczony. Co prawda nie był to żaden krzyż zasługi, a — brązowa odznaka fryzjerska trzeciego stopnia, ale zawsze... Pamiętam, że było to przy okazji jakiejś tam rocznicy. W cechu gruchnęła wieść, że będą odznaczać. Trzy razy zbierała się specjalna komisja, żeby te odznaczenia sprawiedliwie rozdzielić. Ze złotymi nie było problemów: jednogłośnie przyznano złote prezesowi i nestorowi naszego fryzjerstwa damskiego, niejakiemu Kopce, który wtedy był już tak stary, że niedługo potem umarł. Srebrne odznaki dostali: księgowa, socjalna — bo szła niedługo na emeryturę i na następne odznaczenia mogłaby się już nie załapać, a także — pięciu moich kolegów po brzytwie, co ukończyli specjalny kurs w samym Paryżu. Za to z brązowymi wyszło, pamiętam coś nie najlepiej, bo dla wszystkich przecież nie wystarczyło, a jednemu dać, drugiemu nie — jakoś tak nie wypadało. W końcu każdy z nas pracował za dwóch, fryzjerów ubywało, gdyż właśnie znów zapalono wtedy zielone światło dla rzemiosła... Słowem wyszło na to, że odznaczenia są, a kandydatów jakby brakowało. Dopiero nasz prezes wybawił komisję z kłopotu i zaproponował, że najsprawiedliwiej będzie zrobić losowanie. No i tak padło na mnie.

— I co, cieszył się pan? — zapytał zgryźliwie Literat.

— A jakże — odparł nie zbity z tropu pan Franciszek. — Nie każdy przecież ma takie szczęście jak ja, czy pan Inżynier. Gratuluję, szczerze gratuluję. Inżynierze.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt”

10

— Przyjechał szwedzki dziennikarz — wyjaśniła raz jeszcze. Chciałby rozmawiać z wami. Zaprowadźcie go do pana przewodniczącego komisji strajkującej.

— Nie pan, tylko kolega Baduga! I nie komisja a komitet — objaśnił śmiejąc się do niej ten sam wysoki dryblas, który pierwszy zawołał, żeby ją tu wpuścić. Nie wiedziała, czy to żarty, czy rzeczowe objaśnienia, poprawiła się jednak:

— Do kolegi Badugi, do komitetu...

Obejrzała się czy Dag tam jeszcze stoi: tkwił nieruchomo po drugiej stronie ulicy.

— To przecież ważne — mówiła. — Jeśli zrobi z nim wywiad, cały świat będzie go czytał. Nie rozumiecie?

— Po szwedzku? — zażartował strażnik. — No, leć tam który — pokazał palcem na tego wysokiego.

— Ja? Dlaczego ja? Wolę sobie popatrzeć na tę panią...

— Mówię ci, idź, człowieku — strażnik już nie żartował.

Ociągając się, odszedł, lecz jeszcze z daleka pokiwał do niej dłonią. Helena odpowiedziała takim samym gestem. Wyglądało to po prostu głupio, jak czułe pożegnanie po skończonej randce, tu, naprzeciw tej bramy żelaznej i grupki jurnych mężczyzn.

Nie przyszłaby tu nigdy, gdyby nie żądanie Larssona. Chciał sam ryzykować? Jego sprawa. Ale dlaczego mnie w to wciągnął? Przez sekundę widziała brutalną twarz Hamsuna, gdy wówczas niedaleko stąd mówił przed odjazdem do niej z mostku przerzuconego na statek świnoujski: pamiętaj! Nie potrafiła uwolnić się od strachu, od niejasnego uczucia, że ziemia pod nią ugina się a ona sama pogrąża się w niej z wolna, najpierw po kostki, potem po kolana. Matko Boska, ratuj — wyszeptała. — Jeśli ktoś mnie tu widział... — pomyślała nielogicznie, gdyż przecież widziało ją tu tylu, każdy z tych, co tam stoją i patrzą łakomie.

Tamten dryblas wciąż nie wracał. Wyjęła więc papierosy chcąc zapalić, a spostrzegłszy, że oni spoglądają łakomie na pudełko sięgnęła po jeszcze dwie paczki jakie miała w torbie i podała im przez kratę.

— Proszę. Częstujcie się, proszę bardzo.

Wzięli z ociąganiem, rozdali papierosy, wciągali dym głęboko.

— Dobre — powiedział któryś i dopiero teraz spojrzał na markę — Zagraniczne? Ches-ter-fiel-dy — przeczytał dosłownie, z polska.

— Czesterfildy, głupku! — poprawił inny z drwiną.

O Boże, niech to się już skończy — myślała z trwogą. — A co będzie, jak nas tam wpuszczą? Setki ludzi obejrzą mnie sobie, rozpoznają, zapamiętają, jak wyglądam. Już po mnie. Nie sądziła, że Larsson tego od niej zażąda. Tamten mężczyzna, z którym przyszedł, od konsula, był temu winny — uświadomiła sobie. Nie rozumiała ich rozmowy, słyszała tylko imię, Olaf, to był ten sam głos, który wczoraj odezwał się w słuchawce, z polecenia Hamsuna i zażądał kontaktu z Dagiem. Tak powiedział: kontakt, nie spotkanie ani rozmowa. Mówił twardą angielszczyzną, którą ledwie rozumiała, gardłowo rąbał zdania na pojedyncze słowa, jak siekierą pniak na szczapy. Powiedział: muszę mieć kontakt zaraz, gdzie on jest? I jak bezwolna objaśniła, dokąd poszedł. A potem spytała, czy zna adres.

— Tak, znam! — odparł krótko. Rzucił słuchawkę. Ani dziękuje, ani do widzenia, nic, koniec.

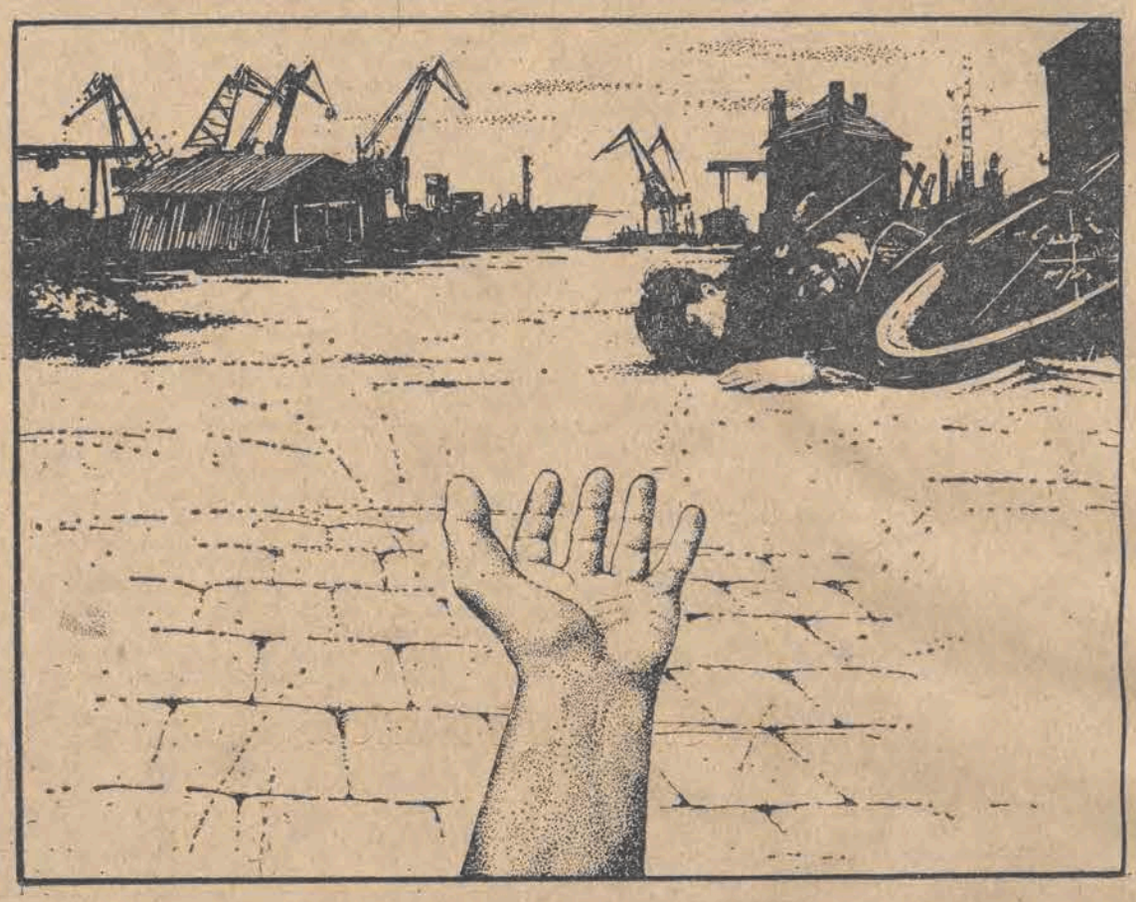

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Edek Gryń wlókł się przez dziedziniec, bez celu, z nudów. Ani wyjść, ani uciec — myślał. Miał już wszystkiego serdecznie dosyć. Wójcik jeszcze się trzymał, ale inni byli milczący, gdy wszedł do pokoju partyjnego.

— I co dalej? — zapytał wszystkich i nikogo.

— Nie jest źle — odparł sekretarz. — Rozmawiają na Wałach. To już z pięć godzin ich nie ma. Będzie dobrze, Gryń.

Będzie dobrze — powtórzył w myślach. — Jak może być dobrze, kiedy jest źle, że gorzej być nie może?

Szedł między halami ulicą wewnętrzną. Głośniki radiowęzła puszczały muzykę, jakieś komunikaty, bzdura! Myślał wciąż, jak stąd wyrwać się, być wreszcie w domu. I nie on jeden, gdyż mówili ludzie, że strażnicy pałami zbili jakiegoś majstra, potem o młodym facecie, którego ściągnęli z płotu. Popatrzał na statek, który stał niedaleko, przy nabrzeżu wyposażeniowym. To Czech, przypomniał sobie. Był prawie gotowy, miał wyjść w morze za dwa tygodnie. W jednym miejscu biło skądeś światło, dostrzegł blask na pokładzie. Ktoś tam jest, u siebie, bo tak chce, a nie — że musi — poczuł zazdrość. Pójdę do bramy — postanowił — przypomnę sobie jak wygląda ulica. Chociaż sobie powyglądam...

Z daleka dojrzał grupkę ludzi wokół strażnika, zwróconych twarzami do krat; patrzyli tam na coś, byli ożywieni. Zaciekawiło go to, ruszył więc szybciej, miał i teraz przynajmniej jakiś cel, bo coś chyba wydarzyło się, znów może ktoś chciał dać drapaka? Ale przez bramę? To dziwne, to nie mogło się udać...

Stanął nieco z boku, słyszał śmiechy, ich pogaduszki półgłosem, słowa, które aż ociekały spermą. Co ich tak ruszyło? Dojrzał kobietę, stojącą niepewnie rozgladającą się nerwowo, wysmukłą blondynę jak z filmu. Skądeś znał tę twarz, a może mu się zwidziało? Doleciał go dym pachnącego tytoniu. Przełknął ślinę.

— Pośpieszcie się — prosiła Helena. — Nie mogę tu tak długo sterczeć pod tą bramą!

— To ją wpuść, na co czekasz? — zaśmiał się gardłowo któryś z tych bliższych bramy, spojrzawszy na strażnika.

— Czego ona tu chce? — zapytał Gryń najbliższego strażnika. Mężczyzna odwrócił twarz ku niemu i spojrzał tak, jakby powrócił myślami z daleka.

— Przyprowadziła gazeciarza ze Szwecji. Chce robić wywiad.

— Ze Szwecji? — zdziwił się Edek. — Coś takiego... Przez kilka chwil było mu to obojętne. Szwed, to Szwed, co tam! Oglądał wraz z innymi chciwie tę kobietę myślami daleko stąd. Ale nieoczekiwanie uświadomił sobie, że to przecież coś bardzo ważnego Jeśli facet ze świata tu przyjechał. Chcą robić z nas sensacje — odczuł niepokój, nie pamiętając o tym, że już i tak wszystkie agencje, każda niemal gazeta czy rozgłośnia pełne były wieści z Polski, wybijanych na czoło.

— Po cholere nam tutaj tacy gazeciarze? — powiedział głośno. — To są nasze sprawy. Po kiego grzyba oni tutaj są nam potrzebni?

— Nie rozumiesz, człowieku, że im więcej świat o nas powie, tym trudniej będzie tym tam, kurwa ich mać, zadusić nas siłą?

— A ty czego wrzeszczysz mi nad uchem? — zdenerwował się Gryń. — Każdy swój rozum ma — dodał jakby o sobie, jakby o nim, zawierając w tym coś w rodzaju aluzji: kto ma, a kto nie ma...

Tamten odwrócił się od Grynia plecami.

Teraz gdy dziewczyna stanęła bokiem, zobaczył ją z profilu. Znam ją — pomyślał. — Widziałem gdzieś na ulicy albo co... W podświadomości błyskał czerwony ognik, sygnał jakiś lub może niejasne przeczucie. Ona mieszkała na naszej ulicy — przypomniał sobie. Mała chuda dziewczynka, ojciec pijak zdechł pod płotem, czy gdzieś tam, matkę pamiętał jako milczącą, chudą babę, z którą nie poszedłby do łóżka nawet za pieniądze, nie dziw, że tamten popijał...

Znów się odwróciła twarzą ku niemu. Nerwowe usta, oczy niespokojne, szczupła, ładna twarz. Tak to Helka, słowo honoru! Przypomniał sobie, co o niej słyszał, bo coś słyszał, był tego pewny. Poszła na studia, podobno. Inni mówili, że puszcza się z byle kim. Ale wówczas nie bardzo w to wierzył, chociaż wszystko było możliwe na tym pięknym świecie. Taka ładna, tak dobrze ubrana, elegancka, rzucająca się w oczy. No tak, przypomniał sobie wrogie warczenie bab z ulicy, ciężkie spojrzenia, drwiny i gniewne oceny: dewizowa bladź, taka owaka, ta Helka...

Kto tam wie, co w tym prawdy było, a ile zawiści i babskiej zazdrości, że one takie wyschłe, zapracowane, bez wdzięku, który uleciał w powietrze razem z parą gotującej się bielizny, został wyduszony z ich ciał ciężkimi łapami, rzutem cielska mężów, którzy po pijanemu ciągnęli je na pościel. Przywykły już do tego, jak do obierania kartofli na obiad, do cerowania bielizny, prasowania koszul. A Helka wciąż jest młoda, lekko żyje, ubiera się, ma forsę. No jasne, to bladź! Gryń nie byłby tego może taki pewny, gdyby nie to, że tu była, gdyż kto chciałby teraz przyjść z jakimś tam Szwedziakiem, jeśli nie za forsę? Narażać głowę tak sobie, za bezdurno? Dla idei? — zadrwił w myślach. — Taka dziwa dla idei? Świat by się przewrócił do góry nogami!

— Ty, Helka! — zawołał. — Co tutaj robisz?

Odwróciła się gwałtownie i chyba pobladła. Patrzał na nią ciekawie.

— No mów coś, to ja, Gryń, nie pamiętasz? Mieszkałaś dwa domy dalej.

Cofnęła się o krok. Opuściła ręce.

— Powiedz, jak to się stało, że kurwy mieszają się już do polityki?

— Ty chamie! — wrzasnęła nagle nie mogąc się opanować. Uderzył w nią jak pięścią. I bluznęła słowami, jakich w żadnej szkole nie uczą nauczyciele. Było to tak dziwnie zaskakujące, tak przeciwne obrazowi jej eleganckiej sylwetki, delikatnej twarzy i białych ruchliwych rąk, którymi wymachiwała jak zwyczajna baba, że przez chwilę milczeli wszyscy zaskoczeni, tak samo jak Gryń, a potem gruchnął nagły śmiech, to drwiący, to pełen zdziwienia, to po prostu wesoły. A to ubaw, Helka, dewizowa dziwka! A my ją tu jak jakąś panią, o rany!

— Chodź tutaj! Zrobimy ci dobrze. Żaden Szwed nie da rady tak jak ja! — zawołał rozbawiony chłopak.

— Helka, ile bierzesz? Złotówki wystarczą?

— Daj adres, to przyjdę, jak to się już skończy!

— Rozbieraj się, na co czekasz?

Patrzała rozwścieczona na tych chłopów, gotowych rzucić się na każdą babę, w stu, jeden po drugim i znowu, i jeszcze raz, aż zdechłaby pod nimi, rozgnieciona na miazgę.

— Wy, wy łuje!

— Patrzcie, niedotykalska!

— Wy chamy zatracone! Niech was własna matka...

Dag Larsson widział to poruszenie, słyszał krzyki i pobladł. Zaczął z wolna chodzić, szybciej, coraz szybciej. Nie udało się — myślał z poczuciem zawodu, ale i rad właściwie z tego, gdyż polecenie Hamsuna wydawało mu się od razu niewykonalne. A przynajmniej graniczące z nadmiernym ryzykiem Nie powiedział tego Olafowi Nilssonowi, czy jak tam naprawdę się nazywał ten facet. Pchać go w awanturę! Przecież tam musi kręcić się policja, tajniacy, którzy zrobią mu zdjęcia, dojdą kim jest, może zamkną w areszcie albo dadzą przez łeb pałką czy kastetem? Szedł więc pod stocznię jak na ścięcie, udając wobec Helli odważnego.

Ona także broniła się zażarcie przed tym zadaniem. Nie chciała. Mówiła, że on sobie pojedzie do Malmö, a ona zostanie tutaj, będzie musiała zapłacić za ten idiotyczny pomysł. Nie dyskutował z nią. Nauczył się od Olafa, że ona musi robić, co jej każą. Nie zastanawiał się, dlaczego? Ale wiedział, że tak jest, nie inaczej. Więc skorzystał z tego.

— Mamy cię w ręku — zagroził, niezbyt wiedząc, o czym mówi.

— Wiem — odparła przygaszona nagle.

— To rób, co masz robić — warknął.

Dag zatrzymał się obok więzu, nad skrajem chodnika. Nie dlatego, że lękał się o Hellę. Bez niej nie wiedział w jaką stronę iść i któredy trafić do jej domu. Widział, co prawda, z daleka dach swego hotelu, lecz musiał przecież usłyszeć, co się stało, dlaczego odmówili rozmowy, aby powiedzieć Olafowi, a potem wyjaśnić wszystko w redakcji, kiedy stanie przed Hamsunem. Patrzał jak biegła ku niemu z rozwianymi włosami, zapłakana, pokrzykując do siebie jakieś słowa, porywane natychmiast przez wiatr wiejący od rzeki.

— Co się stało, Hella?

— Nie chcą! — rzuciła z gniewem. — Szkoda było fatygi!

— Ale dlaczego?

— To dzikie bydlaki — warczała. — Rozumiesz?

Nie rozumiał, ale o więcej nie pytał. Nerwowo oglądając się za siebie, szli szybko, niemal biegiem. Ulice były puste, nikt ich nie zatrzymywał, nie pytał o nic. Helena otworzyła wreszcie swoje drzwi z przeogromną ulgą. Tu była już bezpieczna.

— Więc co się właściwie stało? — zapytał Dag, gdy usiadł wciąż jeszcze w płaszczu naprzeciw niej w miękkim fotelu.

— Nie chcieli, żebyś tam wchodził — skłamała bez zmrużenia oka.

— Dlaczego? — wyjął papierosa, zapalił, puszczał dym w górę, nie patrząc na Hellę, aby nie dostrzegła wyrazu w jego oczach.

— Nie wiem. Po prostu nie chcieli i już! Rozumiesz? I jeszcze wydrwili nas! — mówiła z zaciekłością. — I powiedzieli, powiedzieli — szukała przez chwilę odpowiednich słów, bo przecież prawdziwych nie mogła powtórzyć, a musiała jakoś wyładować się i uwolnić od tego wspomnienia. — Powiedzieli, że powinnam inaczej zarabiać, a nie jak twój guide... zaśmiała się nerwowo.

— Nie powiedzieli jak? — Dag również uśmiechnął się nieco sztucznie.

— Powiedzieli — odparła po sekundzie wahania. — I to dosyć dokładnie!

— A może to jest dobra rada, jak sądzisz, Hella?

Wzruszyła ramionami. Niech to wszyscy diabli wezmą, tamtych drabów i tego chudego Szweda! Dureń myśli, że sprawia mi przyjemność. Żebyś zdechł, mamrotała do siebie, zdejmując suknię.

Spod bramy ludzie rozchodzili się niespiesznie

Spod bramy ludzie rozchodzili się niespiesznie, jakby chcąc przedłużyć samo tamto zdarzenie, utrwalić w pamięci widok dziewczyny i zabawny jej gniew i słowa, które były krwiste, jak samo życie. Gryń został najdłużej. Milczał zamyślony.

— Dobrze byłoby skoczyć do chaty, chociaż się wykąpać — powiedział, na wpół do siebie, na wpół do strażnika.

— Tylko nie próbuj! — warknął. — Już tu tacy byli. Nie radzę, stary!

Wzruszył ramionami, jakby chłop ten źle go zrozumiał, bo to nie była żadna propozycja, ale po prostu głębokie westchnienie. Odszedł nie wiedząc dokąd. Ta ogromna przestrzeń, cała stocznia i rzeka, nawet świat, wydał mu się maleńki jak klatka. Czuł, że serce bije głośniej niż zazwyczaj. Zaczynało brakować mu sił.

W hali było cicho. Ludzie włóczyli się z kąta w kąt, niektórzy siedzieli grupkami, koleżkowie, znajomi. W rogu przy oknie grali w karty Podszedł tam popatrzeć, dla zabicia czasu. Rżneli w baśkę. Spoglądał zza ramion graczy, bijących mocną kartą, jakby dla podkreślenia, że będą wygrani lub, aby załamać przeciwnika, który przecież i tak wiedział, co trzyma w ręku, albo wykładali je z tryumfującą miną. Ile tak można rypać w te karciochy? — myślał znudzony. Dzień, dwa? O rany, co robić?

— Gdzie byłeś, Gryń? — spytał Marian Willman, który stał tuż obok.

— Przy bramie.

— Chciało się do domu?

— A ty co, jesteś święty? — odburknął. A potem zaczął opowiadać, co widział, o dziewczynie i Szwedzie. Przerwali natychmiast grę. Słuchali, bo to było przecież jakieś urozmaicenie, coś nowego I ta dziwa, podobno, jak mówił w sam raz do łóżka.

— Poszczęściło ci się, Edziu — zauważył z zazdrością Willman. — Chociaż popatrzyłeś sobie. Nie mogłeś nas zawołać?

Zaśmieli się, pożartowali, zrobiło się weselej.

— A ten Szwed? — zapytał Willman. — Dlaczego go nie wprowadzili?

— Nie wiem. Jakoś tak wyszło.

— Durnie! Trzeba było go wpuścić!

— Po cholere nam tutaj jakieś szwedzkie gówno — burknął Gryń. — Tu sami swoi. Wystarczy.

— Co ty tam wiesz? — zdenerwował się Willman. — Ty myślisz, że komuniści cackaliby się z nami, żeby nie świat? Już dawno by nas rozpieprzyli, ale się jeszcze boją.

— Akurat świat ci pomaga — Gryń łypnął okiem, robiło mu się gorąco, nie wiedział dlaczego, ale Willman zaśmierdział mu jak gówno. — Już ja tu widzę amerykańców, jak lądują z helikopterów Albo te ich paczki na spadochronach, dla takich jak ty!

C.D.N.

Wkrótce „Wielki las”

W odpowiedzi na ankietę „Nad czym pracują olsztyńscy pisarze” udzielonej dwutygodnikowi „Warmia i Mazury” **ZBIGNIEW NIENACKI** powiedział między innymi:

„Po trzech latach pisania ukończyłem pracę nad powieścią pt. „Wielki las” — drapieżną, ostrą, kontrowersyjną prozą, ale nieco odmienną od poprzedniej, czyli „Raz w roku w Skiroławkach”. Będzie to, jak sądzę, duża niespodzianka dla czytelników. Już za około półtora miesiąca tak prasa centralna, jak i regionalna, rozpocznie druk fragmentów. A nawet jedno z pism będzie drukować całość. Czynię tak ze względu na bardzo długi cykl produkcyjny książki. Tym bardziej, że napisałem ją dla Państwowego Instytutu Wydawniczego, gdzie drukuje się powieść nieraz i pięć lat...”

Owo **„jedno z pism”** — to **„ODGŁOSY”**. Tak więc nie **„już za około półtora miesiąca”**, ale wkrótce na łamach **„ODGŁOSÓW”** pełny tekst powieści **ZBIGNIEWA NIENACKIEGO** „Wielki las”. Możemy też zdradzić tajemnicę, że choć powieść to inna niż „Raz w roku w Skiroławkach”, to również ciekawa, bulwersująca i czyta się ją jednym tchem.